

**Zbigniew Strzałkowski**

# **Spotkania pośrodku chwil**

Polihymnia

**Lublin 2004**

## Niech się stanie

A kiedy już wszystko zostało uczynione wedle porządku: woda oddzielona od lądów, jasność i ciemność otrzymały swoje granice, wiatrom nadano im właściwe kierunki, zaś szczyty gór pokryły się grubą kołdrą śniegu, a w dolinach rzeki złożyły wiosenne drogi, ptaki otworzyły wszystkie okna poranków wypełniając je górnymi psalmami, natomiast wodne stwory weszły w pokłady solne, budując w ich wnętrzu królestwo nikomu nie znane, wówczas Anioł Pokoju odcisnął ognistą pieczęć na literze L, aby ci, co nadejdą w poszukiwaniu ojczyzny ostatecznej, znali początek i koniec wszystkiego. I stało się. Wybuchające kręgi sferyczne otworzyły się w najwyższym punkcie zawieszenia. Lapis lazuli wypełnił wnętrze przestrzeni. Wiecznie żywe oko uważnie przyglądało się krajobrazowi, badało każdą zmarszczkę lodowca, każdą zapadlinę górską, uskok wietrzny skały, odmierzyło wzgórze od polany, szerokość zieleni i głębnię wodną. Przewidywało któredy pobiegnie pierwsza ścieżka myśliwego, z jakiego punktu spojrzy architekt i jaką pochyłość zrównają spychacze, gdzie spadnie bomba, nad którymi zaułkami powstaną nowe osiedla. Głos rzekł: Niech tak zostanie. Resztę dokonają zgodnie z planem. A będzie to miasto wielkiej chwały, bo jest zapisane między światłem nieśmiertelnym a jasnością promienistą - Lux lucern. I dał się słyszeć grzmot przewalający się przez sklepienie aż góry jęknęły w sobie, a kiedy nastąpiła pora zachwyty biały orzeł wypłynął i krążył nad miejscem wybranym i osiadł w koronie dębu pośrodku gaju. I zostało zapisane miasto pod literą L w złocistej bordiurze wypełnionej wszystkimi odcieniami jesieni.

I wszystko, co potem nastąpiło, złożyło się na historię miasta Lublina.

## Punkt odniesienia

Wciąż i wciąż szukam w panoramie Lublina miejsca, gdzie Anioł Geometrii wbił ramiona cyrkla i zieloną cięciwą wyznaczył przyszłe przedmieścia.

Naburmuszonym pagórom wyznaczył miejsca zabaw tuż za sitowiem, a gruby powróż wądołów przeciągnął między pola i zagaję: kryją się w nich ostatnie dźwięki sielanki.

Pierwszych budowniczych wprowadził najniższą kruchtą aby poznali zapach śpiącej ziemi; nam nakazał schodzić poboczem wiosny, byśmy naraz i dogłębnie zanurzyli się w stawie zieleni.

Ci, co nadeszli porą odlotu ptaków podnieśli horyzont ulic - chcieli zajrzeć poza granice czasu i wyobraźni. Poszukiwali planu miasta opartego na krystalicznej strukturze światła.

Ostatnie pokolenie odsunęło brzeg zieleni poza linię lasu, teraz wygodnie windami wjeżdżają na ostatnie piętra i przez lornetki podziwiają ptaki wypuszczone z matematyczną dokładnością z klatek komputerowych.

Którzy przyjdą pojutrze z laserem...

## Otwarcie przez zaskoczenie

Otwieram miasto purpurą: dwaj patronowie dźwigają misę - dobre i złe uczynki na dzień dzisiejszy. Bezwiednie zanurzamy w nich dłonie; pamiętamy dekalog, seminaria z etyki i ostatnie błogosławieństwo matki przed ślubem. Mimo wzniosłości jesteśmy tchórzami, szukamy usprawiedliwienia w każdej sytuacji.

Otwieram miasto kwadrans na południe: w kawiarni „Ewa” student mozolnie wykreśla na serwetce współzależność słów „jednostka” i „osoba” próbując stworzyć uniwersalny system wartości. Jego partnerka, zielonooka Uta, uparcie doszukuje się w cięciwie szyi chłopca początku linii, która wykreśliła moment ich miłości. W tej chwili student pojmuje, że może być skazanym na stałe poszukiwanie definicji pojęcia „człowiek”.

Otwieram miasto trzy czwarte szarości: od strony Bazyliańówki, Czechowa i Rur Jezuickich zbliża się Satyr, właściciel niegdysiejszych łąk zapchanych naręczami kaczeńców - tak miłych jego oku - Pan, na widok którego zieleń buduje krużganki wonne, stado chmur otacza starcze biodra. Idzie promieniście zapatrzony w błysk nie przerywając rozmowy z patronami, aż minąwszy ostatnie drzwi zmierzchu staną obok świętych melancholii.

Ilu dostrzegło, ilu się obejrzało za długim welonem fioletu - tylko ci, co stoją za filarem poezji, tylko oni westchnęli cicho.

## Apokryf o pierwszej rybie

Trzy stawy spięte klamrą sitowia ukryte zostały głęboko pośród zieleni aż do dnia, kiedy myśliwy ujrzał ich plecy błękitne.

Trzy lustra nachylone równolegle ku wschodowi słońca, które z porannego snu bieży prosto ku nim, by podziwiać własną urodę.

Trzy brązowe profile opisane misterną linią cienia i wiatru, że patrzący na nie gubi się w zachwycie.

Jeziora otaczają wzniesienie zamkowe, pozwalając jedynie ptakom żeglować bezpiecznie. We wnętrzu wody mieszka sędziwy lin, który co noc opływa wszystkie zatoki jezior ciągnąc za sobą księżycową bruzdę. Odziany w srebrzystą łuskę z dwoma diamentami w oczach i perłową koroną na głowie, raz jeden, jedyny raz był widziany przez zagubionego w gąszczu nocnym myśliwego. Ten to człowiek zapatrzony w łagodność nocnego lustra przemyślał był, czy nie zamieszkać nad urodzajnym brzegiem i rzuciwszy poczwórnice

ofiarnie proso na wschód, na zachód, na południe, na północ, oczekiwał znaku rzeźbiąc róg obfitości na popiersiu światowida.

To było wielkie widzenie w księżycu. Srebrzysta góra płynąca zakolem, a wokół niej fontanna blasku. I purpurowy błysk pulsujący ostrą strugą. I dwa fosforyzujące reflektory bacznie wnikające we wszystkie załomy cieni. Sen nocy na moment przemienił się w szafirowy płaszcz, oczy sowy - wypukłe lustra wypełnione w obrzeżach chłodem i wilgocią, drzewa - melancholijny szept północy, od którego początek biorą baśnie i półbogi. Tylko piaszczysty brzeg jeziora pozostał święty i spokojny.

To było objawienie. Człowiek mógł dotknąć ciała Ryby. Wypłynąć z nią na środek wody i zejść na dno jeziora, zajrzeć do wnętrza nocy, poszperać w snach drzew, gili i trzmieli, zabrać na pamiątkę nic wór brylantów, ani węglowe rzeźby czy malachitowe tryptyki, nie to, i nie nocne bóstwa usługowe, ale krzemioną zapalniczkę, przy której pomocy zapalił żagiew wbitą pośrodku wzniesienia zamkowego, a na jej ostrzu osadził odwieczny symbol narodzin człowieka - RYBĘ.

W dniu ostatniej kwadry znoszono naręczą kwiatów i owoców jesieni i strojono nimi odrzwia bohantyni, rusalki wносиły do izby świętej niewód, z którego wróżono pomyślność lub klęskę połowu. Alabastrowa twarz Ryby coraz bardziej zaczęła się przekształcać w kamienny owal pełen po-pękań, wgłębień, w których odnaleźć można dawny kształt brzegów jezior, zasłuchać w śpiew lasów i trzciny ogromnych, odnaleźć wąską szramę księżycowej poświęty, którą pierwszy przybysz szedł ukosem ku swemu miastu.

I słusznie, iż ikonografię otwiera symbol ryby. I nie przypadkiem kosmonauta polski patrząc na Lublin obrysował go falistą linią wyschłego jeziora, przedziwnie zbliżoną do głowy ryby. I tak pozostanie.

Najstarsza ryba świata jeszcze tej nocy zeszła w najniższe pokłady legendy zabierając ze sobą połowę jezior, druga zaś połowa podzielona między trzech synów zaczęła się oddalać i nachylać ku rzece.

Nierządki w sieć łowiono karpia, suma, szczupaka LUB LINA.

## **Stolemy rodem z Czechowa**

W najniższych pokładach czerni rozciągało się ich państwo: promieniście do echa, którego początku nigdy nie ustalono, może ukryto w gwiazdach zimowych albo w warkoczu komety, promieniście do blasku w jego falach nocne słońce najdłużej się kąpie, a leśni ludzie czuwają wokoło.

O każdej porze można ich spotkać - mieszkańcy górnego Czechowa mają we władaniu porę deszczów i jesiennych wichrów: każde drzewo, idącego z targu, źdźbło słomiane albo zerdź wichrową omotają gęstą osnową wodną. Odziani w płaszcze chrześliwie turlają się po łąkach i leśnych polanach, wielka jest wówczas bojaźń wśród piskląt. Straszne ich sny. Pokutne. Ogniste.

Mieszkańcy dolnego Czechowa znoszą naręczą mgieł i zwidów w rozpadliny, jary i cienie - pora zmierzchu jest ich przeznaczeniem, wszędzie się wślizgną, uczipią każdego załomu aż wszystko oblepią w obłe formy. Wówczas same opatulą się w przesadne twory i pośród chrzęstu i wizgu biegną w głąb nocy.

Napotkany zwierz pada kamienną grudą. Uderzona w pierś chmura - kona długo. Męczeńsko. Szarpiąco. Wyciem.

Dwa potężne rody żyły w przyjaźni z ludźmi, a jeśli kto wezwał ich pomocy stawali chętnie do usług. Wzgórze Zamkowe usypali przez jeden pacierz, a dla zabawy jednym pociągnięciem dłoni wyżłobili jar, którym puścili wodę. Przeciw falom śnieżnym stawiali płoty z własnych ciał. W czas żniw leniwie pławili się w jeziornych wannach. Mocarni byli. Ponad modrzewia wyrosli. Sprytni w oszczepie. Miarkujący w sprawiedliwości. Najmłodszy w obu rodach Lubło i Lubło doszli swych lat, obaj w zapalczywości miłosnej upatrzili jedną białkę. Żaden nie chciał ustąpić drugiemu, więc stanęła między nimi zawiaść i chęć walki.

Tego dnia słońce otoczyło się czerwoni-) wstęgi), stada wichrów szarpały własne ciało. Echo nie nadażalo powtarzać uderzeń - grzmot rozsadał brzuch ziemi. Padający, zwarci śmiertelnym uściskiem, zapadali w węgielny las. Sami stawali się bryłą kamienną. I trwali spięci gniewem.

Pod opończą zieleni zdartą przez spychacz dostrzec można ich groźne barki pełne ran. W ich wnętrzu archeolog mozolnie rekonstruuje chwilę rozpoczęcia walki. Poeta szuka momentu, kiedy zapadając w sen zaprzyszły stołowym okiem patrzyli na dziewczynę idącą górą poranka: ostatnim gestem łapczywej dłoni chcieli ją pochwycić - dotknęli ledwie warkocza trawy. Pod wybrzuszeniem jesieni dostrzec można zmiażdżone barki - spopielale, jałowe.

Mówią, że kiedy księżyc złączy się z ziemią na trwałe, stolemy powstaną i stworzą krąg: dziewczyna, która będzie miała najbujniejszy warkocz zostanie ich królową. Ona jedna ujrzy zamek stojący od wieków na Czechowie - zamek świetlisty.

Mówią, że dziewczynka ta już się urodziła, a jej włosy są czarniejsze od czerni nocnej i czerni malarskiej, której używa się do trefienia warkocza Madonny.

Mówią, że chwila ta już nadchodzi.

## **Szkic do portretu lawowanego**

Trzy punkty wyznaczają granice miasta: Biel, Przenikanie, Kontrapunkt.

a

Wszystko narodziło się w Białą Niedzielę. Gwałtownie. Naraz. Od wnętrza jasności rozbiegły się pochyłe strużki ulic. W punkcie zbornym wypadł wawóz, niczym zaskroniec leniwie wygrzewający się - most zwodzony połączy Bramę Grodzką z zamkiem. Po przeciwnej stronie grodu dwa garby: gliniasty, nakryty płachtą ostrej zieleni - gniazdo rodowe jastrzębia; przysadzisty, uczepiony sukni miasta - calizną błyszczący. Cały dzień wpatrują się w wodne lustra rozrzucone dokolnie, liczą stada chmur, a może liczą szczuki lub liny. Właśnie wtedy otworzono korytarz dla zachodnich wiatrów, więc biegną gromadnie na rozlewiska i pogańskim obyczajem z dziwożonami w sitowiu biesiadują do późna.

Bardziej na prawo, wyrębana w gęstej zieleni przestrzeń - przaśna ziemia, nieporęcznie wyrzucona z dzieży świata. Na niej wypadło rysować pierwszy profil miasta linią wątlą i wietrzną. Znakiem ryby. Rzuconą linią.

b

Oto podwójny rytm miasta: niskiej melodii zanurzonej w przedmieścia i lśniących szczytów kamienic. Tędy muszą przechodzić szczerowojenni żołnierze, kupcy dźwigać drogocenne sukna i przyprawy, a królewscy gońcy wspinać się na strome wzgórze - płonąca żerdź ogłasza trwogę. Pożar i piorun tym korytarzem przebiegają. Procesje i pochód rewolucyjny. Żałobnicy i juwenalia. Wzdłuż tej linii mieszczanie wyznaczyli codzienny spacer słońca, wszystkie rozmowy tu się rodzą i umierają. Echo promieniście biegnie, odbite od murów zamku powraca zasapane lub zbiegłszy Kapucyńską turla się pośród ogrodów i łąk, aż je okoliczni chłopci chwycą na powrót.

Zielona krawędź powoli, powoli oddala się w głąb pejzażu, a wraz z nią poranny krzyk koguta, kąkol i lebioda. Już nie mosiężne hełmy gotyckich baszt i nie iglasta chorągiewka ratusza i nie krzyże katedralne lecz smukłe, jak biodra kobiet, kominy dźwignęły wyżej strop błękitu - możemy spojrzeć poza horyzont każdego przedmiotu. Coraz bardziej przenika nas chłód architektonicznej kalkulacji. Stojąc pośród stada oszalałych aut z zazdrością patrzymy na jaskółkę, jak nieomylnym lotem wynajduje w labiryncie dnia furtkę przestrzeni. Poszerza się horyzont ulic.

c

Kontrapunkt - ulica ukryta za fioletem. Trwała tak aż do momentu, kiedy rozebrano stary dom: strumień światła lunął na pogarbiony bruk. Nagle wszyscy ją odkryli. Cugów telefonował do wszystkich poetów i uchodzących za natchnionych: Stary, wybierz się tam! Koniecznie musisz zobaczyć, mówię ci, stary, jaka żółć, niemal pałący oranż, można oszaleć z zachwytu. Ludzie cały dzień na klęczkach wpatrują się. Pośpiesz się, bo jak ci cwaniacy z telewizji zwąchają, zrobią blichtr. Stłamszą. Obskubią. Wyplują... Czysta poezja, stary. Kontrapunkt - dwoje w łuku popołudnia, Srebrzystooka i jajogłowy. Obliczają, co bardziej opłaca im się opłaca, kupić najnowszą powieść laureata Nagrody Nobla, czy wybrać się do „Czarciej łapy” na podwójne lody z bakaliami. Ponad nimi półluk gotycki grubą krechą rdzy narysowany pośpiesznie. Srebrzystooka i jajogłowy, Kontrapunkt - różowy szal zawieszony na chmurze jesiennej. Ostatnia chwila babiego lata. Od jutra wiatr włoży płaszcz brunatny. Zieleń skryje się za zasłoną chłodu. Nad Lublinem otworzą parasol jesieni. W osnowie deszczu wypadnie wracać zakochanym do śródmieścia.

Zimne krople ciężko stukają w okno Lublina.

## Kogut z kartusza herbowego Czwartka

Już w przedwieczorz, kiedy rozgardiasz i tumult jarmarczny opadał na rozległe klepiska a wiele wołów było w odwrocie do wsi i tylko żydowskie i ormiańskie budy ciągle otwarte, co obrotniejsi przeliczywszy obroty spluwali z ochotą w monety i chowali je głęboko w odzież. Dzień był parny, dużo potu spłynęło nim ubito targu, od przebijania puchły dłonie, posypało się też mrowie słów na grubiaństwo chłopów zdzierających ostatnie sukmany z miejskich, na oszustwo wag i podrabiane złoto, a ilu żydków biegało wokół zachwalając towar, ilu Ormian napraszało się, aby powaniać przyprawy zwiezione aż z Lwowa. Kiedy ta nawała opadła razem z przewiewem wieczoru, zaraz ten i ów rozejrzał się wokoło, korciło potargować się jeszcze, ale już ochoty nie stało na tyle, więc od razu podejmował decyzję i szedł do najbliższej karczmy „Pod Zieloną Podkową”, gdzie już wiele ław było zajętych. Pito niby to z umiarem, ale że różnych pociotków, kumotrów, a wreszcie znajomków wciąż przybywało, tedy płynął wartki strumień w gęby niby Bystrzyca. Co i rusz szło się w kłótnie, dało w pysk kumotrowi, przygadać było dobrze gospodarzowi, że piwo tak dobre jak jego dziewczki, muzykującym przypomniało, co warto, żeby na skrzypkach i basetli, i bębenku wygrali, żeby zagłuszyć w sobie żal przepitych już groszy, a też zagłuszyć pijacki ryk szlachetki, który pół stał a pół leżał na ramionach pachotków trzymając chwacko kufel piwa garncowego.

Nie ta jedna karczma ugiwała się od naporu gości - czwartek był dla nich dniem odpustu. Szykowano się do niego zaraz po niedzieli, a teraz pot z gospodarza i jego służby płynął taki sam jak u gości: trzeba każdemu dogodzić, przymilić się, polechtać jego swawolę i żartem rzucić, a co swawolniejszy, tym głośniejszą salwą śmiechu kwitowano. Co przytomniejsi pamiętali, że wstąpili „Pod Zieloną Podkową”, aby wzmóc w sobie namiętność do białogłów, przeto szybko wybiegali i już w gęstniejącym mroku, potykając się między wozami, zwierzętami a i opadłymi od picia woźnicami, zdążali sobie znajomymi ścieżkami ku domom skrycie stojącym na Czwartku.

Mało kto sprawdzał, czy nad wierzejami wisi blaszany kogucik, szło się pewnie wiedząc, że Małgoś o każdej porze dnia jest chętna a inne nie od tego; piersiasta Jaga taką miała w sobie gorącość, że i dwóch potrafiła ciągiem zmóc, a potem zwała ich z łoża, aby inni weszli do łożnicy; co innego Natka o czarnych lekko zamglonych oczach i grubym, nad podziw tłustym, warkoczem - jej mać stała na straży i byle pachotek czy smrodliwy chłopiec nie przestąpił tu progu, jeno wybierani podle ubioru lub stały klient z miasta, jako to podpisek, którego żona miała swego gacha i ten aż na Czwartek zachodził a zawsze szczelnie okryty płaszczem dla niepoznaki albo jurysta Kalita, owdowiony na wiosnę, żalił się na jędrnych piersiach Natki, że musi co wieczór kłaść się do zimnego łoża jakoby do trumny, a przecie w ratuszu nie raz wypominał, że trzeba wszystkie publiczne dobrzedziałki usunąć z miasta, bo już niesposób uważać Lublin za miasto bogobojne i przykładne.

Pod czarną chustą nocy miasto przedziela niewidoczny welon cnoty: młódki i matrony z ochotą idą w łożnice czynić powinność sakramentalną, ich konkurentki też z ochotą czynią w ciemni izb przeliczając

każdą monetę, bo nuż wpadnie węgierski kruk albo z braku przepitych groszy da się wyłudzić wisior korali lub chustę.

Nocą łatwiej się otwierają zakamarki duszy, nawet dogłębniej w izbie rozpustnicy niż w nawie farnej: siedzą obok siebie i piją grzane piwo, a jej golizna jest mu przyjemna, bo może sięgnąć i po ogórek kiszony i po jej pierś albo pod poję koszuli, ona cały czas obraca językiem przeciw kurwie Jadze, co to tylko potrafi przepuszczać chłopca za chłopem jak ziarno w rzeszocie, nic im nie dając z miłości, co innego ona, u niej każdy zagrzeje gorącości i jeśli tylko ma, co winien posiadać, może i noc całą przespać bogobojnie.

Na końcu zaułka nocy stoi kamienica wcale zgrabna, jakby bokiem przesunięta, więc niełatwo dostrzec nad drzwiami dyndający herb - blaszanego koguta, co nocą bardziej przypomina kitę lisią u czapy. Sprawujący pieczę nad zamkiem kat miejski był zawsze na podporządku, wszak nie każdy zabierał się do roboty jak w małżeństwie, ale czynił zamęt krotochwilny.

Kończyło się na wywleczeniu opoja przed kamienicę, zdarciu z niego co cenniejszych rzeczy, spraniu po gębie, a kiedy mimo to domagał się swoich praw, lądował w krzypocie - stąd długo gramolił się między lebiody, pokrzywy i śmietnisko. Zostawało tylko doczołgać się do domu. Skarga w ratuszu wywoływała tylko śmiech.

### **Astralny krąg pełen tajemnej mocy**

Dzień ten zapisano w Kalendarzu Wedyckim cynobrem indyjskim stawiając po przekątnej świetliste znaki ewangeliczne, a pod kreską całkową umieszczono złotostrzałą literę L owiniętą szczelnie arabeskową koronką. Na siedmiu dzidach zawieszono rubinowe Księżycy: a. migdałowy pełen lubelskich legend, których bogowie często słuchali udając się na krańce ziemi, gdzie sprawowali swoją powinność; b. blachogrzmiący - to jego gniewny wzrok mieszkańcy Bursaków porą głębokiego snu ocierają ze spoconych twarzy; c. człowieczy - najniżej zawieszony, że ledwie mur miejski dotyka chłopięcą dłonią. Urodzeni pod jego kołyską wiecznie marzą o morzu łaskawości; d. zwycięski, gdyż pierwszy jest i ciągnie za sobą wszystkie kolory. Kiedy nadchodził świt wolności on jeden stał zuchwale w poranku; e. wiejski z koroną jaśminu i macierzanki, a w uściech dwie piszczałki - kochliwy, zapatrzony w zielony krajobraz wiosny; f. mistyczny - nachylony en trois quatre do śródmieścia: wpatrzony na stałe w granitową stellę, pod którą śpią czyny wojenne; g. czechowiczowski, wyciągnięty zza pazuchy w przeddzień żegnania się z zaułkiem dzieciństwa. Nieporadnie wycięty z obrusa świątecznego, ale pełen uwielbienia i pokory.

Dzień ten zapisano w Kalendarzu Wedyckim pod znakiem przelotnej burzy. Jej ciepły płaszcz opada na plecy zakurzonego miasta: zatechła szarość przemienia się w jedwabistą czerń, dopiero teraz widać z ilu nocnych krajobrazów składa się każda ulica.

Dzień ten zapisano w Kalendarzu Wedyckim symbolem koła otwartego ku północy. Stamtąd spodziewano się nadejścia. I stamtąd miał przybyć goniec szkarłatny.



## Wspomnienie

W dzień targowy najwięcej jest ludzi o lisim spojrzeniu, co to dojrzą natychmiast wszystko i nim słowo padnie, oni wiedzą kogo ręka zaswędziała i ile trzeba przebić, jakby szło o los, a to tylko targ idzie o maszynę krawiecką „singer” za loszkę i cetnar pszenicy.

W dzień targowy aniołowie przesiadują w zakrystii i uważnie sprawdzają księgi żywota - komu znak TAU postawić, a komu nazwisko podkreślić grubą krechą, choćby ten cwaniak prowadził piwiarnię chrześcijańską i czekał niedzieli zielonej dla swej córki, kiedy przyjdzie po nią Eli Zaler i uniesie za przepierzenie brązowe.

To jest wielki cymes, to jest, jak do worka pustego wsypać zawartość trafiki z wyrobami monopolu tytoniowego. Aj, taki cymes spotkał pana Wajsblecha, właściciela bazaru naczyń, że nim świt otworzył okiennice, mieszkańcy ulic Nowej, Kowalskiej i Szerokiej ujrzeli Wajsblecha siedzącego w obłoku, w otoczeniu czterech synów i czterech córek, i żony, i pomyłonego brata, i psa Fofka, i tak wszyscy pospołu oddalali się w głąb pejzażu, by zmartwychwstać na zdjęciu przygodnego fotografa, do góry nogami, ukrzesłowieni w zachwycie zaręczynowo-weselny.

Tylko pomyłony brat Wajsblecha, Aaron, trzymał w lewej dłoni banderolę w języku jidysz i śmiał się, iż może nareszcie z najwyższej wysokości niebiańskiej patrzeć na Lublin, aj,aj.

## Mistrza katowskiego przypadek złowieszczy

Mistrz Ambroży Bulwieć, zwany potocznie Bulwa dla swego ogromnego nosa, który pod dyniastą twarzą wyrastał niczym brukiew, tej wczesnej godziny porannej stał w oknie swej izby i pozierał na wnętrze miasta. Chłód ciągnął od okna, snać nie domknął go po powrocie, ale jakże mógł to uczynić, skoro ledwie wspiął się na górę. Nie próbował nawet dochodzić wczorajszego wieczora: schlał się i to do końca, a powodów było kilka, z nich zaś znaczniejszy, to wydobyte przyznania się do rozboju łotrowskiego dwóch pojmanych hultajów. Dopiero, kiedy ich z pomocnikiem podciągnęli na sznurze pod belki i iskrzący pręt zbliżyli ku twarzy, łotr zapiał piekielnym dyszkantem. Puścił parę z gęby. Chybcikiem też potwierdził wszystko, o co go obwiniano. Jego towarzysza nie trzeba było poddawać próbie ognia, zrobił wyznanie na samym początku, kiedy mistrz uchwycił go w swoje żelazne ramiona i wygiął niczym pręt łoży, coś tam chrobotnęło w krzyżu, łotrzyk omdlał, ale chlust wody otworzył mu oczy - z jego ust popłynęła krew razem z belkotem słów. Pchnął więc pomocnika do pana wójta, aby przekazał, że obaj winowajcy są gotowi stanąć przed sądem i ponieść zasłużoną karę. Znał swój fach mistrza katowskiego, a przez długie lata posługi w Lublinie niejedno ulepszył.

Aleć, czy panowie rajcy albo sami mieszkańcy darzyli go należytyym splendorem? Tfu, wystarczy popatrzeć jak żyje, nie przymierzając, jak wieprz: izba ciasna, łożo, stół, dwa zydle, skrzynia i piec kuchenny, który zimą nie daje za wiele gorąca. Tfu! łajdackie życie.

Mistrz Bulwieć wyjrzał przez okno: jak zwykle o tej porze śpieszono na Rynek Rybny, aby utargować co lepsze sztuki, ulicą przechodzili drwale dźwigając na plecach wysokie stosy polan, kobiety już rajcowały. Nad dachami kamienic zawisła ciężka zasłona niepogody niemal dotykając wierzchołka Bramy Krakowskiej a już smukła wieżyca fary zupełnie zaginęła w mglistej poświacie: nie dziwota, że go tak łamie w chromą nogę - pieska pogoda i takie życie.

To czego nie zrobił wczoraj, musiał teraz dokonać. Wychylił się z baszty i jął uważnie przyglądać się budowie. Nieraz tak już robił, ale wtedy pozierał na domy poustawiane naprzeciw muru miejskiego, stłoczone obok siebie niczym tłum dziewczek pod ścianą, trwożne i gotowe do ucieczki chybotwały się na krzywiźnie ulicy. Dla nich nie starczało już miejsca wewnątrz miasta - pchały się jednak bliżej muru dla pewności obrony.

Pod oknem czerniała duża wyrwa w murze, nie dostrzegł jej latem, taki ogrom kamienia wyłuskał deszcz i zepchnął w dół między krzewy płonące paździrnikiem. Przecie nie był to pierwszy, w niedzielne popołudnie wypadł inny głaz i tuż przy polepie pieca otworzyła się dziura - zatkał ją deskami i nakrył workiem grochowy. Takich dziur w izbie można było naliczyć jak kostek w różańcu. Ba, żyje jak kudłacz w lesie, trzy pale podpierają belki, gdyby się o nie oparł mocniej, dostałby po łbie jak wtedy, kiedy wracając nocą od Grubej Berty raczył zapomnieć, że płacze się po izbie - dwie niedziele przeleżał pod kożuchami smarowany sadłem borsuczym, a gromniczna paliła się u wezglowia. Na okoliczność cudem uratowanego życia i jeno chromej nogi, jako też grubej szramy na łbie pobiegł przed świętego Michała do fary: uzałił się na swój sobaczy los, wypomniał czas dzieciństwa, obieżyświata, przystanie do parszywych ludzi, a zawsze wypadało żyć poniżej innych, usługiwać, czapkować, odbierać po pysku, to i patrzył wilkiem, a złość go wypychała niczym plewy płachtę. Nie imać się go żadne szczęście, bo inaczej miałby białołowe, a niechby już był i nosiwodą lub śmierdział zółcią i pęcherzami rybimi, niechby już nawet to.

Splunął i trzasnął drzwiami, posypało się nieco gruzu. Z odrazą spojrzął, zali belki podpierające basztę nie obsunęły się i przebiegł go trwożny lęk - jak on mógł od zaprzeszłej jesieni usiedzieć w tej norze zawieszony u muru i nie odpadł odeń wraz w głazami.

Mistrz katowski był gniewny tego dnia: wczoraj został ogołoceny z monet, zawsze te trzydzieści groszy to duża strata, a komu zdoła udowodnić, że go okradziono. Wyśmieją go: „Ambroży, wszak to o tobie epitafium rzecze - Tu mistrz katowski Bulba, wielki pijanica leży bo w kuflu utopii się sam z resztką odzieży”. Jeszcze się odezwała flegma i pierś ściska psubratnica, jakby obręcz nabito na ciało i to jeszcze, że zamknięty w lochu przybłąda, którego pojmano w czwartkowym targu, gdy obmacywał miśzek kupca bławatnego, jakimś czartowskim sposobem uciekł spod jego władzy i nie będzie przebadany, a umyślił dlań widowiskową karę - praszczęta.

Przybity bólem i gniewem szedł w stronę Baszty Małej, bo tam wyznaczył mu spotkanie pan Hipolit Pilsztyn, rajca miejski.

Zamyśliwszy się nad swoim parszywym losem, którego nie wiedział nigdy jakiemu świętemu polecić szczególnej pieczy, mistrz katowski takiej się poddał żalości nad sobą, że powieki mu nabiegły słozami ciężkimi, aż musiał sięgnąć po płacheć sukna, by wysiorbać nos i przetrzeć ślepia. Nie dostrzegł wykrotu

przekopanego dla spływu nieczystości w poprzek ulicy Rybnej i jak szedł przygarbiony, tak runął do przodu uderzając głową w bal, aż się krwią zalał ciężko.

Coś go przygniotło trwale. Coś go ścisnęło w gardle tak gwałtownie, że zatrzepotał bezradnie nogami. W tym bezradnym strachu powstał na nogi, obrócił się jak ślepiec i runął na ziemię, trzymając się za szyję, jakby niewidzialna pętla zaciskała mu się na niej złowieszczo klamrą.

## Targ Słomiany

Tego dnia święty Marcin na szkarłatny płaszcz nakłada samodziałową kapotę, lniane portki przy kostkach obwiązuje łykiem, zadają mu na plecy kosz wymoszczony plewami - leżą w nim wypalone gwizdałki, potrójne dudki, piskliwe kądziółki i rubaszne trałki o pawich oczkach, a popod nimi taczanki zwane przez chłopów „bździuchy”.

Porą otwierania bram miejskich tłum przepycha się w stronę targowicy, obieżyświaty układają w kolejności opowieść o potopie świata i o człowieku na jednej nodze mieszkającym na antypodach,

chromy śpiewa nową wersję swego nieszczęścia: rażony piorunem, cudem powrócił do życia za sprawą świętego Stanisława biskupa,

szalbierz chytrym okiem wypatruje kupca, któremu odsprzeda pierścień rzadkiej cnoty i natychmiast ucieknie bramą południową,

kuglarze w żółtych nogawicach zachwycają oczy mistrzowskim balansowaniem na skocznej linie, łykają ogień i dym puszczają uszami,

spodousty kaznodzieja szuka miejsca dla kazalnicy - ma pusty mieszek klasztorny, lecz jest dufny w pomoc Opatrzności,

litewski chłop spięty łańcuchem z niedźwiedziem ponuro wlecze się drewnianą ulicą. Wszyscy z trwogą patrzą: który z nich groźniejszy?,

dwaj nedorobieni synowie pchają wózek obciążony smolnym łuczywem oblanym łojem baranim, do każdej wiązki przypięto gałąź jałowca.

Pobożny i łotrowski. Rubaszny i modlitewny. Ckliwy i perwersyjny. Falujący jak wysoki podmuch wodny, od straganu do straganu, od jednej ciżby do nagłego zbiegowiska, tłum chce wszystko widzieć, dokładnie słyszeć, spamiętać. Pomacać brzeg lnianej zasłony. Zachwycić się haftem różanym. Strzelić palcami w takt skocznej melodii. Tuż za płotem wiklinowym króluje zapach słomiany, łagodny. Usypiający. Naręcza snopów żytnich niczym pułki ustawione na pacierz. Stoją szeroką ławą. Kupczący obmacują delikatnie łodygi, wachają, biorą w usta - ssą. Po smaku rozeznac można, na jakiej ziemi ziarno dojrzało. Po kolorze widać, ile czasu stało w kopcach na polu i czy siekł je deszcz. Po wiotkości określisz, czy bijący cepem młócił w takt pieśni czy też walił od ucha, na udry.

Na podściółkę wystarczy słoma krótka, może być nawet szarpana, ale do łóżka proboszcza prosta, nie łamliwa, kłosa odciąć od razu.

Do wieńca późniwnego wszystkie łodygi jednakowego wzrostu, słoneczne w odcieniu. Zawieszony u powały kościoła musi dotrzeć przyszłego lata, jędrny i powabny.

Snop, który stanie w rogu izby musi być w sobie zwarty, górą lekko rozłożysty, jak panna na wydaniu, obejmiesz ją w biodrach - twarda.

Przed tryptyk Madonny: kłos po kłosie dobierany rękoma bractwa różańcowego zawiera w sobie wszystkie odcienie lata. W mlecznym blasku łodygi kryje się najdłuższa noc księżycowa, w złocistej barwie - gwałtowne kochanie pogórza przez słońce, popielnym pomazaniu - posucha zżerająca skórę pól. Teraz trzeba ułożyć z nich wszystkie tajemnice różańcowe i między zdrowaśki wpleść różane pąki.

Byle lebiega garść jęczmiennej słomy lub owsianki wciśnię sobie pod stopy rad, że ciepło czuje od spodu, ale nigdy podzwonny lub stróż bramny czy placowy. Zaglądają do środka, tu wyciągnie garść słomy, z tamtego snopa trochę uszczknie, spodoba się, każe zdjąć powrósło, rozsypać snop, bebeszy z lubością we wnętrzu żyta.

Na workach siedzą białki i plotą słomiane warkocze. Palce same pracują, gdy oczy chciwie popatrują przez szpary w tłumie na stragany. Kiedy warkocz dosięgnie swej długości, wiążą z niego kobiałkę, misę lub dzban, misternie przeplatując sznurem konopnym wiązania im tylko znane.

Chocholny strażnik czuwa nad miarą: na lasce dębowej dokładnie odciął wzrost, jaki należy się słomie żytniej luskanej ręcznie, a jaki targanej w młócce wołami.

Do jego obowiązku należy ogłaszanie końca targu: wówczas słońce szybko kryje się za wrota targowicy - znak, że do nieszpór został pacierz. Skręconym na chybcika ze słomy biczem przepędza opiesziałych.

## **Tatary**

Strzała tatarska jak bystrooki lot jastrzębia stepowego uderza gwałtownie w nachylone plecy: rozpaczliwy krzyk biegnie w głąb i wraca konająca, modlitwą; ci, co nie zdążyli zbiec w sitowia lub łoży podgodzia biegną z jej grotem naprzeciw żalobnym dzwonom Lublina.

Strzała tatarska przebiega po najkrótszej cięciwie zemsty znaczy ślad ostrym błyskiem ognia: stań profilem i otwórz jej furtkę na południe Europy, jeśli życzysz sobie i miastu spokojnego dnia. Grad strzał tatarskich zagłuszył poranny psalm wiatru. Czarną chmurą płynie naprzeciw smagłych kopuł i szczytów gotyckiego miasta. Ile z nich dosięgnie chorągwi kościelnych? Które wszczepią się w płaszcze rajców miejskich, a które ogień podłożą skryte cichaczem za attyką kamienic. Może odbite od blasku majowego słońca poszybują nad bagna chowające się lekliwie w welonie mgły lub uderzą w zielony pas dąbrowy.

Wysoki jest mur lęku. Wysoka jest miara męstwa. Pobożny trud kaznodziejów zakonnych szczelnie okrył mięśnie wątpiących w ocalenie. Szydercza chęć plugawienia najeźdźcy wypełnia gęby pospólstwa. Dłonie nie chcą opuścić główki miecza. Kotły gorącej smoły bulgocą nieustannie.

Po przekątnej świtu stoi obóz tatarski. Wszystkie oczy namiętnie wpatrzone w purpurowe biodra miasta. Szukają łagodnego zakola - nocą z tej strony uderzą, tędy wsunie się chytry łeb smoka i trującym kadzidłem uśpi zmęczone strażę, a potem... niech Allah na serdeczny swój palec włoży pierścień wypełniony zdobytym miastem. Strzała tatarska coraz wolniej krąży nad Lublinem. Nie ma już w niej chęci zemsty. Jest zachwyt dla srebrzystych błysków mosiężnych dzwonów, pióropuszu barw nakrywających ciepłym płaszczem wszystkie dachy.

Pozwólcie, panowie Polacy, że ja, Mustafa Tuhan Mirza, lis stepów mongolskich, syn gwiazdy i matki śpiącej w kryształowej jurcie, że ja, bystronogi dżyngis, któremu wiatr jest kuzynem a błyskawica - mlecznym bratem, pokłonię się waszemu miastu; niech oczy moje ujrzą przedsiónek rajy, niech opowiadam wnukom i prawnukom, że jest za bramą Podola gród otoczony słoneczną chwałą, żadna z naszych strzał nie przebiła pancerza waszego męstwa, to pewne. Co wy na to, panowie miejscy, my wam nagonimy stada koni pławiących się na bezkresnych stepach naszej ojczyzny, wy dajcie mi za żonę białogłowe. Hejnał trąbiony na odwrót będzie waszym hymnem zwycięstwa. Dla niej stoi już od dawna jurta pełna rozkoszy, niech wejdzie i skosztuje. Jeśli taka wola wasza, oddam kołczan i siodło. Zostanę przy niej tam, gdzie ostatnia strzała wbije się nisko w pochyłość przedmurza miasta.

Strzała, która jeszcze wczoraj krążyła nad Lublinem płomiennym znakiem stepowego smoka, dzisiaj jest już tylko błękitnym zarysem herbu w polu liliowym: zawołaniem polskich ułanów tatarskich. Rotmistrz Aleksander Mustafa Jeljaszewicz, dowódca szwadronu tatarskiego 13 Pułku Ułanów Wileńskich o świcie 23 września 1939 roku na czele szybkiego oddziału rozpoznawczego, unikając starć z nieprzyjacielem, wyszedł na przedpole miasta Lublina. Stał w strzemionach. Na moment zapomniał, że tropem jego oddziału idzie cały pułk - zasłuchał się w sobie, w odległy śpiew matki z kryształowej jurty. Oczy pradiada spojrział na miasto: płonęło. Jesienny szal smutku rozlał się szeroko.

Żegnając miasto, zegnali ostatnią chwilę wolności. Rotmistrz Aleksander Mustafa Jeljaszewicz uniósł wysoko szablę. Oddział ruszył kłusem. Buńczuki uczeplone lanc wypełniły się tatarską melodią. Słyszeli w niej stepowe zawołania, skowyt przelatujących pocisków i straszny krzyk ziemi rozrywanej szrapnelami. Słyszeli jękliwy śpiew imama Ali Bajraszewskiego: stojąc u wrót meczetu świętymi oczyma widział ogień płynący niebem od zachodu i ujrzał jak zza jego zasłony wybiega na siwym bachmacie ostatni dżigit Rzeczypospolitej, a za nim lisim truchtem podąża oddział tatarskich ułanów.

Na ostrzach szabel nieśli honor i przysięgę złożoną Białemu Orłu i Półksiężycowi.

Mijając to najdziwniejsze ze wszystkich przedmieść Lublina, obejrzeni się: rdzawa rana rozszerzała się gwałtownie. Pośrodku kałuży ognia Tatarzy wołały o wysoką fałę deszczu, a nadbiegł suchy wiatr stepowy.

Rotmistrz Aleksander Mustafa Jeljaszewicz salutował miasto i przyrzekł sobie, że po powrocie postawi swój dom między krzewem jałowca i bzu tak, aby poranne okno patrzyło na ostry zarys Starego Miasta.

## **Zapis drzeworytniczy**

Z perspektywy ptaka błękitu lecącego otwartym powidokiem poranka i zdziwionego spojrzenia fotografa pragnącego uchwycić moment otwarcia śródmieścia, z podwójnej perspektywy wybieram niespokojny rytm linii biegnącej od Bramy Krakowskiej aż ku zachodowi słońca. Zagęszczam czernidłem brzeg światła. Pionowe płachty czerni groźnie zwisają skalistym poboczem. Płochliwa szarość kryje się w załomach. Rzadkie błyski bieli - w ich półcieniach zbudzonych z nagła toczy się nasze życie: psa ciągną na powieszenie, kurwa twarz myje w alkoholu, spragniony szuka spowiednika, starzec palec mleczny ssie po kryjomu, wypowiednik szuka ulicy prowadzącej do rajy, kominny ptak płacze nad zburzonym gniazdem, biegnący miastem pyta o gospodę, gdzie umówił się z żoną na podwieczorek - to jest nasze życie.

Za przypadkowym wycięciem czerni jest pokoik nauczyciela - stos zeszytów i honorarium za wiersz horyzontalny. Marzy mu się kariera poety: lot nad górną perspektywą miasta stale w otwartym żaglu błękitu, stale naprzeciw twarzy ptaka. Jeśli schodzić, to tylko lotem pioruna aż drzazgi powietrza zasypią oczy fotografowi, aż w oknach śliska luna zakrzyczy wybuchem. Może wtedy ktoś odwróci się od śniadania i spojrzy inaczej na panoramiczną fotografię miasta, i zacznie szukać własnych śladów, i dojdzie do otwartego okna, i zajrzy do wnętrza, gdzie sam siedzi nad uchylonym lustrem - ikonny portret. Dłonie zdenerwowane. Nogi obumarłe. Ciało odbite od ciała miasta - wiotczeje wewnątrz. Dobrze, że niebo oczyszczono z chmur, jasną kopułą zamyka kompozycję po południu. Dobrze, że drzeworytnik trójkątnym dłutkiem naniział długie błyski na skórze - miasto oddycha.

## **Czartów lubelskich cudne sprawy i ich przypadłości**

Z rejestru czartowskich imion, przezwisk i epitetów trzy pozostają nie wpisane, a to z tej prostej przyczyny, że za mocą tajemną onych pisarzowi miejskiemu linia koślawa biegła w poprzek księgi, albo sprośny zwis wychodził ilekroć odważył się pomieścić je w wykazie.

Stąd na próżno ich szukać pośród spisu czartów, napaśników, gniewników, kusych i biesów. Czyż spotkasz ich między polskimi i obcymi, jak: Chejdasz, Gajda, Bież, Kiczka, Fugas, czy też w gronie diabolic: Wenda, Ossoria, Chorzyca. Przyodzienie niewieście nie ma u czartów nijakiego rozróżnienia.

Istnieć istniały, co potwierdza kantor kolegiacki zeznając w przytomności umysłu współ z sukiennikiem Damazym, zwanym dla skrótu Kitką, jak też Anna Stelmaszka, matka czterech dziewcz. Godzi się wspomnieć, iż są to ludzie bogobojni i cieszący się słusznym szacunkiem.

Potwierdza to również stryj mego pradiada, który był w bliskiej zażyłości z Pachoniuszem, pustelnikiem mieszkającym trzy staje od Bramy Grodzkiej, w parowie otoczonym gęstą ścianą lasu. Był to

mnych wielkiego umysłu i jeszcze większej pobożności. Piszący stale o Lublinie Henryk Gawarecki wspomina o brakującej karcie księgi miejskiej z 1501 roku in folio, której nigdy nie odnaleziono, a którą Jan Protasowicz, wierszokleta minorum gentium, rodem z Pińszczyzny, więc mój krajan, był jako ostatni oglądał podczas odpustu u dominikanów lubelskich.

Potwierdzają oni, iż mając do czynienia z mocą demonów, wbrew woli, a nie mogąc być od niej uwolnieni, musieli przystać na przebywanie w ich towarzystwie, aż uwolnieni byli przez księdza Hieronima Pliszkę, znanego w województwie lubelskim egzorcystę.

Nierzadko bywało, iż czartowscy bracia w jednym kubraku stawali przed nim i wtedy kazali się zwać Libo, choć każdy z nich miał swoje imię, a to: Lubawka (zwany Fart), Linko (ten zaś w każdy piątek przyodziewał się w kobiece odzienie i jawił się jako Swarzenica), Labola (najmłodszy, najchętniej odziany w fartuch łaźniarza, gdzie mógł pod osłoną pary członki napastować tudzież zatykać otwory w ciele ludzkim).

Takie jest ich opisanie: Lubawka - potwór arcystrasliwy, z płomiennymi od zachłanności oczyma, z byczymi nozdrzami i grzbietem obrośniętym psią sierścią, z małpim pyskiem na piersi a kocimi ślepiami na podbrzuszu, z ponurymi łbami psimi na kolanach, z łabędzimi nogami i podwiniętym ku górze ogonem półkciowym. Rodem jest z białoruskiej osady, gdzie żył z białogłową ponad miarę. Idąc śladem braci, upatrzył sobie lubelskie podgrodzie. Wracający z targów nie śmieli obrócić wstecz głowy bojąc się, że koń i jeździec nigdy do wsi rodzinnej nie trafią. Za jego to sprawą razu jednego woda w Bystrzycy przez trzy tygodnie zionęła padliną i nieczystościami zwierzęcymi. Lubiał tenże Lubawka w przedwieczorz wałęsać się parowami, a to jako pasterz szukający krów, to znów uwalony w gęstwinie jeżyn czekał, aż ktoś sięgnie po owoc. Najszybciej go może wypatrzeć pies domowy, skomlać i chowając się w mrok izby, znak, iż potwór jest tuż, tuż. Gdy dojrzysz go, pośpiesz się stanąć twarzą ku słońcu i zanuć spamiętaną pieśń dzieciństwa. Nocą pod żadnym pozorem nie obracać ciała w stronę luno, od której bierze Lubawka moc tak przemyślną, że może ci się jawić dziewczką kochliwą lub studentem o wdzięcznym oku. Noszący na piersiach hanyż polny lub kielb czosnkowy żując bezpiecznie mogą chodzić nocną porą.

Linko - tyleż straszny, co przebiegły, o twarzy pół kobiety pół tygrysa, o sześciu dłoniach zakończonych haczykami, na miejscu brzucha nosi puszysty miech, z którego wydziela woń zgubną lub wedle potrzeby upojne zapachy puszcza, na łbie nosi misternie plecione warkoczce, z których zwisają paszcze żmij poleskich, ma nietoperzowe uszy dwa razy potrójnie ustawione nad sobą, a cały jest okryty materią śliską i powabną, tylko nogi przyodziewa w żabie skoki, co mu zezwala szybko poruszać się w wodzie i powietrzu, bo na plecach skrzydła jastrzębie i sokoła i pelikana, ptaka znanego tylko na antypodach.

Pierwszy przybył i nasamprzód zamieszkał na Borsukach wiele upokorzeń wyczyniając gospodyniom, jak i zwierzętom domowym. Kiedy mury miejskie przesuwano, ten niecny frant obrócił nocą miasto nie w tę stronę, stąd po następne wieki niektóre ulice wytyczono bez rozsądku, co każdy szybko odgadnie, jeśli tylko dopuści ten argument. Mniszce wstydlivej od brygidek w wigilię świętego Jakuba był się objawił jako krzew jaśminu, a kiedy ta z uwielbienia omdlała, wyczernił jej ciało smolną maścią, a na ścianie wyrył pogańskie malunki. Nie bez powodu zowią go wojewodą grubego cudzoziemstwa, gdyż zwykł odziewać się w niemieckie pludry, kapelusz szwedzki, a twarz kryć pod francuskie pachnidła. Ileż białogłów dało się uwieść temu kadukowi. Pewien chłop z Nałęczowa, Bartek Radło, nie rozpoznał w przybłądzie grającym na

radlicy samego Lubawki, najął go na parobka, bo czas żniw nadchodził. Zapytany, jak go ojcowie zowią, rzekł: Czeczot. Kiedy nocny kur zapiał, zamienił chłopca w beczkę, a sam legł przy kobiecie. Nazajutrz synowie potoczyli beczkę pławić i tak utopili rodzzonego ojca. Wpadli w obłęd, sierpem rozpruli żywot matce, a sami obwiesili się u rozstajnych dróg, pierwiej z ogniem puściwszy domostwo. A wszystko to za sprawą nieczystą.

Onego Linko widziano w czas pożogi miejskiej R.P. 1569, jak silnym podmuchem starał się płomień naprowadzić na seminarium stojące przed kolegiatą, a potem z żagwią biegał wzdłuż ulicy Kowalskiej i ciskał nią w okna wołając: Otm się doczekał! Dopiero chroma baba ujrzała jego żabie nogi i podniosła larum, ale diabeł wcześniej wszedł w odzienie jej kumotra. Trzydziestu person biorących udział w poszukiwaniu Linka nigdy się nie doliczono; dziwnym też trafem wokół wzgórza zamkowego rośnie tyleż osik, smutnie patrzących na miasto.

Labola - nieodrodny brat bliźniaków o twarzy lisiej i żelaznych powiekach nabitych na obrzeżu szpilkami bez końców, zamiast ust używa ryja, który może wypuszczać na znaczną odległość; odziany jest w płową sierść osła, a od brzucha po szyję ma wygląd kameleona, pośrodku czoła żarzy się jadowite oko ciągle zmieniające barwę, krótkie jaszczurcze łapy mosiężną moc posiadają, tylnych nóg nie ma, a tylko ogon fauna rozczłonkowany ku końcowi, co daje mu możliwość wznosić się na nich niebywale wysoko i cichcem przemykać się, dwie srebrne wstęgi biegną przez grzbiet podług układu Skorpiona i jedna krwista pod brzuchem mechatym. Wielce łakomym jest na zapach świeżego pieczywa, a snadnie na kołaczę świąteczne, toteż wszystkie gospodynie pod chleb do pieca podścielają liść chrzanu, zaś kołacz znaczą ukośną linią lub wtykają lipową zadzę.

Po raz pierwszy widziała go dziesięcioletnia dziewczynka Anna, córka rajcy miejskiego, Biernata z Lublina. Rozmawiała z nim lubo długo i nawet dała mu garść malin, co też dokładnie powtórzyła swemu ojcu, a ten ujął to wierszem. Od tej pory Labola był przy niej zawsze, chroniąc ją przed zauroczeniem braci swoich, a kiedy razu pewnego noga jej się ześlizgnęła i groziło dziewczce wpadnięcie do piwnic, uniósł ją i nietkniętą postawił na podwórzu.

Nie lubieli go targujący na Targu Słomianym: stłamsi żytni snop od wewnątrz tak, że nie znajdziesz źdźbła prostego, innym razem ogon koniowi zaplecie w misterne sploty albo chuchnie na krowę - mleko dojne zwarzone, bydlę boleśnie porykuje, obłędnym okiem spogląda aż padnie z wycieńczenia. Jedzący mięso nierzadko sny miewali piekielne, puchły im członki, plwali wokoło śliną nieludzką i chętni byli własne wnętrzości krajać.

Łaziebny miejski, Pankracy, twierdzi, że demon ów z grubych waporów ziemskich bierze swą moc i dlatego doradza każdemu wchodzącemu do kadzi mężowi wypić sążnisty łyk wódki z kwiecia dziewanny. Białogłowom, a nade wszystko dziewicom, nakazuje proszek z korzenia miarowego kilka szczypt wsypać wprzódy do wody, albo sól świętej Kingi rozpuścić, co chroni członki przed dostępem demona. Jagna Dziwisz, mieszkająca tuż za Bramą Krakowską, zapomniała była i weszła nago do kadzi i tejże chwili czart wynurzył się od dołu nie dając jej spokoju, aż uschła w sobie na bledość. Dzwonnik farny, zwany Dławiduda, przez cały post spotykał belzebuba, jak uczepiwszy się belki dzwonnej zwiisał bezwstydnie plugawiąc święte miejsce, dźwięk dzwonu łechotał jego naturę, nieraz sam uderzał w dzwon i nikt nie był



w mocy powstrzymać go od tego. W czas burzy ściągał na miasto ogrom błyskawic połykając je dla uciechy lub miotając bez pamięci wokół murów.

Kiedy dzicz mongolska nawałnicą obiegała Lublin i wszyscy gotowali się dać gardło pod osłoną mgły wywołanej diabelską mocą, zjawił się Linko i cały obóz wroga przeniósł na słańskie pola. Fakt ten przytacza X. Benedykt Chmieiowski, dziekan Firlejowski, w swej sławetnej encyklopedii pisanej Idiotom dla Nauki, Politykom dla Praktyki, ja zaś doczytałem się o nim na stronie LVII w *Mongołun ni, uczą tobcza, an* (Tajna historia Mongołów).

Zmierzający z towarami indyjskimi kupiec ormiański Adam Hasso Agopsowicz w towarzystwie kuzyna swego Jana Achrem -Achremowicza, pomyliwszy drogi późną nocą, byli wpadli w topiel i zaraz stanęli suchą nogą na właściwym trakcie ze służbą i ładownymi wozami. A byli przy nich trzej pacholcy o czarnych twarzach szczelnie okryci. Za ich to sprawą uratowali życie i dobytek. W nagrodę wzięli trzy gudy chelonites pochodzący z indyjskiego żółwia i po tym kupcy poznali, przed kim stoją lecz nie śmieli nic rzec.

Linko, Lubawka i Labola nie rozeznając się w czasie, przez wiele pokoleń hasali po lubelskich sieniach i podziemiach, gdzie mogli do syta spijać z beczek mrożone wina, tudzież wyjadać piekarzom co świeższe bochenki chleba.

Wczorajszy „Kurier Lubelski” podał, że na ulicy Kunickiego patrol nocny próbował zatrzymać trzech podejrzaných, ale ci tylko roześmieli się w głos i stali się obłokiem czerni.

O sposobie, którym żywot odymając czarownice lubelskie szkodzić mogły członkom obojga płci

Spośród wszystkich czartowskich mocy, największą i zgoła piekielną posiadała Sabina Pędziwiatr, która nieczne swe praktyki wykonywała mieszkając od niepamiętnych lat na Wiktorynie. Nikt jej nie pamiętał z lat dziecięcych, jak tylko staruchą kostryczną otoczoną gromadą kotów.

Jeśli w mieście przejrzysty błękit - tutaj granat podbity stęchlizną, od którego to koloru bydłom oczy ropiały, a dzieci za żadne skarby nie chciały wyjść na podwórze. Szczególnie porą wczesnego popołudnia zapadała nad Wiktorynem szaropopielata ćma; idąc od rogatek widzisz przed sobą dwa wzniesienia wypełnione w dole woalem chłodu, w którym na dłużej zatrzymało się słońce. Kusząca droga otwarta na oścież. Zanurzony w jej jaśminowym zapachu, spostrzeżesz zbyt późno, że od kilku kwadransów wspinasz się drogą ku wzniesieniu. Ki diabeł, tfu! na psa urok! I nagle myśl: Sabina. To jej sprawka. To jej pora. Oparta o płot wiklinowy mruży oczy bakaliowe, a w chytrych źrenicach odbija się koźli diabeł. Wiadomo, przyzienie różnorodnym odorem, o tej porze rozpyła aerozol jaśminowego koloru. Haust w płuca i odymający zapach kołuje tobą tak długo, że dopiero dźwięk dzwonu na wieczorny Anioł Pański przywraca ziemskie czucie.

Jeśli już wypadła droga nieopodal domostwa Sabiny, idący stawał w powietrzu krzyże święte i wtedy zza stodoły lub podwórza wybiegała chmura zimnego wiatru, kto nie zdążył uciec - obalała go na ziemię; waliła po całym ciele aż sińce pokrywały całe ciało i słycać było szyderyj jazgot staruchy opartej o płot. Taki przez trzy dni nie był w stanie odzyskać spojrzenia, pluł krwią i bełkotał od rzeczy. Nierzadko przyjezdnym na jarmark wpuszczała do żołądka wielkie i ciężkie do zbycia rzeczy, gwoździe, kamienie,

hufnale. Nie było przed nimi żadnego ratunku i niepotrzebnie wiejskie białogłowy obwiniały o to żydowskie knajpy, że do piwa lub okowity mojżeszowi złodzieje dosypywali piołunu. Nie dość, że mąż wrócił bez grosza, to jeszcze pełen omamienia. Z nastaniem ósmego dnia występowały pierwsze objawy choroby, żywot odymając przemieniały się w smark, w pleśniznę lub szpetny ekskrement. Gorzej, kiedy aplikując *activa passivis* - glisty, robaki, muchy, kłaki berykle z okrętów pogniłych rodzące się, szpetne półhudzkie istoty, niedoskonałe w mowie i uczynkach rodzić się poczęły, najczęściej u panien zamieszkałych po drugiej stronie rzeki Bystrzyca. Dopiero, kiedy jedna z nich, wziętej urodziwości, niejaka Katarzyna Owidzka, na sam fest świętego Bartłomieja z rozpaczy obwiesiła się na dzwonnicy, a z jej wnętrza wydobyło poczwarną kukłę, oczy wszystkich skierowały się na Wiktoryn. Nikt nie śmiało powiedzieć, co myśli.

Czartowska moc Sabiny Pędziwiatr wyrażała się nadto w kazirodczych stosunkach, a wtedy wokół jej chutoru gromadziły się wszystkie podolskie, wołyńskie i zamojskie, i lubartowskie, tudzież nałęczowskie wiatry. Tumult powstawał wielki w powietrzu. Słyszano głos trombity, to znów przewlekły jęk i syk Wiją albo podwójny krzyk Zielnika. Noc zaciągała się czernią topielną nad Wiktorynem. Biada idącemu samotrzeć - wokół niego śmigają latawcy mażący twarz mrówczym jadem, a nogi pętają ostrymi gałkami jeżyn, zaś w usta pchają dmuchawce. Biada, kto był się przewrócił, tej samej chwili zjawiała się Sabina Pędziwiatr przemieniona w nocnego ptaka dla niepoznaki i napastowała leżącego, wysysając z niego moc wszelką; omijała tylko albinosów i dziewice konsystorskie.

Jej mocy doznał na sobie Piotr Niedzielski, który za swoje chwalebne czyny otrzymał z rąk króla Kazimierza przywilej spławiania Wisłą, od Puław aż do Gdańska, galer zbożowych. Onże, w wieku statecznym będąc, nabył prawa miejskie i zakupiwszy kamienicę w rynku osiadł w Lublinie. Zwano go Wąsacz lub Milczek dla wiechciów wiszących pod nosem i zwięzłości w mowie. Nazajutrz opadły go boleści w dołku, żaden medyk nie był w stanie wyjawic źródeł słabości. Jakoż stał się raptus i skory do złych uczynków. Rodzina żałowała go szczerze. Dopiero dominikanin, padre Kajetan Ochęduszko, ustalił, iż został opętany, bo znaki opętanego są te:

1. Jeśli ma oczu wytrzeszcz, a członek wstydlivy nad podziw słaby,
2. Jeśli wychodzi zeń zimny wiatr o powonieniu zgniłych ogórców,
3. Jeśli cierpi na twardogłowie,
4. Gdy mózg ściśniony wydaje piskliwy chrobot,
5. Na pytanie, jak się czuje, wybucha hardym śmiechem,
6. Chętnie przebywa z sobowtórem,
7. Będąc naiwnym, co supernaturalnego czynią, tedy prawdziwie są opętanymi.

Okazało się rychło, że matka pana Piotra Niedzielskiego przez nieznamość podała pewnej wędrownej kobiecie lewą ręką kubek mleka wieczornego udoju. Wielce też ją zdziwiło, że obca niewiasta odparła: „Będę czuwała nad twoim brzemieniem.” W dwie niedziele powiła ona syna, a sama rychło zakończyła żywot w boleściach przeokropnych.

Jeszcze dzisiaj można obejrzeć pole „szerniałe”, na którym stało zabudowanie Sabiny Pędziwiatr. Nikt nie chce się na nim pobudować. Odważny nabywca próbował wykorzystać je pod sad; na wiosnę liszaj

zniszczył listowie, zimą zające okorowały drzewa, trzeba było drzewka ściąć. Plantacja truskawek przepadła pod gradobiciem, zaś próby z różami spelzły na wymarcu półtysiąca krzewów. Zrozpaczony właściciel oszalał i domostwo puścił z dymem.

Władze miejskie postanowiły przeprowadzić nową ulicę na Wiktorynie. Zbiegiem okoliczności zakręt ulicy wypadł przez pole „szczerniałe”. Miejscowi taksówkarze omijają ten zaułek, wolą jechać okrężną drogą, a najchętniej nie podejmują się nocnej jazdy na Wiktoryn. Nikt z nich nie chce przyznać się, że nieraz ujrzał przed maską auta czarną kobietę, która zwiewną chustą zasłaniała szybę, zmuszając kierowcę do gwałtownego manewru; dobrze, jeśli kończyło się zjazdem do rowu.

Po dziś dzień na Wiktorynie opowiadają tamte straszne wieczory. Wszyscy też czekają aż parów powoli sam zapadnie się w sobie, co też następuje, ale ponoć ostatni ślad ma zniknąć, gdy miejski złoty kur po trzykroć zapieje.

## Zamyślenie

Biegając poboczami nagrzanymi do syta muzyką jarmarcznych dni nagle wstrzyma cię skała niczym lustro chybotliwe, ostro nachylone w stronę miasta. Kto stoi we framudze światła i przekornie odbija twoje wołanie? Czyja dłoń misternie przesuwają fałdy chmur aż oko skrzy się płomieniem?

Pomiędzy dwoma echemi dzwonów jest wąwóz poźniwny, tędy noc skrada się ku murom Starego Miasta, tędy nadbiegł złoczyńca z pożarem, tędy rycerze podążali za balladami w poszukiwaniu średniowiecznych bestii świętego Jerzego.

Pomiędzy dwoma echemi sygnaturek jest ścieżka pionowa ledwie szarą nicią zaznaczona: stojący na wieży giermek dostrzeże nasze konie spocone i nim okrążymy rozlewiska napęczniałe trzcina, stanie w nowej szacie u bram zamku. Na murach królewskie herby. Chorągwie dumnie głoszą nasz wjazd. Zbudziły się ostatnie dzwony. Zamek zanurzony w kropli poranka tajemniczo uchyla drzwi: z komnaty snu dziecięcego wnoszą stosy srebrzystych chmur odźwierny spuszcza z łańcucha psy poranka, krętymi schodami biegnie paż z misą pełną wonnej rosy, w mlecznym zawoju łaźnie prowadzi pannę z królewskiego rodu, sokolnik uchyla płaszcz - znak do ucieczki płowej zwierzyny, święty Onufry zbiera orszak radosny i zbiega bramą Grodzką w sam środek jarmarcznych piszczałek, dud i bębenków.

Tak stojąc w zachwycie dwa sny śnimy pośrodku dziedzica: wnoszenie chorągwi Jagiellowej o smukłych ogonach zielonych - otwieranie powidoku na miasto spięte tęczą ognistego obłoku.

## Furta Nawietrzna

Porą jesiennych psalmów otwiera się Furta Nawietrzna, skłębione stada tłustych chmur tłoczą się nagle i gwałtownie, fioletowe fale uderzają w atyki kamienic zamieniając płaskorzeźby w metalowe okucia tarcz; Ogniste płaszcze wiatrów zasypują ulice gorącym oddechem. Najwięcej jest błysków rdzawej wełny. Najostrzej kłują oczy złotem haftowane godziny popołudniowe - wówczas otwierają się okna i wielu spogląda na miasto ze zdziwieniem widząc płomienne kolory spływające ścianami domów. Nie wiedzą, że Furta Nawietrzna, tuż obok, już od wielu dni jest zatłoczona: ciężkie obłoki nakryte-sinawymi habitami pątników nadeszły z nadbużańskich łąk, wyminęły je stada bocianów - muszą się śpieszyć, ale nie mogą ominąć złocistej linii pionowo białej w środek miasta. Chodzą szlacheckim krokiem po jedwabnych łąkach, czekając aż nadpłyną ostatnie chmury. Po nich wejdzie Satyr i da znać przelotnym ptakom. Nocą przez Furte będą wchodzić zagubione sny o sławie, dziewicze pragnienia miłości, melodie zanurzone w poezji, zdania nigdy nie wypowiedziane, zamysły gnuśne i frywolne.

Furta Przedziwna jest zawsze otwarta. Nie ma swego stałego miejsca. Przechodzień zapatrzony w krzywiznę uliczki postanawia pójść za tajemniczym cieniem muru - w miejscu jego zgrubienia czuje ciężar chłodu: nad nim sklepienie Furty.

Tędy wnoszą do miasta dobre i złe uczynki. Gniewne zdania wysypują na każdej uliczce. Przed drzwiami kładą naręcza uśmiechów. Sztylety zemsty kryją w szparach. Ironię i żal wieszają u klamek. Wybieraj ! Słyszysz kuszący szept. Za tobą jest korytarz ciszy. Wnęka zadumy.

Dlaczego szept ma taką siłę zniewolenia?

Furta Odśrodkowa nigdy nie zostanie odkryta, chociaż na jej trop natrafiono najwcześniej. Z początku sądzono, że musiała być tuż obok fary i chcąc przejść z Rynku Rybnego do Cekhausu trzeba było iść jej nawą. Załamanie błękitu w tym miejscu zwiodło archeologów, tak jak jesienna plama rdzawego płomienia przybita do Kolegium Jezuickiego została uznana za przedsiónek Furty Odśrodkowej, a przecie znawcy wiedzą, że tutaj znajdowała się Baszta za Staczywką.

Nie ci, co mają oczy wypełnione rachunkami codzienności i nie dźwigający toboły pozornych trosk lub o twarzy judaszowej pobożności, ani pragnący uchodzić za znawców przedmiotu, ale pełni ufności w każdą chwilę - chłopiec biegnący poboczem z gwizdałką w uściech, stojący w zamyśleniu przejezdny opowiadacz, oni wszyscy są w prezbiterium Furty Odśrodkowej. I oni o tym wiedzą. I są najszczęśliwszymi ludźmi tego dnia.

Furta Przemienienia już jest niesiona przez Archanioła. W niej są wszystkie znane i zapoznane przejścia miasta Lublina. I baszty. I furty. I skrytki piwniczne. I utajnione kanały w murze. Są też i te, które będą. Jej blachogrzmiaća budowa, jak echo nadbiegającej burzy, wypełni śródmieście, zatrwoży przedmieścia błyskiem rozrywającym czerń, obudzi osiedla.

Pod jej łukiem miasto powtórzone zostanie po trzykroć, aż odnajdzie swój idealny i ostateczny profil.

## Rozmowa z Mistrzem Andrzejem

Mistrz Andrzej siedzi na ruskim stołeczku pośrodku raj. Mistrz Andrzej siedzi oparty plecami o ośmiokątny filar, który podtrzymuje całe niebo. Patrzy na ostatnią kwaterę pokrytą cieniutką warstwą pobiałą i myśli o rodzinnej wsi ukrytej za malwami i stepowymi bodiakami. Ma wielką ochotę namalować puszystość powietrza, podmalować od dołu sienną, by było lżejsze od puchu alleluja albo melodii dzieciństwa. Ma wielką ochotę namalować twarz proroka Muromca, który widział ostatnią chwilę świata, twarz tak groźną, jak piorun rozdzierający drzewo.

Jest dzień przed Wielkanocą, więc mieszczanie chcą, aby pokazał, jak to ulicami Lublina oprowadzają osła zaplecionego w słomy, a ludziska czapkują przed procesją. Nawet ci co kończą popłuczyny krzyżem czerwonym, wylegli z gospod i kogucim krzykiem domagają się wiekuistego potępienia dla antykrysta.

Mistrz Andrzej ma swoją ulubioną scenę ukrytą za bordowym wykrotem muru bizantyjskiego. Codziennie tam chodzi i ukryty na poddaszu łzawym okiem popatruje na Madonnę zawijającą w rąbek lniany śpiącego syna. Aby tam dojść, trzeba przepchać się przez tłum biczowników, odpędzić precz stado gawronów żerujących na pustkowiu i wzdłuż murów najeżonych zdradliwymi otworami wbiec na dziedziniec, gdzie właśnie Piłat rozmawia ze skazanym.

Dla wygody chromej nogi uczniom rozkazał namalować podest pochyły, stąd wyraźnie widzi tłum pędzący na Golgotę, a tuż za kotarą czerni z Judaszowego żywota wypelza czarna dusza. Jeszcze chwila i sznur ze zdrajcą runie w żółtą otchłań. W trójkątny cli polach sklepienia śpi cisza. Archaniołowie trzymają dłonie na głowniach - miecze jeszcze nie mają błysków ognistych. Cherubini przygotowują znaki, którymi opieczętują bramy miasta i tym znakiem otworzą wolność sprawiedliwym. Michał Anioł czeka, aż Gabriel zakończy posłannictwo, aż tamci wejdą na szczyt brązu - wbiją krzyże prostopadłe, kur zapieje na trwogę: wyjdą z posadzki święte dziewice, żebracy, powsinogi, eremicy, dziwożony, biskupi, mędrcy, nierządnicę - teraz dopiero Michał Anioł stanie po prawicy. Stanie obok najgroźniejszej twarzy wszechświata: z drzeniem w palcach Mistrz Andrzej otwierał oczy Władycę, misternie dobierał brązy i oliwki, sadzą grubo rysował zagniewane brwi i sam zdjęty trwogą o własne zbawienie w kącikach ust położył odcień łaskawości - Nierukotworitelnyj zapatrzony w przeszłość ludzkiej niedoli człowieczym okiem rozsądzi wszystkie nasze czyny.

Mistrz Andrzej odchodząc na spoczynek klęka przed królem i cerkiewnym gestem pozdrawia jeźdźca śpieszącego na nocne łowy. Ostrożnie zdejmuje z palety nieostygłe kolory i chowa na piersiach. Więcej w nim smutku niż śpiewu. Jeszcze jedna kotara szczerozłota, jeszcze jedna ikona - najmilsza, bo ostatnia i trzeba będzie ucałować próg maleńkiej świątyni i zwrócić twarz na Nowogrodzkie kopuły mosiężne.

Pośrodku północy ośmioboczny filar hartownym blaskiem wskazuje drogę łowcom gwiazd płynącym nad wzgórzem zamkowym za głosem nocnych halabardników.

## Czarna kapa w niebo wbita

Proboszcz od fary św. Michała rozповідаł wszem wobec i każdemu z osobna, że musiało tak się przytrafić, bo zbyt wiele ciężkich przewinień jest wśród nas, a i cięższych nad grzechy główne łatwo wyluskać, gdyby tak codziennie przed snem kaźden bojaźliwie zajrzał w głąb własnej duszy. Ci, co gorszą Opatrzność, ściągają gniew nie tylko na swoje stadła, ale i na innych, i tak czarna powłoka nakrywa całe miasto, i ludzi, i zwierzęta, i domy. Bracia, ręka Pana ciężko oparła się o nasz gród i tylko Jego miłosierdzie może ją odjąć.

Nie inaczej mówiono u dominikanów, chociaż dodawano, że jest to powodowane wieloma okolicznościami jako i tymi: nieczystości wyrzucane są wprost na ulicę, brudną wodę dziewczka chlasta przez okno, nierzadko prosto na głowę, nocni opoje Szambelanę przemienili w chlew - nie przejdiesz jej i za dnia nie trzymając chusty przy oddechu.

Jakub Sacramentus, doktor filozofii, medykus, wezwany zaraz po śniadaniu do rajcy miejskiego długo go wypytywał, co był jadł ostatnimi dniami i jakie trunki do jadła podawano. Raz jeszcze zajrzał w gardziel, wahał potność, a potem w głębokim zamyśleniu oddalił się od łoża w stronę okna. Miał powód być zaniepokojonym. Już od dwóch dni wzywano go do podobnych schorzeń, a to pacholek miejski zaniemógł z nagła, to znów dwoje przybłędów znaleziono leżących pokotem przy murze. Do zmroku pacholekowie miejscy znieśli kilku umarlaków na cmentarz w pobliżu Mansjonarii, a po mieście rozeszła się straszna wieść: czarna zaraza dusi ludzi. Idźcie i obaczcie umarlaków, leżą pokotem owinięci w płótna. Co gniewliwsi odpędzali precz takie bajdurzenia, ot, mało to tałałajstwa zwleka się do miasta, burmistrz powinien zakazać wpuszczania ich w obręb murów, nierząd tylko z tego. Taki prostak nic nie posiada, obojętne mu, gdzie będzie spał, z chorobą jest za pan brat.

Powtarzano okrutne wiadomości, że w lupanarium znaleziono wszystkie dziewczki nieżywe. Bogobojne matrony wzdychały z ulgą: „No, nareszcie dosięgła je zasłużona kara. Powinny wcześniej szczeznąć te ladacznice”, ale bywalcy zamtuza niepokoiłi się nie tyle ich nagłą śmiercią, co swoim zdrowiem, wszak zażywali z nimi rozkoszy. Pocieszali się skrycie, że kobiety zostały umyślnie strute, co rozpowiadała „ciotka” sprawująca nadzór nad czerwonym domem dopóki i jej ciała nie znaleziono pokrytego gnilizną.

Nie było co zwlekać. Na rozkaz burmistrza spuszczone z Bramy Krakowskiej długą czarną chorągiew a wraz z nią zwała się na okolicę czerń jeszcze okrutniejsza - gradowy deszcz, a zaraz po nim nastały tak upalne dni, że oddech zrobił się krótki, męczący; rozległe jeziora wokół zamku opadły z wody, można było chodzić i z szuwarów wyjmować tłuste karpie, płocie i liny.

Miasto stało spowite kirem. Nie było słyhać płaczu, bicia dzwonów, procesji. Cmentarz za farą już nie starczał, kopano głębokie doły i rzucano weń zwłoki po kilka na raz, i tak schodzono coraz niżej aż pod mur. I nadszedł czas jeszcze okrutniejszy: aż pacholki miejskie czmychnęły nocą zostawiając podniesione brony i wrota bramy otwarte na oścież, nawet zapadni w bramie nie nakryli, co stało się przyczyną śmierci jeźdźca

śpieszącego z pilną wiadomością od wojewody sandomierskiego - i jeździec, i koń runęli w dół fosy. Wielu uciekało chyłkiem z miasta, zatrzaskiwano ciężkie drzwi kamienic, coraz mniej straganów ustawiano na rynku, mało który rzemieślnik stawiał ławę we wnęce Bramy Krakowskiej i rozkładał towar - nad to milsze zdrowie.

Miasto konało powoli w konwulsjach. Niewidoczna obręcz czerni szczelnie ścisnęła Lublin, niechętnie wypuszczając swoje ofiary. Czarne chorągwie powiewały z wież kościołów, czarne lamentacje odprawiano w świątyniach, czarne łzy spadały po wszystkich twarzach. Kto miał zatłoczone sumienie, leżał pokutnym krzyżem, komu się przypominał grzech za pomniani, sam sobie nadawał karę, sypał popiół na głowę, śpiewał psalmy...i pilnował dobytku przed grasującymi opryszkami. Odbiegli miasto stróże, odbiegł i mistrz katowski furt przeciwko Czwartkowi, odbiegł i doktor medycyny kiedy go nasza pierwsza słabość: wieś bezpieczniejsza.

Okna kamienic zakryte czernią. Krąg śmierci szeroko opasał pejzaż podmiejski. Pod wsią Dziesiątą stoją dwa ładowne wozy spłodrowane do cna, obok nich trzy kopce mogilne, a pół pacierza dalej przewrócona kolasa.

Nie ma kto słuchać opowieści dziadygi, który zwlókł się traktem krakowskim i przycupnął w kruchcie klasztoru, żując chleb opowiada braciszkowi od furty rzeczy zgoła bliższe dniu ostatecznemu niż prawdzie, więc co i rusz odwołuje się do świętego Krzysztofa, który mu patronuje podwójnie, gdyż zowią go „ślepek Krystofor”, chociaż ma dobre widzenie i opiekuje się wędrowcami, a on tak idzie od miasta do miasta po prośbie nastawiając ucha, a kiedy trzeba przewróci oczami i świeci bielmem. To on dowiedział się, że mistrz katowski dobrał sobie pachółków miejskich i pładrują wozy na traktach. Jego też ujęli, ale wyłgał się przewracając oczy i przy okazji wysłuchał, jak opryszki dopadli kupca Ormianina, zbezczeszcili obrazy święte z nim jadące, zdarli z niego wszystkie kosztowności i gardło przerznięli. Wie też, że zaraza nie przyszła z duchoty ani jako dopust, lecz została przywleczona przez dwóch oszustów podających się za fratres minores. Otóż mieli ze sobą maść szczególnej mocy i smarowali klamki, kołatki oraz wszystkie ciągadła dzwonek furt, tak, tak, tak było, niech mnie piekło pochłonie, jeśli coś zmyśliłem. Ci sami przebierańcy zostali rozpoznani w Kazimierzu i daliby gardła, gdyby przed nocą nie zbiegli, to musieli być ci sami, tam podali się za pątników idących do grobu Pańskiego, a u was byli jako fratres minores. W Sandomierzu też pytano, za czyim przyzwoleniem lo robili i tylko jedną odpowiedź na koniec znajdowano - szatana.

A to braciszkowi dopowiem, że słyszałem od jednego szlachcica, że widziano, jak od waszego miasta ku Chełmowi szła chmura gradowa na postać czarownicy uczyniona, tego żaden anioł się nie podejmie, więc nie boski to uczynek, nie boski, moce piekielne zawładnęły powietrzem. Widzę, że jesteś mnich bogobojny i świętość bije z twojej twarzy; dolej mi w kubek, a to biednego dziadka suchość w gardle piecze. A teraz opowiem ci, com słyszał w klasztorze karmelickim będąc jeszcze w młodości razem z ojcem w Krakowie, rzecz, jaką tylko w największym zaufaniu podaję ludziom pewnym i światłym, dolej kochasiu, dolej...

Ogień spada gwałtownie, spopiela domy, burzy świątynie, wniwecz obraca bogactwa, ale w swej gwałtowności przebiega szybko, a natrafiwszy na pustkę nocy - spada poza mur miejski i dogorywa.

Powietrze morowe wisi nad miastem ciężką zasłoną rozgrzaną, aż oczy parzy, pierś rozrywa suchość gorsza od pyłu drogowego, wszystko w tobie jest ociężałe, obce, złowrogie.

Ta jedna myśl prześladowuje cię: „Powinienem stąd uciec, tyłu pomarło, tyłu pomarło, przecie jestem z tej samej gliny, co wszyscy”.

## **Szkic do reportażu**

I nagle zwiotczały wszystkie chorągwie długo i chytrze haftowane w podziemiach zamków krzyżackich, pełne tajemnych znaków Opatrzności i złotogłowa przasnego. Pośrodku haniebnie zwisa błękitem lamowana w zielonym polu dłoń żelazna: parciana i bezwolna. W kącikach ust smrodliwy zapach pychy walczy z modlitwą pokornego ukłonu: w ile pokoleń pójdzie pieśń o ich sromotnej klęsce i jeszcze haniebniejszej ucieczce w trzciny jesieni, gdzie już czekali na nich słowiańscy dziadownicy.

Oto miniaturowy komtur o lisim pyszczku pełnym błagalnej nadziei w powróśle wiedzy swego szwagra - obaj w mieszkach na twarzy. Dzwonią im własne dyby na pohybel.

Na samym przedzie wesołek miejski igrec swawolne sprawuje, poczwarną gębę w stronę króla stroi, a życie wypina pohańbionym. Gloria ! Gloria !

Czyja to twarz, przez pół nieodgadniona, z wysokości szmaragdowej opończy odprowadza zwycięzców i zwyciężonych aż na górne sklepienie Matki Boskiej Zwycięskiej - bacznie pogląda za ostrzem klutym pod zebro psubratu buntownikowi. Zamilkła aż po dzień dzisiejszy.

Po trzykroć warto iść tym pochodem, głaskać chropawe nagolenniki i lniane zawoje rzucać pod stopy rycerstwu, i śmiać się do woli raz jeszcze w twarz pokonanym.

Z chorągwi przedniej uwijemy bandaż - zwiążemy wszystkie rany miasta.

## **Metafora gorzka jak życie**

I tak już w nim pozostanie to przewrotne spojrzenie spod ciężko przymkniętych powiek, w którym jest i Judaszowe brzemie, i poetyckie zamyślenie, i melancholia, która go ostatnimi czasy boleśnie i na długo nachodzi. Gdzieś zza pleców uderza go szyderczy chichot łotryzka, przez który przebija błagalny psalm żyda i zaraz też tupot kopyt końskich - koniokrady w tłumie uchodzą w knieję, ale on wie, że daleko nie ujdą, przywloką ich z powrótami na szyi przed jego oblicze i wtedy zada pytanie: „Czemu nie żyjecie z boskimi przykazaniami?” Spyta też obieżyświata, dlaczego okrada swojego Boga z należności, skoro czyniąc kolektę między pobożnymi na wzniesienie świątyni w miejscu cudownym, przepija uzbierany grosz w szynku, chełpiąc się naiwnością chrześcijan. I zada pytanie kościelnemu, chociaż wie, że ten nie potrafi



odpowiedzieć ani sprytnie ani tym bardziej pokutnie, powinien też postawić oskarżenie gwałtownikom, ale któżby sprowadzał panów na ratusz.

Stoją gromadnie w najniższej kwaterze miasta: moczy-mordy z poprzęznanymi gębami, kostyry z niegojącymi się krostami, lichwiarze śmierdzący obcym potem. Stoją obojętnie, a każdy chowa w zanadru sprytną scenę, jaką wypadnie mu odegrać przed ławnikami.

Za nimi głębia lochu. Cuchnąca. Szczurza. Kiedyś wszedł w jego mroczność, ale szybko uciekł. Wystarczyło, aby poczuł odór piekła: obleśne słowa, obleśne uśmiechy, obleśne monety. Ecce homo !

Przemieszały się strzępy młodzieńczych lat, śpiewy zasłyszane nad Wisłą z łacińskimi sonetami. Polskie bajania flisów i wzniosłe koniugacje łacinników. Tak zwanie sploty się ze sobą, jak gruba przędza w płótnie, że nie odnajdzie się granicy wzoru i horyzontu zwieńczenia - jest gładka przestrzeń, nie dla niego to nade wszystko zgaszona poświata nawy. Tyle razy ją przeszedł i tyle razy opadały go wątpliwości. Za dużo szeptów naraz go opada. Za nagle chciałby to miasto, w którym tyle lat przemieszkał, widzieć gładszym moralnie.

Wszak nie zagubił się w rozumieniu cnoty, ale już nie dowierza i sobie, i słowu, i historii. Pozostaje metafora. W niej łatwo skryć boleść serca, oblepić próżność mieszkańców w pobożność świąteczną. Nawet to białe miasto, tak ostro lśniące w głębi pejzażu, można ukryć sprytnie pod poły cnoty, że będzie brylantem lśniło pośród innych w koronie Rzeczypospolitej, ale on, długie lata ławnikujący, zna wszystkie grzechy swego miasta, i te spisane, i te podawane na ucho, i te dokonane skrycie, i te, których domyślać się trzeba, i te, co zostałyby uczynione, gdyby ich właściciele żyli dłużej.

Starość go ani nie poraża, ani zniewala na tyle, by pragnął natychmiast śmierci, żyje ślimaczym życiem i nawet księgi, które dały mu więcej rozkoszy niż łożnica, oziębły mu od dawna: czy mogą dać słuszną odpowiedź człowiekowi, gdy rachunek sumienia jest gorzki, a myśl, a słowo jak nasienie klonu ulotne i furkoczące.

Już nie potrafi inaczej patrzeć na ludzi, jak oglądać ich w poczwórnym odcieniu sprytu, chciwości, oszustwa, przemocy: drapieżców, pochlebców, łgarzy, szubienników. Odczytuje z ich twarzy, czego nie udało im się dokonać i tego najwięcej żałują. Ta cała zgraja paniczyków bardziej warta lochu niż Cygan posadzony o kradzież bułek. Podrobiony dziad o gębie parszywca żyjący z prośby i intencji modlitewnych potrafi wysupłać wszystkich świętych podając multum cudownych uzdrowień za ich przemożnym wstawiennictwem, więc tenże podrobiony dziad w swej kapocie workowej miał powszywane srebrne monety warte jeśli nie pół kamienicy, to szynku. Kiedy wydłubywano zyguntowskie monety, dziad omdlewał, płakał nabożnie, wył z żalu, a na koniec postradał zmysły.

Zamężna niewiasta biegająca późną porą w przebraniu służącej na rozrywki cielesne - czyż jej twarzy nie zakrywa welon obłudy: jest młoda i ma prawo do należnych jej wiekowi uciech, a mąż nie potrafi temu sprostać złożony podagrą. W starości wszystek występki przemodli, odpości, jałmużną okrasz. Nikomu krzywdy nie czyniła i nikt nie był stratny.

Pod okapem piwnicy pacholek chowa ściągniętą z kramu chustę nakrapianą wielobarwnymi nićmi, a tak żywą jak słońce zanurzone w czas sianokosów między pachnące pokosy i puszysty pogłos swiergolańców.

Jeszcze tej samej godziny znajdują się przeciw niemu świadkowie o wiele liczniejsi niż targujący tego dnia. Oddać go katu, aby go oćwiczył, czy kopniakiem wyrzucić z Ratusza?

Ich grzechy stały się odtąd jego własnością. Ten przepastny mieszek judaszowy zwał się nań okrutnym snem. Jest w nim i jego życie, skryta ambicja, aby wejść na ławę rajcowską, ba, wyżej, na stołek burmistrzowski, obłąpić fortunę i zapamiętać się w niej, i się nią zachłysnąć. Spoza tłumu szelmowskich oczu, chciwych uśmiezków i gładkich słów wynurza się i rozochociona kibić połowicy, drwiące oczy, zwrócone poza kruzganek, całują go przelotnie. I spojrzenie świekry, okrutniejsze niż zazwyczaj, mściwe, łajdackie. Ich ukłucia bardziej parzą niż utrata zdrowia, niż utrata majątności, jest w nich prawda szeptana na ulicy: „Ona ma gacha, innego do niedzieli, a innego na tydzień”. Z całego swego życia, ciągłych zabiegów o godności miejskie, nie pozbawionych utarczek i knoń, przemyślnych rozmów i czapkowania, a potem długich godzin urzędowania w Ratuszu, gdzie starał się bezstronnie obejrzyć każdą wniesioną sprawę, tak szlachcica, kupca, jak i żyda czy pachółka, z tego bogactwa dostrzeżeń, facecji, nasłuchiwań, a nawet i swego wierszokletowania, można tyle samo wycisnąć, co z długiej oracji kaznodziei.

Czyż na dnie poczwórnego worka nie leżą jego wzniosłe szlifowane modlitwy, abyśmy otrząsnęli próchno z duszy, próżne odwoływanie się do rzymskich reguł prawniczych, przywoływanie cycerońskich przykazań? Nie to wszystko nic znaczy, tyle, co wiecheć grochowin wetknięty w komin, człowiek ani o źdźbło nie postąpi w cnoście. Zawierzy bardziej pysze, kręctwu i przekorze. Woli pozostać gliną. Miałą. Łamliwą.

Nieraz nachodziła go skryta ochota wejść aż pod sam szczyt Bramy Krakowskiej, gdzie kolebie się dzwon, uderzyć w niego znienacka, a kiedy zbiegną się zdziwieni ludzie i zadarłszy głowy będą spoglądać na baniastą kopułę wieży, wówczas on wysypie na nich poczwórny worek: niech się taplają w pyle, niech sobie wydzierają godności, pozłociste szuby, kołpaki podbijane lisim srebrem, niech się opasują łańcuchami wysadzonymi misterną robotą złotnika, bo kiedy już nasycą własne mniemanie o swej szlachetności i zapragną poklasku innych, zawoła: „Spójrzcie w lustra!”

Ogarnia go niepohamowany śmiech starego Satyra. Takie lustra winny wisieć w każdej izbie, bogatego szynkarza i koniokrada, duchownego, lichwiarza i u białogłów. Śmiech go opanowuje coraz niebezpieczniejszy, wciąga w taneczny wir, więc starzec podryguje zwiotczalym ciałem, a ręce próbują odpędzić niewidzialną postać.

W cieniu Ratusza ucieka skrycie w korytarz samotności, a za nim wlecze się smutne westchnienie piekarza: „Znowuż pana Klonowica opętały zmyry. Niechybnie zakleszczą go na amen.”

## Prolegomena do zwycięskiego wjazdu Jagiellowego rycerstwa

W oktawie zwycięstwa pod Grunwaldem umyślny jeździec, nie zważając na trud i słabość koni, śpieszył donieść mieszkańcom królewskiego grodu Lublina chwalebna i wielką radość - ręką króla polskiego Władysława pobity został odwieczny wróg Korony i Litwy, chytry a sprośny, kryjący się cwaniem za znakiem krzyża: legł śmiercią walecznych Ulryk von Jungingen i wielki komtur zakonu Kuno von Lichtenstein, i wielki marszałek Fryderyk von Wallenrode i wielki szatny Albrecht hrabia von Schwarzburg, i skarbnik Tomasz von Merheim, tysiące innych braci rycerzy. Wielu śmierć dosięgła w ucieczce, jak Henryka pflergera tucholskiego, który przed bitwą kazał nosić przed sobą dwa miecze nagie, mając zamiar nie pierwiej włożyć je do pochew, aż kiedy je krwią polską ubroczy. Markward von Salzbach, komtur brandenburski, dał głowę pod miecz już po bitwie, gdyż zuchwałymi słowy podrażnił wielkiego księcia Witolda.

Chorągiew zagranicznych gości Zakonu św. Jerzego z Krzysztofem von Gersdorff na czele, po walecznej obronie licząca już tylko czterdziestu rycerzy, na kolanach oddała proporzec, przełożywszy więzy uczciwe nad ohydny ucieczkę. Przed nimi poddali się rycerze chełmińscy, którym przewodził organizator Towarzystwa Jaszczurowego. Wśród wziętych do niewoli znajdowali się książęta: Kazimierz szczeciński i Konrad Biały oleśnicki, posiłkujący Krzyżaków.

Alleluja! Alleluja!

Po spisaniu jeńców, dostojnicy: Zbigniew z Brzezia, marszałek królestwa i Piotr Szafraniec, podkomorzy krakowski, odebrali od każdego z pojmanyh rycerzy przyrzeczenie, że stawią się osobiście na świętego Marcina w Krakowie przed wyznaczonymi osobami.

Król Władysław strudzony pracą i upałem położył się w cieniu pod krzakiem jeżynowym na usłanym z liści jaworowych łożu, mając przy sobie jednego tylko Zbigniewa z Oleśnicy.

Alleluja! Alleluja!

Na trzy zmiany bito w Lublinie w dominikańskie dzwony przy wtórce kołatek od św. Mikołaja i sygnaturek miejskich, z wież bez przerwy rozlegało się groźne buczenie trąb wojennych, a ponad nimi niósł się tryumfalny pogłos kotłów i śpiew - miasto stanęło tłumnie wzdłuż ulic. Czapkowało,

Przed królewski orszak kładły się flamandzkie sukna i włoskie brokaty, perskie dywany i barchaty tureckie, na tacy podano zlotolity pierścień otoczony siedmioma perłami. Kolegiacki chór śpiewał Te Deum, w procesji zbliżano się naprzeciw królewskiej chorągwi, którą był wiódł Mszczuj ze Skrzynna, a kto żyw wiwatował zwycięstwo, wzgardliwie dmuchając na orszak krzyżacki: szła bowiem z Michałem Kiichmeisterem nowomarchijska szlachta, szedł ze swymi ludźmi biskup wurzburski Jan von Egloffstein, brat deutsch-meistra Zakonu, rycerze bawarscy, turyńscy, nadreńscy, sascy i szwabscy; obywatele miast pruskich, a przed każdym z nich niesiono chorągiew - znak ich hańby:

a. niesiono proporzec o stu ostrzach wbitych zdradliwie w białe pole, bo tyle miast mazowieckich i kujawskich i litewskich miało się czołgać w przedsionku Malborka;

b. banderę z głową jastrzębia w nimbie cynowym, pod którym ukryto napis inicjalny odkryty przez rycerza z Wą-wolnicy, teraz niesiony na desce osikowej pachniał krzywoprzysięstwem;

c. czarny pas podwójnie rysowany na śniegu: w takim szyku inflanccy kopijnicy stawali przeciw chłopom i legli w dwa pacierze. Czarna krew spłynęła gorzką strugą;

d. banderium civitatis Holsten najdłużej barwiono nocną porą i w czas pożogi zmudzkich osad, aż śmierć i ból przedzieliły welon rozpaczy. Najwcześniej padła w ręce Jana Szczyckiego, Doli wity i pierwszą została rzucona pod nogi króla;

e. zaciężni z Westfalii nieśli własny proporzec przebity ognistymi strzałami dufni, że ich żmijne groty dosięgną pleców lubelskich panów: łucznicy królewscy razili ich mnogimi strzałami, a często wpadając na nich gwałtownie, znaczną liczbę nakładli trupem.

I szła na ostatku chorągiew po trzykroć powtórzona na drzewcu, strojna w pióropusz i srebrne krogulce, tak posepna i wściekła, jakby z wnętrza paszczy Lewiatana powstała. Trzymający ją Mikołaj z Lewartowa, przedchorągiewny rycerz, czuł, jak płomień zżera mu przedramię, jednak zdzierzył zadaniu. Pamiętający ją w boju rycerze lubelscy nakazali po zwycięstwie przybić do wozu okowami krzyżackimi.

W uroczystej procesji zbliżono się do placu, gdzie król Władysław pierwszy wykopał dół dając tym początek fundamentom kościoła pod wezwaniem Matki Boskiej Zwycięskiej. Namiot kaplicy, zbudowanej na tę okoliczność, otoczony był dokoła znakami i chorągwiami krzyżackimi, proporce ich rozwinięte i porozpuszczane głośno płakały na wietrze.

Palono wiotkie świece miodopyszne. Kadzono tryptyk wonnymi ziołami jesieni. Nadworny drzeworytnik skrupulatnie notował wszystkie postacie: kiedyś malarz freskowy ustawi je na ścianie prezbiterium wedle starszeństwa, zasług i relacji bitewnej, a pośrodku na bułanym koniu osadzi króla Władysława. Nad nimi otworzy błękit. Dołem ułoży szramy zmęczenia. Czerwienne wybuchy dwóch salw armatnich utopi w brązie. Zielny dywan późniwy rozwinie szeroko aż pod mury Lublina,

Dzień ten pamiętać będą wszyscy. Alleluja! Alleluja!

## **Tajemnica bursztynu oprawionego w srebrną koronę**

Sześćdziesiąt osiem lat czekał tej cudownej chwili; kunsztowny rysunek od wielu lat spoczywał na pergaminie czekając stosownego momentu. Jubiler wciąż zwlekał, pochował dwóch synów, córce w posagu spisał cały dom przy ulicy Złotej, pozostając przy parterowym pokoju - został sam. Ostatni sen odszedł razem z pragnieniem szczęścia. Niczego już nie pragnął. Nie był przeciwny niczemu. Czas stracił dla niego wymiar codzienności.

Myślał tylko o jednym - wyrzeźbić w bursztynowej grudce odwróconą perspektywę miasta o punktach stycznych zbiegłych w krawędziach zewnętrznych pierścienia, akurat tam, gdzie fioletowa toń dotyka rozgrzanej ściany południa. Często tamtędy chodził. To był jego najdłuższy spacer ulicami. Wychodząc z domu skrupulatnie zamykał drzwi wejściowe pracowni wtykając pod skobel zastrzał dębowy chytrze ukryty przed obcymi rękami. Wychodził na ulicę Złotą, spoglądał wokół rynku i szedł powoli Grodzką aż do fary, nagle skręcał w nieznaną nikomu uliczkę - sam ją wykuł w delikatnej ścianie powietrza, tak delikatnej, że poprzez jedwabistość powłoki widziało się nachylone malachitowe kamienice i czuło się zimny odór podwórek. Dopiero przy placyku z drzewem wierzbowym zatrzymywał się chwilę, aby odpocząć. Stąd mógł dłużej patrzeć na migotliwą folię - za jej przepierzeniem toczyło się gwarne życie. Wraciał górną kwaterą chłodu. Wynajdywał dziwne przejścia pomiędzy kamieniczkami, aby jak najdłużej błąkać się po Starym Mieście. Wraciał okrężną drogą - długim popołudniem srebra.

Nieraz korciło go nachylić jedno z luster - niech snop światła zajrzy w mroczny zaułek, gdzie nigdy słońce nie zabłądziło, skąd kobiety wносиły naręcza mokrej bielizny i kładły na poboczu skarp czekając aż wyschnie. Wracając nosły ze sobą świeży powiew ciał i miękkość - były nasiąknięte ciepłem.

Jubiler całe życie spędził na ulicy Złotej, gdzie jego ojciec i dziad prowadzili warsztat jubilerski, który po nich odziedziczył. Różni bywali klienci i różne przedmioty trzymał w palcach, jednak żaden z nich nie mógł się równać z bryłką bursztynową, którą w piątek rano przyniósł sukiennik, jako że jego syn znalazł ją był u podnóża Zamku, wygrzebał z piachu.

Jubiler znał wiele legend, więc też znał cudowną powieść o tajemnej mocy pierścienia księżnej Kingi, wykopanego przez solników w Wieliczce. Upatrywał wykonać pierścień zamykający w sobie Lublin o odwróconej perspektywie słonecznej - punktem stycznym miała być złota igła wieży Krakowskiej, najdalszym - malachitowa toń łąki nakrytej wiosennym deszczem.

Jubiler zamierzał skończony pierścień wrzucić w czeluść studni zamkowej, wierząc niezłomnie, że nadejdzie taki dzień, kiedy pierścień wydobyty z najniższych pokładów miasta wyznaczy granice przecięć nowych dzielnic - miasto wpisze się w rozkwitły kielich pąsowej róży.

Taki sen śnił na jawie jubiler Melchior Atanazy Gielniak mieszkający przy ulicy Złotej.

## **Las lanc litewskich**

### **I.**

Litwa obozem stanęła. Groty wbite na sztorc spoglądają dumnie. Wiotkie chorągwie wyznaczyły czworobok - safianowe płótna namiotów, podbite lisim kolorem, chytrze uchylają wejście do mrocznej pieśni żołnierzy: północny werset dłuższy jest od zachodu dnia i wschodu księżyca. Wiadomo, strzała wypuszczona nad brzegiem puszczy ileż musi ominąć zdradzieckich topieli, zawołań bagiennych, kłusowniczych wnyków nim wytropi właściwy ślad za rączym jeleniem. Bywa opadła z sił ledwie dotknie lędźwi zwierzyny.

Dłuższa pieśń - krótsza tęsknota.

II.

Z błonia patrząc - miasto królewskimi barwami kraszone. Groźniej lśnią szczyty kościołów, dostojniej wieże, a wokół ciżba kamienic zwieńczonych koronkami attyk. Raz. Dwa. Trzy. Cztery. Cztery sztylety ostrzem zwrócone w stronę pątnika. I stos drewnianych domów równo rozłożony - schnie po tygodniowym deszczu. Każdy wojownik litewski i każdy litewski koniuszy myślą o kobiecie czarnobrewej nagle spłoszonej, gdy twarz obróci w stronę nieznajomego i niedbale korale na sukni rozpina - krasawica.

III.

Litwa uważnie słucha. Oblicza. Wróży z lotu ptaka. Ssie gorzką łądygę piołunu. I słucha muzyki. I pieśń każe, jak wonne kadzidło do stołu podawać. I oczy mruży chytrze.

Kiejstut po trzykroć Lublin objechał. Cienkie świece pali przed ikoną Madonny. Właśnie był powrócił ze wzgórza: długo stał. Przed nim królewskie miasto pławiło się w ciepłych kałużach. Szedł zapach rozmarynu i kaczeńców. Sady w puchu niepokalanym stały, aż od ich białości poblask opadał na domy żywiczne i wąską smugą niósł się pomiędzy mosiężnymi dzwonami w stronę leśnego płotu.

Herbowi i koniuszy cmokali. Mówili: Lelum - Polelum. Mówili: widzieliśmy o wschodzie nowgorodzkie kopuły ciężkie jak misy pełne bizantyjskich monet, chodziliśmy ulicami Kijowa pogrążeni w cerkiewnych brząkach po szyję, po usta wypchane psalmami, trzymaliśmy w ramionach leśne kobiety północy, zwiewne niczym sitowie lub płomień.

Mówili: dajcie nam miasto - krasawicę. Zostawimy wszystko, co mamy, namioty safianowe, konie - dżygity, dzikiego zwierza napędzimy w polskie puszcze, otworzymy najtajniejsze furki północy, a każdej niewieście waszej przydamy pierścień miodowy, a wam, szlachetnie urodzonym - zaprzęg skór sobolich i po dwa kosze ryb.

Lelum - Polelum.

IV.

Litwa obozem stanęła naprzeciw profilu miasta.

## **Tajemne wzniesienie pożaru roku 1575**

Już halabardnicy zamknęli bramy zmierzchu nawołując ostatnich przechodniów do rychłego powrotu w ciepłe komnaty lub pójścia do gospody „Pod Zielonym Wieńcem”, gdzie akurat siedzący przy gorącym piwie śpiewają nadobną piosenkę: „Zakłułam się tarniem”. Pohukiwania dobiegają aż do fary: organista Jan po raz któryś próbuje wpisać ostatnie takty tabulatury, ale sprośne echa zakłócają nastrój pobożności. Mistrz Jan pragnie dorównać kompozycją włoskim madrygalistom, powabnym uderzeniami w instrumenty, jakby się rozwijało szeleszczący połysk jedwabnej materii, gdzie łaskoczący śpiew fletu niemal usypia

gwałtowność rąk, a wibrujący pogłos skrzypiec unosi się kaskadami aż po ostateczność dźwięku. Stać się wszechogarniającym wszystko płomieniem...

Płomieniem stanęło przedmieście smolne budząc wiatr drzemiący po drugiej stronie zamku. Stada iskier wybiegły gniewnie węsząc wszędzie trwogę. Już halabardnicy uderzyli na alarm. Dzwon klęski stuka w okna: Gore! Gore!

Kto żyw wybiega, rdzawe żerdzie popielne stawiają na sztorc - ostrzem ku płomieniowi. Gorąca jasność z sykiem płynie rozsuwając gniewnie zimny koc nocy, aż czerń w różowość przemieniona zatacza nad miastem wirujące kręgi. Dołem gruba warstwa popiołu - splakani ludzie próbują wygrzebać dobytek.

Na ratuszowej wieży rajcy dyskutują nad pojmaniem ogniosprawcy. Wyżej kaznodzieja dominikański układa teksty biblijne na najbliższą niedzielę pokutną. Ze szczytu natchnienia organista Jan ze smutkiem patrzy na jezioro ognia wlewające się wąskimi zatokami pod mury miasta.

Ponad spalenizną i modłami kruk. Nad nim szary namiot pyłu. Wyżej trwoga. Najniżej stoją ci, co żyją z dnia na dzień okryci kocami beznadziejności. W dłoniach trzymają długie kije wędrowców.

Halabardnicy chodzą żałobnym krokiem szukając chwili, w której wybuchł pożar.

## **Nad glorię wywyższony laurem**

Na kilka dni przed niedzielą przewodnią odwiedziły Małopolskę tak upalne dni, że powietrze, dawniej jasne i świeże, aż drgało, a w nim falowały drzewa i chaty, dostrzegano coraz mniej ptactwa i coraz bardziej żółtość opadała na pola i łąki. Wrócono postny rok. Przepowiadano żałobę. Szeptano o bluźnierstwach szerzących się po całej Polsce za sprawą tych, co odeszli od prawowitej wiary: łaskawe oko Opatrzności zawsze otwarte, teraz zamknęło się gorzko.

W takiej to chwili wypadło mu jechać do Lublina. Wbrew prośbom żony, która podtrzymując ciężar brzemienności czyniła za nim z ganku znaki krzyża. Wbrew nawet rozsądkowi. Na obronę wytaczał ważki argument, że już i tak długo zwlekał z postawieniem przed Trybunałem Koronnym sprawy śmierci szwagra: został ubity nie w sporze ani w pijackiej burdzie, jeno gdy szedł w poselstwie do Turcji, był więc osobą publiczną. Właśnie teraz zamierza domagać się należnej rekompensaty od króla nie dla własnej chciwości, ani przez wzgląd na pokrewieństwo z jego żoną, tylko dla poszanowania prawa - pro publico bono.

Ociężale i w duszności szedł poeta ulicami Lublina wyszukując cieniste plamy, aby w nich znaleźć ochłodę. Uważnie spoglądał na tłum przewalający się po obu stronach ulic, kupczący i swarliwy. Kontuszowa brać dzierżyła prym wiodąc aż nadto głośne dysputy, poniekąd już miał wcale tęgo w czubie. Do tych miał poeta podły stosunek i ani myślał dać się przez nich rozpoznać, odwracał się plecami i dłużej zatrzymywał się przy straganach, wszak i popatrzyć było na co. Kupczyli handlarze z całego świata: jakie przednie sukna niderlandzkie i angielskie. Upatrzył zielonkawy jedwab zwany koftyrem i przyrzekł sobie, że go nabędzie dla Hanny, coś musi jej przywieźć z miasta, a ten jedwab będzie jej do twarzy, chociaż

przebiegły Ormianin już jest przy nim i zachwala adamaszek, i aksamit, i tabiny, i kaffy, które same się łaszą miękkością, oj, oj, wielmożny panie, warto je nabyć, pochodzą aż znad Czarnego Morza: „Jak wróćę od króla, wezmę, com upatrzył”.

Często stawał przy kramikach: złote i srebrne lamy, przewiewne muśliny, czamlety i muchajery z koziej sierści obok skór bobrów i płowych czap ze stepowych lisów. Puszkarze wyszli na ulicę i kłaniają się każdemu możnie przyodzianemu i niemal siłą podprowadzają do zdobnej broni, ale jego pociąga zapach wosku pszczelego; kapnicy niosą naręcza świec, inni dźwigają ciężkie kamienie woskowe. Z wszystkich dźwięków, pstrokatych barw, poszumu krzyków tylko ten zapach wosku jest mu najbliższy, bo swojski. Przymykał powieki, a wtedy pogwar odpływał - łagodny szum lipy otaczał go baldachimem. Tęskność wyskakuje spod kaftana. Jakaś żalność kołatała się w nim gwałtem. Za czym? Co ma przeciw sobie samemu? Do starości szmat czasu. Zdaży napisać wiele poezji i zdaży jeszcze spłodzić dziedzica. Jeśli to on leży teraz w łonie matki, ma na jego powitanie ułożony podniosły liryk, jeszcze nie spisany, bo ciągle zmienia w nim inwokację, by była tak lotna jak jaskółczy przelot, a tak śmiała jak jędrność ody cycerońskiej. A jeśli córka? Córeczka...

To stąd w nim żalność tak okrutnie bolesna, że przesłania wszystko. Na próżno próbuje odsłonić ciemniejące powietrze. Jak trudno jest uchylić powiekę. Skąd tyle szerniałej ciszy? Co to za szepty wynurzają się nad nim, przechodzą i znów zwalają się na twarz, piersi, ręce. Trzeba rozpiąć kaftan. Trzeba otworzyć okna. Przecież ktoś powinien być w domu. Ktoś nadchodzi, nie, to nie kroki: istny tabun biegnących w panice, co oni wołają i skąd ten pośpiech. Ludzie zawsze się śpieszą. Zawsze jest coś ważniejszego nad samo życie. Poecie przystoi zamyślenie. Zasłuchanie w melodię słowa. Wielokrotne oczyszczanie myśli z przelotnych słów, które dźwięczą pustką.

Ten mnich okryty szczelnie habitem ma jego ciało. Stoi zamyślony przed pustym nagrobkiem. Odechodzi za filar nocy w milczeniu lecz pozostawia w niszy nagrobnej książko. Z najwyższym wysiłkiem odczytuje jej tytuł: „Pieśni”. Ogarnia go wzruszenie.

Ten kapłan siedzący w stalli kapituły ma jego ciało. Gdy towarzysze odprowadzają nieszpory, on jeden milczy. Marmurowymi oczyma patrzy wytrwale ponad prezbiterium, ponad nabożny nastrój zwoleńskiego kościoła. Widać, że chciałby kogoś przywołać, coś mu powiedzieć pilnego. Kto zdoła z lekko rozchylnych ust zdjąć to ostatnie słowo. Poetyckie? Ojcowskie?

Obaj młodzieńcy wpatrzeni w kryształową szachownicę swawolnie sobie poczynają na padewskim placu, trzymający czarnego Popa zamierza nadziać go na rogi Rocha, lecz się waha skrycie, przekonuje go dopiero podszept Muzy. Czemuż tamten zaspia się, wstaje od szachownicy i uchodzi w czerń, to znów przybiega i próbuje kogoś z piechoty pchnąć na zwiady - cały jest oskrzydłony i zakryty w błyskach, a przecież głos znajomy: Piotra Myszkowskiego czy Fogelwedera, a może doktora Jana, wszak to u niego na Dziesiątej zatrzymał się i stąd wyruszył w trzecim dniu posiedzeń Trybunału Koronnego do lubelskiego Ratusza. Pamięta, że po drodze zmienił początek kwiecistej oracji, jaką ułożył jeszcze w Czarnolesie.

Gdy teraz zamierzał ją wygłosić, jakiś poszum napełnił salę. Nagle tyle twarzy zbiegło się ku niemu. Czerwona opończa zawisła na sklepieniu i nim się tym zdziwił - opadła ciężko na niego. W jej miękkich fałdach był bezradny. Czuł, że odpływa gdzieś razem /, materia. Jedno go zachwycalo - z całą mocą



natchnienia i sztuki poetyckiego komponował psalm górny, wspaniały. Nie masz go pośród Dawidowego psalterza, bo dopiero on go stworzył. Nagle. Mocą wyobraźni, świetlistą modlitwą. Dźwięcząca wszystkimi pogłosami żniwnego lata.

Obaj skrzydlaci podtrzymują purpurę. Obaj naraz nachylają się nad poetą. Obaj mają łagodność w spojrzeniu. Rozpoznaje ich dobrze. Wystarczy, jeśli powie” „nescio quid”. Jakaż to radość, że stanowią jedność, że nigdy nie zwątpił w reguły sztuki: ponad osąd rozumu stawiał zachwyt oka.

Nieważne dokąd idę. Nagle wszystko straciło swój ziemski wymiar. Pozostała czystość słowa. Finezja i kształt zamysłu. Wszystkie zamiary odżyły w nim z niepokojącą mocą, nawet tak odległe, z włoskich podróży czy dworskich zabaw. To istny cud móc wprowadzić właściwy rytm do zdania, które już zostało wydrukowane, bo wtedy w pośpiechu użył innego słowa. Postąpił jak rzemieślnik, a nie jak dworzanin Muzy.

Dziwi go nieustannie, że tak długo niosą go i nie ma ochoty wstać ani zatrzymać się, i to jeszcze niepomierne go zdumiewa, że nie ma przy nim ukochanej Doroty, ani najmilszej ptaszynki - Orszulki

Jest za to ociążałość ciała i falowanie purpury. Są też dwaj uskrzydleni, zamyśleni apostołowie. I pozłocisty napis whaftowany w materię: S.R.M.S. A nad nimi gorące sklepienie lipca.

W popłochu i wielkiej ostrożności wynoszono z sali Ratusza ciało Jana Kochanowskiego rażone apopleksją.

## **Akustyczne sumienie**

W czterech rogach kaplicy cztery siedzenia: krótka ława sosnowa, stołek w dębinie wyginany, krzesło z rzeźbionym zapiekiem, klęcznik obity safianem.

Cztery znaki herbowe dyskretnie ukryte za welonem całodziennego mroku nadają im odległe spojrzenie: św. Pachomiusz żerdź płomienną rzuca w stos bordowy, a może pozwala włócznie wejść w swoje ciało pełen skrytej radości; kartusz mosiężny resztki krajobrazu odbija, gdzie pośród stosu strzał dziewicza pierś różem spłowiłym zawstydza, melancholijna mniszka szuka w sklepieniu celi szramy, przez którą mogłaby ujrzeć niebo, jest przerażająco blada i omdlała; św. Dunstan prowadzi dialog z heretykami, wysłannikami króla - trzymają w dłoni cytaty, pełni są zapalczywej dyskusji.

Cztery barwy: kaprawa, piątkowa, leśna, nikodemowa. Cztery żywioły, jak cztery wiatry wiejskie lub cztery temperamenty. Czyż namiot nie stoi na czterech przesłach, tak niebo zostało podniesione, by każdy mógł pod jego kopułą słyszeć nadchodzącą burzę i znał czas budzącego się świtu i czas snu nocy.

Wyznaczający profil łuku sklepienia znał doskonale ekliptykę komety, której złowrogi cień towarzyszył budowie katedry. Możliwe, że lot strzały puszczonej za cietrzewiem naprowadził go na kształt nakrycia kaplicy akustycznej w katedrze. Przecież poranny śpiew kantorów wznosi się o całą oktawę wyżej niż

świergot ptaków i słusznie przyrównują go do ciężki spinającej bramę rajska - wygięta łukiem wyznacza horyzont i nocny lot gwiazd.

Na ławie przycupnął obibok i powsinoga. Na palcach liczy swoje zgorszenia. Wyważa, które najpilniejsze i przed innymi pierwsze. Ile w nich czerni, a ile tylko popielnego zdmuchnięcia, że nie warto napastować ucha spowiednika.

Nie da się zaprzeczyć, że kozikiem pociągnął po żebrach szwagra, fakt, tylko, że ten kozi bobek od samego wesela mu się nie widział. Fakt. Nie sam lałem do lochu pana burmistrza, mistrza Klonowica, a był za mną Kulwiec i Rybnik, znajomki, smolarze, obaj na Zadębciu u matek przebywają. Niewiele dało się w mieszek wsadzić, bo psy nas wytropiły i ledwie całe tyłki wynieśli. Mówię, jak na spowiedzi, takie już mam łapy, wszystko do nich się garnie. Boskiego, uchowaj Boże, nie tykam. Kiedym od Kuczki dostał w żywot, że krwią aż do niedzieli mówiłem, nie darowałem, zaraz po Zielnej puściłem go z dymem. Przez niego mam krótki oddech. Pęcherz nie dotrzymuje nocą, a jakie mam patrzenie - słozawe, jak karp. Fakt. Widziałem. Dokładnie wszystko widziałem, ale bałem się zeznać przed sądem, że jeszcze mnie posądzą, bym nie doczekał wieczery, jeśli cokolwiek sam z siebie mówię.

Ma ona u siebie sagan, a ten chowa za piecem. Napełnia go na wysokość dłoni mlekiem kozim, dodawa mało wiele ziół, a potem z kopytka capa struga cienki wiór, a wprzódy cedzi mleko, zielsko precz odrzuca z niego i teraz warzy całość. Pije razem z kotem murzyńskim, aż temu iskrzy się grzbiet. Fakt, to fakt. I to mogę przysiąc na każdą pasyjkę świętą. Aż mnie zemdliło ze strachu. Od tamtego patrzenia powieka na chromym oku sama mi opada. Pewnie nie za-długo zamknie się na stałe.

Na dębowy stolec siadł czeladnik malarski, przyczesany włos równo rozłożony został na obie strony głowy. Ciepły kaftan podbity safianem, buty namaszczone sadzą z łojem i wyglancowane przydają mu powagi. Za krótki czas zostanie właścicielem warsztatu, w tej delikatnej materii przyszedł radzić się spowiednika. Wdowa mu rada, czego dowodów dawała aż nadto, trudno też nie dostrzec jej chęci życia i szybkiego zamążpójścia. Nie wytykając, pan Samuel Warczygłowa mocno, oj mocno zaniedbywał łożę małżeńskie, przedkładając nad nie kufel piwa dwurażnego lub podwójny czarnego szmelcowanego. Czeladnikował u niego na tyle długo, że poznał wszystkie tajniki zawodu, wielu świętych wyszło spod jego ręki, całe konterfekty szlacheckie są jego roboty, wedle zamówienia - gotowe popiersia dopełniał sarmackim profilem twarzy, aby zgadzała się ilość przodków w prostej linii idących od rzymskiego rodu Pliniusza Ksanlusa młodszego; na życzenie w ciągu dnia wystawiał portret trumienny - nie godzi się w takiej chwili poddawać w wątpliwość podobieństwo portretu ze zmarłym, wszak o jego zasługach mówią zaszczyty dokładnie odmałowane. Po rocznej żałobie znosili do warsztatu zapomniane cmentarne wizerunki, odkurzało się je, czyściło olejem, podmalowywało ubytki... i czekało na kupca. Któryż żałobnik nie chciałby, aby dziad jego umarł w glorii i dopiero teraz pospółstwo, a i zawistni, dowiadywali się z konterfektu, że nie tylko srogie rany znaczyły jego żywot długi, ale i łaska królewska nie była mu obca.

Pora wyznać, że żona ostrymi słowy, on zaś naigrzaniem się z braku męskości, wyrugowali mistrza z warsztatu i z domu. Została mu okowita i siennik grochowiny rzucony w komórcę: pospołu ciężar winy za jego przedwczesną śmierć wezmą na siebie.

Burmistrzowski głos ma w sobie pewność i równość, jakie przysługują rządzącemu nie byle jakim miastem, ale jednym z najznamienitszych i zamożniejszych w Rzeczypospolitej, gdzie możesz rozmówić się z Żydem, Ormianinem, Włochem, Litwinem, Rusinem i Turkiem. Wzgląd ten wymaga dawania równości każdemu stanowi kupieckiemu, wspomaganie budujących się, tępienia złodziejstwa, baczenia na jakość murów miejskich i mnogość szynków, z których kasa miejska ma znaczny uzysk.

Spór nie dotyczy wiary ani obrazy świętości, gdyż jako prawowity wyznawca świętego krzyża i Matki Bożej, ani bym śmiał podnieść dłoń. Z woli rajców miejskich stanąłem po stronie porządku, a przeciw kapnikom. Nie razi mnie ich jarmarczna obłuda, niech się odziewają w żydowskie barwy, niech stroją głowy w niemieckie szlafmyce. Mogą się smagać dyscyplinami, ich sprawa. Uchyl kapy - młoda dziewczka bez odzienia. Pod ryżym kapturem łeb chowa znany hultaj zbiegły z więzienia, węszy, komu obciąć mieszek u pasa. Nikt nie wie, gdzie sypiają i jakie myśli noszą w sobie. Pomiedzy stragany wchodzą z psalmem pokutnym nie omieszkając sięgnąć, jak tylko nadarzy się chwila, po cudzą własność. Znam, znam ich marszałka, wielkiej pobożności to pustelnik, ale bardziej wpatrzony w przeżywanie męki Pańskiej, stąd nieświadom, co się dzieje za jego plecami. Od niedzieli kwietnej zakazałem procesji kapnikom. Zakazałem również szwagrowi udziału w ich obrzędach, a kapę, którą na tę okoliczność sobie sprawił z brokatu flandryjskiego przekazał na ornat żałobny dla kolegiaty. Wierutnym kłamstwem jest pomawianie mnie o cudzołóstwo i krzywoprzysięstwo. Namnożyło się zawistnych. Krogulczym okiem patrzę, że stawiam kamienicę nową mając już jedną w rynku. Stawiam z posagu żony. I postawię. Na przyszłe gody córkę wydamy, dom będzie jej, burmistrz lubelski nie będzie biedniejszy od krakowskiego rajcy: jego syn, moja córka. Prawda, żona od dawna słabuje. Medycy próbowali różnych lekarstw, na wiosnę kazali zjadać bazy wierzbowe, to znów tarte racice łosia podawać z wrzątkiem, a żydowscy znosili swoje leki. W żywocie czuje ucisk. Lekarze mi radzą, abym nie wstrzymywał męskości, bo to grozi apopleksją. Każdy żyjący jest potrzebujący, sypiam niekiedy ze szwagierką w jej alkowie, ale przy największej tajemnicy i pod nieobecność jej męża. Wdzięczne ma ciało i wielce jest krotochwilna, jak każda białogłowa o jasnym spojrzeniu. Krzywoprzysięstwo nigdy nie miało do mnie przystępu. Posądzić o to mogą mnie tylko ci, co czują się pokrzywdzeni w sądzie albo Tarłowie, albo Wan-tułowie, albo żydowscy kramarze, którzy postanowili pobudować swoje kramy bliżej Bramy Rybnej, a nie na nakazanym terenie. Z Tarłami spór mam w sądzie o kilka włók ziemi ornej na Sławinku, które są nam przynależne, na co istnieją zapisy w księdze wieczystej po moim dziadku Herakliusz Janie i żadna moc nie może mi własności mojej pozbawić. Strzałkowscy nigdy nie byli mi radzi, a tym bardziej Wantułowie, będący stronnikami Radziwiłłów, a wywodzący się ze szlachty litewskiej, skorzy są do procesów wszelakich. Od nich pochodzi zarzut, że luteranom sprzyjam i ich książki nad inne są mi miłsze. Rozповідаją, że w czas postny pod oknami moimi słyszeli śmichy - chichy. Bierze się to stąd, że jeden z nich, niejaki Remigiusz Strzałkowski, chorąży łukowski, zabiegał o stanowisko burmistrza Lublina. Większość rajców opowiedziała się po mojej stronie, za nim byli sami łyckowicze, konopnicy, wyrobniki i garść czeladzi z kilkoma panami majstrami. Bóg z nim. Nie godzi się dawać posłuchu wszystkiemu, co krąży po mieście. Każde stanowisko ma przeciw sobie kogoś, a któż z nas jest bez ambicji bycia kimś znaczącym?

Tylko spowiednik, który uważnie wyważy dialog, chcąc dojść przyczyny tak gorzkiego uczynku, może orzec kto tej chwili może stanąć po prawicy, a kto po lewicy Ukrzyżowanego. Bo nie jednaka jest miara

przebaczenia dla obiboka i powsinogi, i magistra nauk wyzwolonych, i rajcy miejskiego, i królewskiego zausznika.

Pod sklepieniem kaplicy czają się wyrzuty sumienia - każde w innej barwie, każde inaczej nachylone, każde szukające swego patrona, bo on tylko może je zmasać z powały.

Mea culpa, mea maxima culpa.

## **Echo podwójnie zbudzone**

Za barokowym filarem zaczyna się rozległa kraina szeptów znana tylko najwyższym dźwiękom, które właśnie we wnętrzu katedry wbiły swoje chorągwie pysznie lamowane zmierzchem.

Pod alabastrowym sklepieniem wiszą girlandy zaprzyszłych rozmów: wystarczy dotknąć ustami spoconej ściany zakrystii - rozmawia z tobą święty Bartłomiej dobrodusznie odziany w renesansowy płaszcz. Dopiero co ukończył rekolekcje, ogniste dłonie niecierpliwie unoszą ciężki zwój materii.

Jezuita zatroskany o poprawność teologicznej rozprawy gotów jest każdego ochrzcić w imię ostatecznych ideałów, póki co, dialog wiedzie o Fauście zdeprawowanym.

Tylko barczysty zakrystian uważnie śledzi każdy odcisk palców pozostawionych na monetach – z chropawych linii papilarnych odczytuje charakter. On jeden pamięta dzień, kiedy granitowy słup złączył najdalszy punkt nawy głównej z modrzewiową aleją biegnącą ponad perlistą chustą Madonny i zdziwieniem Marii Salome, aż się zatrzymał u podnóża latarni - furtki uchylonej w mroczny zakątek raju.

Za barokowym filarem ukryte są wszystkie szepty Lublina. Jest tu i twój uśmiech uwieszony nisko posadzki. Mój gniewny skowyt Diabelski skrzek sądzących wdowę w magistracie. Mosięzny pogłos wojennych krzyków. Skomlący pisk bezdomnych psów. Radosny świergot porannych ptaków. Niemy gest żebraka. Ostatni skurcz konającego serca. Płacz zawiedzionej.

Podwójne echo przepływa tuż, tuż...

## **Zapamiętane mimochodem**

Znam zakątek znany tylko średniowiecznym wagabundom: potrójne przejście odbite w lustrze negatywu, gdzie wszyscy stojąc w milczeniu adorują profil Zielonej Madonny siedzącej pospołu za weselnym stołem, wysoko ponad brązem, tam, gdzie kończy się lekliwie otchłań oparta o chłodny namiot zmierzchu, a już się zaczyna naskórek pancerza wiary - Madonna na kolanach trzyma przedmieście.

Pomiędzy ulicą Lubartowską a Kowalską spędziła dzieciństwo. Teraz czeka, kiedy zapomniany hejnał ogłosi porę nieszpór: matka wyjdzie na próg i zatroskanym spojrzeniem obejmie daleki wylot ulicy - fioletowy pas gęstniejącej zieleni, za którą aniołowie niosą grube wołokowe namioty czerni.

Jeśli ktoś chce, możemy tylnymi drzwiami uciec z uczty i zanurzyć się po pas w chłodzie.

Jeśli ktoś chce, pobiegniemy w dół Lubartowskiej, aż mur echa zatrzyma nas gwałtownie, stąd zaczyna się asfaltowa droga nocy: na prawo - echo zasypia w krzewach porzeczek, na lewo - gwiaździsty wóz toczy się ku alejom.

## **Pożar Lublina 1719 roku wybuchł dnia 12 czerwca**

Pierwszy przebudził się sukiennik Szymon zdumiony czerwienią, która niespodzianie wypełniła wnętrze alkowy aż po najciemniejszy zakątek nocy.

Wstał Gabryel przezwany Piszczalką, bo podług wzrostu bliższy był tyki chmielowej - wyrzał przez szparę na podwórze i ze strachu padł bez czucia w sieni.

Żona garncarza świeżo poślubiona i nienawykła jeszcze do łożnicy małżeńskiej zdumiała się gorącością bijącą zza przepierzenia - długie dzidy ognia wbijały się boleśnie w północną ścianę domu. Najpierwszy oprzytomniał Kasper Dławiduda, dzwonnik u świętego Michała, cierpiący na podagrę i bezsenność. Czekał, aż trzeci kur zapieje. Czekał, aż z ławy podokiennej stoczy się gruby wołok nocy i turlając się w stronę pieca skuli się w stosie drew, jego miejsce zajmie miękkie płótno szarości. Póki co, dzwonnik zaczął nucić pół-szeptem godzinki, cyrkulując, kiedy trzeba będzie wejść do sieni a potem na dwór, a jeszcze potem pójść do fary i obudzić dzwony.

Przed Kasprem Dławidudą pierwszy obudził się pies Chaima, akurat w chwili, gdy przednia straż pożaru cichcem otoczyła sosnową budę Chaima nakrywając ją płomieniem nie do ugaszenia. Chaim i pies szybko stanęli przed Panem: byli tam już kuśnierz Biały Jerzy, powsinoga Pelc z żoną i ośmiorgiem dzieci, łąziebny z trybunału, co był zatrzymał się na noc u Hanki i hycel miejski, jednooki rubasznik Pała, nie licząc tych, którzy śnili, że na równi z panami z magistratu zasiadać będą w ławach kolektorskich. Kto dobiegł murów, mógł świadczyć o ognistym potopie. Kto z Bramy Krakowskiej patrzył na miasto żydowskie, słyszał pogrom biblijny. Kto biegł ulicą półnagi rażony duszną fałą popiołu, uciekał donikąd.

Tatarskim zagonem płomień wciska się w ulicę Kowalską przewracając smolne domy, potykając się o krzewy, rozłożyste jabłonie i mokre chusty łąk; byleby dopaść wzgórze zamkowego, rozgrzać skałę, aż gruz zasypie wąwóz, dla miasta nie będzie już żadnej nadziei ratunku. Skona w szaleństwie do połowy. Stado strzał płomiennych gniewnie oblega seminarium, a w chwilę potem zaułkiem uderza w kruche drzwi kolegiaty. Gwałtowny błysk ostrza promieniście otwiera wnętrze szukając tajemnych schowków i zejść w podziemne przejścia.

Purpurowy płaszcz nieszczęścia wiatr rozlewa po najbiedniejszych podwórkach malując sztachety i żywopłot w wielkopiątkowy odcień szyderstwa.

Rozżarzony dzwon zniszczenia zawisł pionowo nad Lublinem. Trybunalski dzwon zachrypłym dyszkantem woła: Kyrie elejson, kyrie elejson...

Przeciw swawoli ognia wyszła Bramą Grodzką procesja ze świętą relikwią na czele, chorągwią tkaną złotogłowiem ukazującą świętego Floriana, nieustraszonego pogromcę płomieni. Lśni husarski pancerz. Mosięzna dłoń z rozmachem wali w pysk potwora, skrzy się całe przedmieście. Za każdą iskrą biegnie umyślny człowiek i mokrą płachtę zaciska na twarzy noworodka. Mocarz, krok po kroku spycha burzę w głąb krajobrazu, sam schodzi za wrogiem w korytarz węgielny, wbijając w ostatni oddech pożaru zimny sztylet.

Szary welon rozpaczy aniołowie długo trzymają nad miastem.

## **Rok Pański 1755, który jest przestępny i przybyszowy, a zawiera dni 366**

Od stworzenia świata:

podług rachunków Greków 7263

podług rachunku Kalwizjusza 5704

podług rachunku żydowskiego 5516

od potopu całego świata 4086

od początku Królestwa Polskiego 1205

od ucieczki Mahometa 1169

od założenia miasta Krakowa 1055

od początku wiary świętej w Polsce 791

od uzyskania praw miejskich Lublina 438

od ostatniej unii Litwy z Polską 178

od zniesienia Turków pod Wiedniem 72

od ustanowienia Orderu Orła Białego 47

Na wiosnę nad miastem, kiedy niebo z purpurowej szaty przebiera się w atlasową opończę i szczerlnie nakrywa wszystkie kamieniczki, pojawiła się kometa ciągnąc za sobą ogon barwą i iskrzeniem przypominający zimny ogień, jakie podczas balów noworocznych wypuszczano na placu miejskim.

Zjawisku niebieskiemu przyglądał się był, kto żyw, wróżąc z bliskiej obecności komety więcej nieszczęść aniżeli pomyślności dla Rzeczypospolitej. Przypominano, iż rok temu, nieznana o tej porze

tajemna choroba spadła na kobiety oczekujące porodu. We wsi Sławinek nagle wszystkie budynki stanęły w ogniu, a na Gody słyszano długie i przeraźliwe wycia wilków. Godzi się również podać, że najstarsi ludzie Lublina w liczbie ośmiu pomarli jednego dnia. Anna Młodziejowska miała widzenie: przez czterdzieści dni i nocy światło nie będzie gasło, będzie popadnie w odrętwienie, a od pioruna i wichrów wiele szkód będzie wyrządzonych, cierpiący na umyśle targną się na swoje ciała, kto ma w domu gadające drewno albo kamień szklisty, niech się wystrzeżga ich mocy czynionej magią naturalną. To powiedziawszy, jeszcze tego wieczoru, opatrzona sakramentami opuściła ten padół ziemski.

Z wszystkich zakątków miasta powyłazili przepowiadacze, że nie sposób było o niczym mówić, tylko ich słuchać. Nie dziwota, że w głowie nie jednego zaległy się czarownice i czarnoksiężnicy, i ci święcie wierzyli, że po nocnym niebie szybuje szatan siedzący okrakiem na ożdzie, nasmarowawszy się tłustością z dzieci przed chrztem poduszonych. Wywodzono o zbliżającym się końcu świata, o cielęciu z pięcioma nogami, które wybiegłszy z obory zostało przez wiatr porwane w przestworza, o szewcu My kole Samokiszu - ten w sobotę biegał nago po mieście, a próbujących go pojmać, pogryzł, własne ciało kąsał, plwając na pokarm i ślubną małżonkę.

Leibchirurg JKMości, Jan Stolle, konsyliarz nadworny i pierwszy chirurg, przebywający w Lublinie u swego teścia podczas świąt wielkanocnych był świadkiem zajścia, które go osobiście dotknęło a także i oberhofmistrza paziów JKMości Piotra de Konigsfelsa przyslanego w pilnej sprawie od dworu. Wyjeżdżający kareta z Lublina błakali się noc całą, nie mogąc wjechać na trakt warszawski i dopiero z nastaniem świtu mogli rozpocząć zaplanowaną podróż. Dla przedziwności wydarzenia przekazali je królowi, który zaśmiewał się i dodał, że Lublin nie jednemu obcokrajowcowi już spletał dobrego figla - mają oni tam konie hodowane tatarskim sposobem, wielce sprytne i nawykłe do mowy polskiej, a niechętnie do nocnej posługi, zwłaszcza nie swoim.

Jakub Wołyński, prezes cechu szmuklerskiego i cechu cyrulickiego, jeden z najdostojniejszych obywateli miasta, fundator ławy kolatorskiej, opisany w kalendarzu politycznym Grolla, tak bardzo przejął się trwożnymi znakami na niebie i ziemi, że popadł w suchoty i omamy. Całymi dniami kazał sobie czytać pisma królowej Saby i przemyślał nad nimi.

Obliczył, iż 21 novembra 1783 roku wszystko, a zatem i Ziemia, i Europa, i Polska, a w niej i Lublin, zginie od materii palnej, lecz wprzód trzęsienia ziemi po różnych państwach odzywać się będą. Sposobił się do tego momentu nakazując nie zabijać żadnego zwierza, odmówił rosołu kurzego, precz przegnał medyka, zaniechał widzenia się z kimkolwiek. Tak czekał żyjąc w odosobnieniu, aż popadł w melancholię. Prawy człowiek, biegły w rzemiośle, światły obywatel.

A co się tyczy komety, jej tajemne oddziaływanie musiało być wielkie, skoro nocą dach blaszany na kościele jezuickim bez żadnego powodu skręcił się okrutnie w rulony nie dające się w żaden sposób wyprostować, a w studni na podwórku zamkowym wrzała woda i słyszano wołanie kobiece biegnące od dołu, tak przejmujące, że zgroza opadała słuchających.

Piszę o tym na potwierdzenie dziwnych dokonań w naturze ludzkiej, jakie były udziałem ciała niebieskiego kometa zwanego.

Credite, posterii!

## **Opisanie doświadczenia czynionego z Banią Powietrzną w Lublinie dnia 1 Kwietnia Roku 17859 a puszczołą z Ogrodu Saskiego**

W mieszkaniu pana Teofila Tefelskiego radzono wielce uczenie nad najwłaściwszym sposobem wypuszczenia Bani Powietrznej, na wzór takowego wydarzenia, które miało miejsce w Krakowie dnia 1 Kwietnia Roku 1784, a było oparte na doświadczeniu francuskich fizyków J.PP. Stefana i Józefa Montgolfiers uczynionym 6 Czerwca Roku 1783 w Annonay, Prowincji Vinarais, a powtórzone 19 Września w Wersalu w przytomności Króla Francuskiego i całej Familii Królewskiej.

Wszyscy byli zgodni, że będzie to wiekopomny eksperyment, zaś pan Waclaw Plewko utrzymywał niezbicie, iż należy dołożyć wszelkich starań i wysiłków, aby w Lublinie uczynić eksperyment z Banią Powietrzną, gdyż podniesie to splendor miasta w całej Rzeczypospolitej i wprawi w zdumienie inne miasta.

J.PP. bracia Tadeusz i Mikołaj Zaniewiczowie, którzy podjęli się na oczach publiczności wynieść Banię Powietrzną długo i zawile tłumaczyli zebranym, jakie prawa fizykalne rządzą i co należy czynić, aby nie wejść z nimi w sprzeczność. Przeto nie należy do napełniania Machiny powietrznej używać słomy, a tembardziej słomy wilgotnej dającej dużo dymu, gdyż fałszem jest domniemanie wielu, iż dym, będąc lżejszym od atmosfery, uniesie Banię do góry. Częstki dymu i pary co prawda mają rozrzedzone powietrze, ale nasycone są wilgocią i innymi ciałami lotnymi. Połączenie powietrza wilgotnego z innymi lotnymi cząstkami we wnętrzu Bani zabiera zbyt dużo miejsca, które winno być przeznaczone dla samego powietrza rozrzedzonego, dzięki któremu to Bania może unieść się do góry. Do takiego tłumaczenia posłużyło podobno to, że nie czyniono dokładnej różnicy między sposobem napełnienia bań powietrznych podanych przez PP. Montgolfiers i sposobem P. Charles'a.

Inny jest sposób niemiecki: powietrze palne wydobywa się z żelaza lub z cynku przez kwas koperwasowy. Chcąc tym sposobem wypełnić Banię, potrzeba, aby ta była zrobiona z kitayki lub płótna gęsto tkanego, pociągnięta zewnątrz i wewnątrz pokostem z gumy elastycznej zatykającej szczelnie dziurki płótna lub kitayki, żeby powietrza nie przepuszczały. Na opiłki żelaza lub cynku nalewa się kwas koperwasowy odpowiednio rozrzedzony. Przez powolne burzenie wydobywa się powietrze palne, które po wyparciu z niej zupełnie powietrza atmosfery, wypełnia od wewnątrz Banię. Wypełniona nim Machina do góry się podnosi, którą można opuścić ujawszy powietrza palnego przez czop lub pompę tłoczących go do Bani. Ten sposób napełniania Machiny jest wielce kosztowny i wymaga znacznego czasu; pan Charles potrzebował trzydziestu sześciu godzin do napełnienia swego Balonu. Oprócz tego doświadczyli fizycy paryscy, że wszystkie dotąd znane lakiery nie mogą zabronić zupełnie przededchu, przez który palne powietrze ulatuje też, a nic nadto, było przyczyną, iż Bania Liońska pękła ledwie sięgnawszy dachów kamienic. Tedy proponujem do podgrzania powietrza użyć drzewo bukowe, o którym wywiedzieliśmy się wprzód u pana Zajęca, że ponad osiem niedziel leżało od strony południowej, da ono nam wysokie ciśnienie ciepła.



Dnia 1 Kwietnia R. 1785 na rozległym placu Ogrodu Saskiego otoczonego, dzięki uprzejmości komendanta miasta, wartownikami zebrał się nieprzebrany tłum miejski. Dla znaczących gości wystawiono ławy, gdzie mogli zasiąść, jako że posiadali bilety rozprawdzone chytrym sposobem przez pana Wacława za namową PP. Zagłoby i Kowalskiego, a to celem pokrycia kosztów zakupu materiałów na balon, najęcia pomocników i dwóch biegłych w rzemiośle rusznikarskim.

Na kilka dni wcześniej wyszło obwieszczenie, po rogach ulic i miejscach publicznych rozwieszone, o mającym nastąpić doświadczeniu, przez trzy kolejne wystrzały z moździerza wyznaczone poczynając od godziny siódmej z rana.

Kto żyw był i nie musiał siedzieć w domu śpieszył obejrzeć widowisko. Po drodze toczono zawzięte dyskusje: dewotki utrzymywały, że jeno za sprawą nieczystą cokolwiek może się unieść własną siłą; znający dzieło Jana Szastera, Medycyny Doktora, Farmacji i Materii Medyki Profesora, przekonywali swe kochanki, że nie za długo można będzie swobodnie żeglować powietrzem, co wszystkie kobiety wprawiało w omdlewający zachwyt i przerażenie. Tylko dwaj najwięksi sceptycy, na znak lekceważącej dumy, nie raczyli stawić się w miejscu wyznaczonym, a to: Apołinary Wężyk zarządzający apteką, zwany popularnie dla swej nadmiernej chciwości Pigularzem - Grabarzem oraz Melchior Stanisław Piszczyk, właściciel podmiejskiej cegielni, któren był zwykły wierzyć tylko księżom.

Dnia 1 Kwietnia czas pokazał się cichy i pogodny, usłyszano pierwszy strzał z moździerza. Pierwsi zaczęli biec chłopcy z przedmieść podnosząc krzyk wielki, co wprawiało psy w roztargnienie. Zaraz po nich z domów wychodzili biedni. O godzinie dziesiątej z rana, po drugim odgłosie wystrzału, Banię do góry na krążkach wyciągnięto; wówczas od miasta zaczęli statecznie nadchodzić znaczniejsi goście. Uczyniono dla nich szpaler wśród pospólstwa, mogli wygodnie zasiąść i być naocznymi świadkami napełniania Machiny powietrzem.

Naprzód kilka podpalonych wiązek dobrze wysuszonej słomy trzymali pomocnicy w otworze balonu, aby uniosła się jego górna powłoka, potem w piecu żelaznym probierskim, tkającym lufty ze wszystkich stron, rozpalono drzewem bukowym, a kiedy buchnął zeń wysoki siup płomienia, podsunęto piec do wnętrza Machiny. Z sześciu roślących mężczyzn z truciem utrzymywało powrozy wiążące Banię z ziemią, taki był w niej silny cug przalonego powietrza. Pomocnicy nogami zaparłszy się w miękkiej darni, niemal pochyleni do ziemi, z karkami nabrzmiałymi od nadmiernego wysiłku co chwila jeno wołali: „Na Boga, nie zdzierzym!” lecz panowie bracia Zaniewiczowie obiegając Machinę, laskami szturchali w wydęty brzuch balonu, to znów spoglądali w niebo zaciągnięte ostrym błękitem i nie dawali znaku startu. Coś ze sobą szeptali pośpiesznie, puścili gołębia, wszyscy śledzili jego gwałtowny lot, a kiedy znikł w gęstwinie drzew, kazali puścić z klatki sokoła. Ten majestatycznie wzbił się w górę i niczym szara plamka zawisł w miejscu: dobry znak... Puuszczaaaj!

O godzinie dziesiątej minucie dwunastej cała Machina powietrzna, od trzymających puszczone, z wielką wspaniałością, przy okrzykach wszystkich spektatorów podniosła się w górę zachwycając kolorami oczy zebranych. Unosząc się nad miastem, w dziesiątej minucie po puszczeniu widziana była pod kątem 85 stopni; biorąc najbliższą odległość do miasta od kwadransu dało to wysokość Bani dwa tysiące trzysta czterdzieści pięć sążni rachując po sześć stóp na jeden.

Podnosząc się coraz wyżej spotkała cztery wiatry: najpierwszy pędził ją w stronę podolskiego wąwozu, jakby zamierzał wystraszyć cały Orient klęczący jeszcze po ostatniej nawale ziemnej; drugi, przeciwny chciał, aby stała nad miastem aż do nowiu i była jego podwójnym lustrem; trzeci, północny, najostrzejszy uderzył gniewnie w oba boki piramidalnych przyzmy tak, że zaczęła opadać; ostatni wiatr, przed wielkanocny, wygładził jej powierzchnię i obróciwszy wokół własnej osi ukazał ją miastu jako ognisty spodek. Co bardziej tchórzliwego serca biegli do miasta wołając, że z nieba sypie się pas rozżarzonych węgli, grozić to może nieobliczalnym pożarem. Próżno obaj fizycy tłumaczyli, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, gdyż dla stałego podgrzewania powietrza w Bani użyto soli kuchennej rozpuściwszy ją w spirytusie, oprócz tego przesypali nią dobrze bawełniane kłaki. Próżne tłumaczenie! Koszula bliższa ciału. Pospołu więc biegli wszyscy i im bliżej byli swych domów ogarniał ich gniew i szydery śmiech, że dali się uwieść oczajduszom, jakimś przybłędem, którzy omamili ich stosem cyfr, francuskimi doświadczeniami z atmosferą za pomocą Nauk Fizycznych i Matematycznych. I spadała na nich sadza srebrzystymi płatkami. W dłoniach zamieniała swą materię w lepkość, ale kiedy osiadała na mosiężnych dachach, przemieniała je w złociste kałuże, aż oczy raziły ognistym blaskiem: gwałtownicy biegli z wiadrami i drabinami gasić płomienie. Nie wiedzieli, że przed nimi rodzi się nowa materia: w strumieniu wody nabiera kryształowej struktury chłodu.

Około godziny dziesiątej minuty pięćdziesiątej trzeciej Bania Powietrzna spuszczać się zaczynała, aż ostatecznie osiadła nieopodal wzgórza Zamkowego nad brzegiem wodnistego rozlewu i pośród kaczeńców gęsto rozsypanych wyglądała jak ogromne jajo wielkanocne złożone w zielonym obrusie przez ptaka giganta. Tam ją dopadli chłopcy i wartownicy.

Zostawała przeto Bania na powietrzu przez niecałą godzinę, a przeto dłużej bawiła, jak Machina puszczone z Zamku la Muette, czy Bania Krakowska puszczone z dziedzińca Ogrodu Botanicznego; pod tąże datą zostało zapisane w księgach miejskich, iż dwaj fizycy J.PR Tadeusz i Mikołaj Zaniewiczowie w dzień Prima Aprilis dowiedli, że doświadczenie z Banią Powietrzną było jednym z najwspanialszych dla oka wyczynów i przynosi wiele chwały ludzkiemu rozumowi oraz splendoru całemu miastu Lublinowi, który tak hojnie partycypował w jej uniesieniu się w górę.

W wielu miejscach Kraju powtarzane było doświadczenie z Banią Powietrzną, ale nie wszędzie pomyślnie.

## **Hansa Christiana Andersena osobliwe przypadki w Lublinie**

Księżycowymi schodami, wiodącymi poboczem ulicy Podgrodzie, idzie mężczyzna ubrany w długi płaszcz z potrójną peleryną opadającą na ramiona, na głowie ma lekko podniszczony cylinder. Mężczyzna ociężałym krokiem pokonuje każdy stopień schodów, czasem przystaje dłużej - oddycha głębiej. Wreszcie wchodzi na szczyt wzniesienia, przysiadła na ławeczce. Okoliczne okna zasłonięte są grubym kocem czerni. Srebrzyste cienie pofalowaną powłoką rozłożyły się na przybudówkach, gzymsach i rozległym podwórzu. Na szczycie dachu pęk strzelistych wieżyczek ostro wbił się w błądź nocy. Z otwartej fasady budynku wyszedł ołowiany żołnierz, drewniana noga głucho postukuje. Podszedł do przybysza, zsalutował:

„Witam szanownego pana Autora. Uprzejmie zapraszamy wielmożnego pana do środka. Już są wszyscy. Czekaliśmy na pana”.

Sala teatru jest oświetlona skąpo, dzięki czemu widownia wydaje się być rozległą komnatą bez ścian. Każdy szmer uderza głuchym dzwonem i długo błąka się w czerni nim wróci z powrotem. Nastrój jest podniosły, tajemniczy i przejmujący. Przybyły jest do niego nawykły, nie okazuje żadnego lęku ani zaskoczenia. Siadł wygodnie w pierwszym rzędzie, obok położył cylinder. Dał ręką znak. Ołowiany żołnierz zasalutował, podniósł do ust trąbkę i zagrał donośnie. Kurtyna rozsunęła się. Na proscenium wyszedł błazen, uklonił się szarmancko i z rozwiniętego pergaminu odczytał powolnie, jako to komedianci mają prawo grać komedie, przedstawiać balety, pantomimy, teatr z marionetkami, balansowanie na linie oraz wyrywać zęby, sprzedawać balsam, medykamenty i leki.

Ledwie skończył czytać, jak na scenę wybiegł olbrzymi miś z gromadą maluchów, szybko ustawiono huśtawkę, najmłodszy wlaź ojcemu na grzbiet i bawił się piłką. Zaraz za nim wtoczył się pingwin Pik - Pok przewracający się ciągle o różne przedmioty. Nie przestając jeść lodów, pingwin opowiadał swoje przygody. Opowiadałby je dłużej, gdyby nie Pan Kleks, który nagle wbiegł na scenę i zawiesił mu na szyi olbrzymich rozmiarów Krzyż Alambajajskiego Współlistnienia. Przerażeni uczniowie Akademii Pana Kleksa na próżno mu pokazywali zza kurtyny, że zapomniał włożyć okulary i że nie w tym momencie wyszedł na scenę. Rycerz Szalawiła złapał się za głowę i jęczał: „Klops, kompletny klops. Nie mamy już po co wychodzić na scenę”. Pan Kleks nie zwracał na nic uwagi, wygłaszał swój monolog w patetycznym uniesieniu: „Ludność Alamakoty zajmuje się hodowlą kur. Co roku wywozimy za granicę pięćdziesiąt milionów jajek, a za uzyskane dewizy sprowadzamy sto tysięcy zegarków, którymi, zgodnie z wiekową tradycją, uderzamy o ziemię. Nie sprzyja to, niestety ich mechanizmom. Dlatego też alamakotnicy cały wolny czas zużywają na rozbieranie zegarków, ale nikt nie potrafi złożyć ich z powrotem. Największą osobliwość naszego Kraju stanowi słynny Rezerwat Zepsutych Zegarków”.

Wreszcie Patentoniusz XXX na czele Patetończyków wynieśli siłą Ambrożego Kleksa ze sceny.

Wypłynął kryształowy kwiat mieniący się wszystkimi kolorami tęczy, w takt łagodnej muzyki rozchylały się jego poczwórne płatki, aż ukazały wnętrze - na puchowych poduszeczkach leżała Calineczka, a nad nią unosił się motyl. Słowik wyśpiewywał ludowe melodie flamandzkie, śpiew jego był tak wzruszający, że dziewczynka z zapalkami rozplakała się cichutko, a królowna przestała narzekać. Tylko czarodziejski imbryk nie okazywał zainteresowania tym, co się dzieje na scenie, buczał pod nosem i co chwilę wypuszczał kłęby pary. Siedząca na jego głowie sowa wierciła się gniewliwie. Wszyscy wiedzieli, że tuż przed spektaklem pokłóciła się z łabędziem, musiał interweniować ołowiany żołnierz. Królowna na ziarnku grochu domagała się, żeby ją służba wniosła w lektyce i żeby słowik wykonał na jej cześć arię, którą lubi. Tylko dziewczynka z zapalkami stała skromnie z boku starając się zakryć fartuszkami połatana sukienkę; jej błękitne oczy wiecznie były smutne, z zachwytem patrzyła na piękne suknie królowny.

Siedzący na widowni pan ukradkiem ocierał łzy wzruszony do głębi widokiem bohaterów. Chciał okazać im swoją miłość i wdzięczność, więc kiedy skończyło się przedstawienie, zaprosił wszystkie kukielki, jakie znajdują się w teatrze, także i te wyrzucone do magazynu, obdarte, z podrapanymi policzkami, zziębnięte, zapomniane od lat i te, które dopiero są na projektach. Ucałował wszystkie serdecznie i opowiedział im

bajkę, którą zamierza napisać. Bajka była długa i wzruszająca. W teatrze zapanowała cisza, tylko księżyc zaglądał ciekawie do wnętrza.

Migotliwy płomyk latarni zaczął się zbliżać. Ołowiany żołnierz zatrzymał się przed zadumany gościem: „Panie Andersen, panie Andersen, na pana czas. Przedstawienie dawno się skończyło... Musimy iść, odprowadzę pana”.

Za wychodzącymi zamykają się ściany teatru. Andersen odwraca się. Ma wrażenie, że w oknach widzi tłum kukiełek i lalek, żegnają go naprawdę czule. Jest wzruszony, ociera łzy. Macha do nich ręką. Jutro znów przyjdzie. Na pewno. Będą rzem wzruszać się dziwnymi i prawdziwymi losami bohaterów baśni, którzy żyją wszędzie, trzeba tylko nisko, niziuteńko pochylić się nad każdym ubogim, cierpiącym, zapłakany, zajrzeć przyjaźnie w twarz polnemu kwiatu, przytulić pluszowego misia do policzka, położyć się do snu z ukochaną lalką, a wtedy, a wtedy na pewno usłyszycie cichuteńki głosik: „Bardzo cię Kocham”.

Trzeba pochylić się tak niziuteńko, jak to robił przez całe życie Hans Christian Andersen.

## **Akt entre quatre**

Amadeo Modigliani długo i dokładnie rozciera ceglisty półton, którym zamierza wypełnić karnację ciała; kiedy gorzka czerwien zmiesza się z winem włoskim, uzyska odcień podobny tokańskim wzgórzom. Właśnie takim rysunkiem Amadeo pragnie związać wszystkie krzywizny i półłuki cudownie nachylonej szyi.

Amadeo wie, co Cezanne mówił o rysunku kolorem, wie, czego od niego domaga się Picasso i Brancusi, i Braque: wolność, absolutna wolność aż po rozpacz samotności, oto przestrzeń ciepła ukryta w kobiecym ciele. Z zaciekawieniem słucha, jak śliczna Polka opowiada mu o swoim mieście rodzinnym. Uśmiecha się do niej nie przestając poszukiwać na obrazie cięciwy, która potrafi delikatnym pomostem przejść od złocistego brązu do obłej różowości biustu.

Słuchając barwnego wspomnienia Polki o bardzo dalekim mieście, gdzieś na wschodzie Europy, mieście, którego nazwę - Lublin z trudem potrafi wymówić, dochodzi do wniosku, że musi ono być całe owinięte w białe płótno. Pachnąć lnem. Otwierać się bielą w błękicie. Biel ukryta za zaułkami ugru. Cegliste zwieńczenia ulic. I powabne szarości. Ach, szkoda, że nigdy nie odwiedził pan mojego miasta, które popołudniową porą całe nakryte jest melancholią - sfumato.

Amadeo patrzy na młodą kobietę: jeśli jej ciało jest dojrzałą pomarańczą nasyconą poranną wilgocią, spojrzenie - lazurowym odbiciem posadzki morza, a dłoń - niedościgłą linią lotu jaskółki, to miasto, z którego pochodzi, może być tylko witrażem zamykającym północną ścianę Europy.

## Widzenie

Pewnego dnia Pan Bóg na majestacie i w glorii chodził po najlichszych uliczkach i wcale nie wstydził się sików i mydlin wylewanych na ulice. Jego bursztynowe oczy widziały naraz wszystkie zdarzenia ukryte wewnątrz strupiesznych domków, jak też w sercach ludzi szukających w chaosie dnia chwili, za którą można się skryć szczelnie: wyjść tajemną furtką w rozległy dziedziniec marmurów i iść szklanymi piętami, zasłuchać się w śpiew kapiący z kryształowych sklepień, a kiedy zawołają, natychmiast wrócić i dalej misternie cyzelować szyld reklamowy.

Tamtego dnia przy ulicy Nowej 23 rezydował mechanik Gurfinkiel, majster od różnych maszyn do reperacji i robót szwejsarskich, a po kryjomu przepowiadacz życia z przerzutu monety potrójnie za siebie lub układu chmur w dzień po szabasie.

Spojrzeli na siebie porozumiewawczo; Jahwe podał klucz, którym Gurfinkiel sprytnie otworzył drzwi i po raz pierwszy w życiu zadziwił się aż do zachwytu widząc strumienie blachogrzmiących płócien zamykające horyzont przepołowiony słońcem amarantowym i słońcem perłowym, i słońcem szmaragdowym, a ponad ich blaskiem blask śnieżnej zasłony utkany z rosy. Pod jej falbaną dawny Lublin skrył się zawstydzony rdzawą pozłotą dachów, wytartą skórą domów, przedmieściami glinianymi, nigdy nie wietrzonymi podwórkami.

Mechanik Gurfinkiel długo spacerował po rajszych ulicach miasta z czułością głaskając znajome kamienie, a kiedy powrócił późnym popołudniem do domu rzekł: „Gdyby wszystkie domy pomalować na perłowo albo w bursztynowy odcień, a ulice wyłożyć dywanem brokatowym, a u powały nocy zawiesić siedem księżyców..” i nagle umilkł zawstydzony swym widzeniem.

Mechanik Gurfinkiel po kilka razy wychodził z warsztatu na podwórze i spoglądał w niebo uśmiechając się tajemniczo do siebie. Tak żona, jak i klienci przyglądali mu się uważnie i doszli do słusznego wniosku, że majster od różnych maszyn do reperacji i robót szwejsarskich Gurfinkiel, ten tego tam, ni mniej ni więcej tylko szwankuje na umyśle. Bo kto by się gapił tak uparcie w czysty błękit nieba, a na dodatek uśmiechał się, a co gorsze - mamrotał do siebie. Niechybnie dostał świra, ale mechanik Gurfinkiel nic sobie nie robił z uwag żony i podchwytliwych pytań coraz rzadszych klientów, on wiedział jedno: był w raj, rozmawiał z samym Jahwe, obaj chodzili wonnymi ulicami miasta pełni zachwytu i uniesienia.

## Przejście

Na straży przejścia z łąki na łąko stał pułk topoli obsypanych puchem i świergotem, ale już za mojego dzieciństwa został tylko wąski szpaler tych drzew, które na tle bladej kurtyny świtu bardziej upodobniły się do dzid wbitych złowieszczą u wezglowia naszych snów, aniżeli do wiotkich płomieni zieleni.

Może i stąd nazwa ulicy - Tatarska, niezauważalnie pełznąca między bodiakami, trzcina, łożą i łopuchem, jak wąż szukający najcieplejszej chwili dnia.

Pod numerem dziewiątym, tuż za młynem Krauzego, pani Gruba rozpięła na krosnach lniany obrus i między zaprzeszłe nici osnowy przetykała refren ostatniej pieśni żołnierzy śpieszących za gorącym śladem wroga. Dla skrzydeł kościuszkowskiego orła zdejmowała biel z welonu jabłoni, a ostrze szponów maczała w płatkach róży; pomiędzy szarość piór wtykała czarne linie - tędy uciekała od kul.

Chciała na swój sposób uczcić pierwszy dzień wolności, stąd w najświętsze płótno, płótno wigilijne, postanowiła wpisać ten moment, kiedy w drzwiach stanął mąż i powiedział uroczyście: „Koniec wojny! Wojny nigdy już nie będzie!” Biegąc z tą błogosławioną nowiną zbierała z przydrożnych krzewów odcień dla głowy orła.

Ostatnia litera słowa: POLSKA - Ania, najmłodsza córka, otwarte usta, na których rozkwitł kwiat śmierci, gwałtownie i zniemacka.

Srebrzysta nić zamykająca kwadrat - biegli wytrwale górą kwadratu aż po ostatni łyk powietrza. Padli w piach i tak spali aż ktoś szepnął: „Jesteśmy wolni”.

Popielata wstęga w szponach orła jest ostatnim zapisem tamtej chwili.

## Brama do Świętego Ducha nachylona smutkiem

Już na drugi dzień po przyjeździe do Lublina pan Wojciech Gerson, wytrawny rysownik i nie mniej zdolny artysta malarz, wybrał się na spacer po mieście celem wyszukania tematu tyleż romantycznego, co i godnego zaspokoić oko twórcy.

Znał to miasto na tyle dobrze, że mógł z góry przypuścić, gdzie warto ustawić sztalugę i rozpocząć rysowanie, wszak już z ostatniego pleneru przywiózł sporo szkiców zrobionych może pośpiesznie, ale wartych dopracowania; niechby się ukazały w albumie, jaki zamierzali wydać, on i Adam Lerue, poświęcając go w całości zabytkom tego miasta.

Najbliżej miał na Stare Miasto, obszedł uliczki zaglądając w długie i wilgotne korytarze, podwórza zapchane mydlinami i piskiem dzieci, dotykał odrapanych kamienic, chcąc się upewnić, czy olbrzymie

liszaje tynku trzymają się mocno - odpadały płatami zmurszałe, zeschłe na próchno. Po nocnym deszczu wszędzie stały kałuże wody.

Dłużej zatrzymał się przy ruinach kościoła świętego Michała, pamiętał jego smukłą i wyniosłą wieżę patrzącą dumnie ponad dachami kamienic - postanowił potem zejść do dominikańskiej nawy i raz jeszcze obejść wokoło zabudowę miasta utrwaloną na płótnie ręką nieznanego malarza. Czuł się, jakby stał przy grobie pozbawionym nagrobka; niechlujstwo i obojętność mieszkańców spowodowały rozpadnięcie się fary - było to według niego barbarzyństwo, o tyle gorzkie, że tam, za Bramą, pyszniły się długie ulice, tutaj czuło się w każdym zaułku śmierć, konanie domów.

Tak wytrawny rysownik, jak Wojciech Gerson, wie dobrze, że chcąc uzyskać efektowny widok, powinien wyjść daleko poza granice miejskie i z tamtej perspektywy spojrzeć uważnie; szczególniejszym ujęciem malarskim cieszyłaby się zapewne panoramo od strony rogatki Piaseckiej: pierwszą linię stanowią sinoszare smukłe topole niczym grenadierzy broniący szańca, szeroką lawą wchodzą w pejzaż, dotykają horyzontu, dopiero spoza ich pleców wyłaniają się budowle srebrzysto -popielate, okryte cegląstą barwą dachów - zagęszczone stado wież, sygnaturek i zwieńczeń dzwonnicy pozwala odczytać ich patronów. Lewobrzeżną flankę zamyka pochyłość muru, prawą - masywny fronton Zamku; całość kompozycji wspaniale rysuje się na tle błękitu, ów błękit, wymieciony ze stada chmur, oczyszczony z podbarwień fioletów, tak klarowny, jak italiański ton tokańskiego przedpołudnia. Można tak długie godziny stać w cieniu brzoź i popatrywać poprzez szeroko rozlaną łąkę zgaszonej zieleni owiniętą leniwie wstążką rzeczki, poprzez kopce sianokosów, zza których wyłaniają się daleko pierwsze zabudowania.

Całość kompozycji da się zamknąć jedną linią falistą skaczącą po wierzchołkach iglastych wież, jakby obudzona fala szykowała się do wtargnięcia w ciszę dookolną; ale nie ona jest tą właściwą osią zabudowy, nie jej efektowny zarys, chybliwy i tak pociągający wzrok, że nic dostrzega się splotu tych krótkich, nagle zerwanych kresek: w nich ukryty jest rytm tego miasta, które z nich warto ożywić, a które schować czy tylko biec za czernią ołówka, czy też ubarwić całość w landschaft romantycznej sielanki.

Pan Wojciech z goryczą konstatuje, że szpetota oblepiła nie tylko uliczki Starego Miasta, ale i wyobraźnię mieszkańców - ani się spostrzegają, jak zmurszeje wszystko, jak zwali się im pod nogi to, co w przeszłości stanowiło chlubę miasta, o tak, zwali się jak runęła fara, obsunął się gzyms attyki w Rynku, odpadła ściana kamienicy, ujawniając przepastne wejście do lochu; wie dobrze, że właściwy rytm życia przeniósł się był poza Bramę Krakowską, ulica przy ulicy gęstym splotem biegną coraz dalej w głąb pól.

Jemu pozostaje rozstawiać sztalugę naprzeciw Starej Wiktorii i skrupulatnie notować wyszczerbione zapadnięcia muru obronnego, zgrużłałe szczątki farne jak mogilne kopce - straszne i obojętne; tylko dom mansjonarski niczym arka kołysze się w samotni, wyniosły ponad ból przemijania, zbyt ciężki na tle pochmurnego nieba i zbyt tajemniczy kratowanymi oknami - pustkowie wnętrza potęguje opuszczenie. Romantyczne wysypisko architektury urąga swą bezradnością i niechlujstwem, ale ileż w nim cudownych półtonów, miękkich plam waloru, ileż dramatycznych spięć belek podpierających mur przeciw pochyłościom dachów - namiotów czerni. Ten zaciszny pejzażyk niejako sam się rysuje. Zapadnięcia dachów i rozerwane poszycie poddasza mają w sobie bezsilność ran, które długo trzeba leczyć.

Ulubionym miejscem jest też patrzenie z dołu na Bramę Świętoduską. Ci, którzy zatrzymują się na moment, aby popatrzeć na artystę, dziwią się, że za temat wybiera zmurszały brzeg muru, który powinien być już dawno zniwelowany, zamiast zachwycać się koronkowym szczytem kościoła karmelitów woli łązić po podwórku klasztorным bernardynek i co rusz podziwiać jakiś detal architektoniczny wynurzony nagle z półmroku: och, ileż tutaj kunsztu, rzemieślniczej uczciwości, jaka pokora.

Rysownik wie, że siła linii i jej walor są ukryte nie w iluzji wzniosłego tematu, ale w analizie szczegółu, dlatego patrząc na wywyższoną wzgórzem sylwetę Zamku, szuka w nim momentu, który już istniał w chwili wznoszenia murów - obły cień zgrubiający plecy donżona i ten sam cień spływający przedłużeniem po nawie kaplicy. Jest też i moment zdenerwowania - rytm okienny, jak szybkie uderzenia werbli, obcy i zbyteczny. I jest coś w dookolnym murze, który tak oschle został wbity w nasyp wzgórza; zapewne dlatego stał się obcy Staremu Miastu. Sztuczny. Zatrważająco nieudolnie wywyższony. Oto dlaczego pan Gerson obchodzi wzgórze wokoło i co chwilę się zatrzymuje, spogląda długo w górę, jakby nic dowierzał swemu przekonaniu, że całe wzgórze zamkowe raz na zawsze zostało najwłaściwiej udramatyzowane w scenie pożaru w malowidle z dominikańskiej nawy. Czyż nie wystarczający powód, aby odstąpić od wykonania bodaj szkicu, który go tak zdenerwował, a jednak, a jednak jutro wróci do tego samego punktu, skąd tak powabnie wychyla się rąbek szczytu kaplicy i będzie mozolnie wykreślał porowatość pogórza oblepioną pnączami zieleni i będzie, już bez obcości, wyszukiwał właściwe proporcje bryły zamku - niezupełnie przekonany do jego ciężaru, ale pojednany z otoczeniem.

Jest wczesna pora po podwieczorku - szafirowy nastrój wypełnia salon, właśnie taki nastrój jest najlepszy do komplementowania teki rysunków pana Wojciecha Gersona. Słucha uważnie jak mili gospodarze wypowiadają swoje zachwyty, ale on ma bardziej krytyczny osąd swoich prac. Już był wcześniej dokonał wyboru rysunków, które chciałby pomieścić w „Tygodniku Ilustrowanym”, a potem może uda im się, wspólnie z Adamem Lerue, wydać album. Nie tyle idzie o sławę u współczesnych, co przechowanie w pamięci tych części miasta, które zostały już dawno wymazane z po-widoków mieszkańców Lublina: im one przeszkadzają, szpecą opinię - czyż godzi się wewnątrz miasta utrzymywać nagrobek dzisiaj, w epoce pary i maszyn, wspaniałej prosperity handlu i przemysłu.

Gdyby w tej chwili zapytano go, jakim widzi ich miasto, odparłby bez namysłu: „Krzewem linii trudnych do rozplatania, chaotycznie biegnących dla wpatrzonych jedynie w oschłość zgrubienia osi, lecz kto umie oddzielić czerń przypadku od istoty czerni, nawet gdyby się zagubił - nie zatraci właściwego spojrzenia”.



## Podwójne odbicie

Spotkali się niepodal mostu kolejowego. Oboje mieli sobie wiele do powiedzenia. Ksiądz kanonik Zalewski trzymał za pazuchą ostatnie fraszki Czechowicza, pani Arnsztajnowa otrzymała list od krewniaczki z Niemiec. Było więc o czym rozmawiać.

W czasie mszy zgasła świeca wotywna, niedobry znak dla literatów, odpukać, ktoś opuści miasto na wieki. Krewniaczka pisze, że brunatna zaraza coraz bardziej zżera sumienia Niemców, oby tylko nie rozlała się po całej Europie.

Sutannik recytuje z pamięci: Tu ne quaeieris, scire nefas, quem mihi, quem tibi finem di dederint... Dum loquimur, fugerit invida aetas: carpe diem quam minimum credula postero.

Poetessa z dojrzałego kłosa żyta wróży przyszłość swego pokolenia. Z wysokości późniwnego obłoku uważnie spoglądają na miasto, widzą, ile zbytecznego czasu marnuje się głupio, jak niecierpliwie dłonie zgarniają w kieszenie srebrne monety, uwieszony linii telegraficznej podsłuchuje rozmowy wojskowe, maturzysta pisze podanie w sprawie aresztowanego ojca.

Ostatni dzień sierpnia 1939 roku jest ciepły i usypiający.

## Magid zwany Widzącym Promieniście

Ja nic nie mam przeciwko rabbiemu Mosze z Kozienic, niech Pan go zachowa w zdrowiu aż po ostatnią jego chwilę, ani też przeciwko rabbiemu Szlomo Lejb z Łęcznej, o którym tyle mówi się u was, bo gdybym coś miał wobec nich, byłbym jak ten pies parszywy, co szczeka na każdego i łąsi się do każdego, kto mu rzuci kawałek chleba. Ja tylko chce powiedzieć, że rabbi Mosze z Kozienic i rabbi Szlomo Lejb z Łęcznej są pobożni i sprawiedliwi, nikt im niczego nie ujmuje, bo pierwszy jest synem Magida kozienickiego, a drugi nim został rabbim, uczył się u Jehuda Cwi ze Stratyna; obaj oni ani się mogą równać w mądrości z cadykiem lubelskim, bo czyż gwiazdy dosięgną blasku słońca, nigdy Są ich miliony, a słońce tylko jedno, powolne i ogromne. Przechodzi przez dzień cały i nic z niego nie ubywa. Jednak grzeje dobrych i złych. Ani się gniewa, ani sprzeciwia.

Gdy rabbi Jakub Ichcak idzie do bóżnicy Maharszala, idzie za nim tłum krawców, grabarzy, kapeluszników, kuśnierzy, idą też i ci, co żyją w komórkach skleconych byle jak na zapleczu ulicy Szerokiej, idzie i woźnica Aron, którego ślepy koń wpadł do głębokiej studni i pozbawił go zarobku, idzie też fiśnięty przybłąda Szmul, o którym nikt nie wie, skąd pochodzi i co do tej pory robił, na końcu wlecze się Noach

przezywany „Taczka”, bo pcha przed sobą brzuch pełen wody, ostatni jest pachciarz - chociaż ubrany w strój szabasowy, zalatuje naftą i szczynami, jakby wyszedł spod Mostu Zasranego.

Rabbi Jakub Ichcak długo wpatruje się w małą karteczkę, na której jest wypisane tylko imię - Jehoszua. Ten chłopiec jest tak roztargniony, że zapomniał dodać swoje nazwisko, ale z samego tylko imienia można wyczytać całą jego wielkość, za którą stoi sam Bóg, ale on uznał w swej prostocie, że Bóg i tak zna jego czyny i będzie wiedział, że Jehoszua ciężko pracuje nosząc wodę po domach, biega na targ pomagać zdejmować worki z załadowanych wozów, a kiedy wszyscy odejdą, zabiera się do zamiatania placu targowego. Ile jest warta jego praca, ile on sam jest wart? Tyle, co śmieć. Ale z tego imienia Jehoszua bije blask mocniejszy niż blask najdroższego diamentu. Bóg wie, że Jehoszua wszystko czyni w pokorze i z łagodnym uśmiechem, i Bóg łaskawie nań spogląda, i ma dla niego specjalny uśmiech, i wyjdzie mu naprzeciw. To nic, że Jehoszua ledwie umie się podpisać i z trudem składa litery. Miłosierdzie przewyższa mądrość, a nad nią jest pokora.

Spytajcie rabiego Bera z Radoszyc, który był uczniem lubelskiego cadyka, a on potwierdzi moje słowa, że kiedy rabbi Jakub Ichcak odmawia modlitwę Błogosławieństwa Księżyca jego stopy są ponad posadzką, a cała moc luny spoczywa na jego twarzy. Ci, co wtedy znajdują się w pobliżu, mdleją w słabości, a rabbi pełen uwielbienia wygląda na pielgrzyma z nieba, podśpiewuje i tańczy z chustą modlitewną w rękach. Kto jest tak blisko prawdy, nie musi kryć twarzy, ani wstydzić się swych uczynków. Wszystko zostało odmierzone i rozpoznane. Nawet zażywanie tabaki podczas modłów jest miłe Panu, gdy czyni to człowiek sprawiedliwy, bo słabość jego jest mocą Pana.

Potwierdzi wam to również Menachem Cwi z Bełżyc i na pewno doda słynną historię z pewnym wędrownym kaznodzieją, i nie omieszka przytoczyć, jak sam radził się lubelskiego cadyka w swoich sprawach, chociaż miał już przydomek cadyk.

W tym uniesieniu rabbi Jakub Ichcak był więcej niż pewien, że oto nadszedł wielki moment dla chasydów, nareszcie dokona się Boża szechina i nie gdzie indziej to nastąpi, jak właśnie w Lublinie: będą szli krawcy, kuśnierze, kapelusznicy, złodzieje, nosiwody, oczajdusze, wdowy, panny, starcy okryci w tałesy z dwunastoma frędzlami, a w tym tłumie bidzie szedł i rabbi Jakub Ichcak z wysoko uniesionymi rękoma, jak król Dawid i będą szli aleją Majdanka w otoczeniu Himmelkormnando ponaglani coraz szybszą muzyką marsza żałobnego. I ten jeden jedyny raz rabbi Jakub Ichcak, wielki Mag z Lublina, stojąc samotrzeć na progu bożnicy Maharszal nie umiał inaczej odczytać spopielaiej wizji, jak wezwania do czynienia dobra za wszelką cenę. Pełen zawstydzienia powtarzał biegnąc placem Krawieckim: „Nie mogą więc się nawrócić, nie mogą więc się nawrócić” i uderzył w gorzki płacz przed aniołem, który mu zawsze towarzyszył.

Nie to jest ważne, że wielki Magid z Lublina widział rzeczy ukryte przed naszymi spojrzeniami tak daleko w głąb czasu, że dopiero Martin Buber śledzący z napięciem chasydów i teolog żydowski Franz Rosenzweigen będą mogli poświadczyć, że nie było wśród cadyków równego rabbiemu Jakubowi Ichcakowi: ani Baal - szem - to w, ani Dow Ber z Międzyrzecza zwany Wielkim Magidem, ani Magid złoczowski, ani syn Izraela z Kobrynia rabbi Mordechaj meszulam. Chcę powiedzieć tylko tyle, wybaczcie, jeśli moje porównanie obrazi wasze uszy, koguta nie da się przemienić w orła.

Wasi ucza, jak rozumieć Pismo, a nasz rabbi poucza, jak należy postępować, aby Pismo zachować. Bierze w usta źdźbło trawy i trzyma je podczas minchy, abyśmy sami się domyślili, że każdy z nas jest łodygą przydatną tak długo jak długo Bóg opiekuje się nami: wyrzuceni stajemy się słomą. Nie mówi: „Nigdy nie przestajesz grzeszyć” i nie wylicza twoich myśli skrytych, obłudnych słów godnych pachciarza, kłamliwych cen, nie wywleka nieczystości, tylko uporczywie patrzy w twoją twarz, jakby szukał w niej zagubionej linii nadziei - to samo mówi rawowi z Kosowa i pachciarzowi śmierdzącemu naftą i szczynami: „Idź w pokoju”.

I to jeszcze muszę dopowiedzieć, że jeśli nasz cadyk nic nie mówi, to my i tak wiemy, że każdy jego krok i każdy gest ręki oznaczają wielkie rzeczy, i wielkie rzeczy sprawiają. Bez niego każdy dzień odziany byłby w gruby płaszcz pustki i niewiary. Patrzymy na niego i wiemy, że Bóg jest wśród nas, przez niego my sami zostajemy uświęceni, a czyny nasze mniej ciężą do złego.

Miał Izrael proroków tak potężnych, że słusznie na nich oparł swe królestwo Jahwe.

Ma naród żydowski wielkich cadyków, których sława przerasta po stokroć największe czyny bohaterów i słusznie my się nimi chlubimy; pośród wszystkich cadyków rabbi Jakub Icchak z Lublina jest pokornym sługą ich mądrości i pobożności. I dlatego jest przed nimi wszystkimi. I dlatego Pan pozwolił mu spoglądać poza horyzont czasu.

Gdy to wam mówię, nasz rabbi Jakub Icchak, wielki magid, popadł w zachwycenie aż do dziesiątego nieba i tak trwa w tym świętym uniesieniu przez cały zmierzch, możecie pójść i zobaczyć go w swoim domu, jak stoi wywyższony ponad wszystko, a czubki butów nawet kurzu podłogi nie dotykają, rabinita przechodzi obok, a on jej nie dostrzega i was nie spostrzeże, niechybnie jest między aniołami i ogląda Nic i tylko Nic.

I to tylko chciałem wam powiedzieć mężowie czcigodni.

A teraz powstańmy i niech usta nasze rozweseli Pieśń nad Pieśniami.

## **Skrzydłem Ikara dotknąć ciszę**

Płynął bezszelestnie nad łąką rozlaną szeroko jak miękki dywan, którego dolna krawędź jak wielobarwna zapaska odgradzała zieleń od chłodu lasu. Z gąszcza ogrodów wyskakiwały czerwone dachy domków, dopiero w głębi rozpoczynało się miasto.

Wystarczyło zrobić lekki manewr sterem, a maszyna posłusznie położy się w prawy skręt: błysnie czasza błękitu rozgrzana słonecznym śpiewem, mignie zagubiona chmurka i już wszystko jest w układzie horyzontalnym - miasto otwarte w przelocie. Rozbarwione. Zgeometryzowane. Popstrzone ludzikami.

Między błękitem a zielenią jest ocean ciszy. Długa chwila kontemplacji. Przestrzeń modlitwy. Chętnie do niej uciekał, oczekiwał tych momentów. Właśnie tak zawieszony wraz z samolotem w powietrzu przeżywał podniosły nastrój i wracał myślami do minionego życia. Z natłoku obrazów wynurza się dom

rodzinny stojący nieopodal mostu na Bystrzycy: jest pora obiadu, matka nakrywa do stołu, jedzą bez ojca, który ostatnio późno wraca z pracy - przepracowanie coraz głębszymi bruzdami wrzyna się w jego twarz. Ruchy ma powolniejsze. Cały jest zmęczony. To bolesne zmęczenie ojca martwi go bardziej niż ubóstwo ich rodziny. I tak ostro wbiło się w jego pamięć, że ilekroć wspomina Lublin, zawsze pojawia się przed nim postać ojca ciężko opadającego na stołek przy oknie w kuchni.

Ziściło się harcerskie marzenie, które zauroczyło go na parę lat, by odbyć lot na latawcu, jakim szczylicili się tybetańscy lamowie. Przyglądał się ptakom, konstrukcja ich skrzydeł wzbudzała jego podziw, fascynował go moment rozpostarcia lotek, pod szkłem powiększającym wielokrotnie obserwował ważki. Pamiętał tajemnicze lotnie tybetańskich łamów, rysunki Leonarda da Vinci, widział lotność ptaków i cudowną lekkość skrzydeł ważki. Móc to razem połączyć. Móc w to wpisać człowieka. Dać mu skrzydła: niewidzialne! Wznieść się ponad wyobraźnię.

Zapomniał czegoś zanotować w swoim prywatnym harmonogramie - postawić krzyżyk w ostatniej rubryce: marzenie. Miał tam także inną tabelkę, dzięki niej budował swój dzień z konkretów: gimnastyka, dobry uczynek, modlitwa i wyteżona praca. W pamięci tkwił obraz ubóstwa rodziny, marzeniem było skonstruowanie samolotu, który zadziwi wszystkich. Musi wyprzedzić własną wyobraźnię, nie bać się żadnego pomysłu, bo sama natura śmiało postępuje ciągle zaskakuje bogactwem rozwiązań technicznych i finezją kształtów.

Błękit był obok niego, błękit był w nim. Czarująco lekki, powabnie bezszelestny. Kusił i ponaglał. Za jego bezwietrznym przepierzeniem były przestrzenie, które czekają na odważnych, a on jest taki, potrafi wyobrazić sobie, że przelatuje przez białe nawy ciszy i potrafi to pragnienie przełożyć na język techniki. Zrezygnował z miłości. Narzucił sobie benedyktyński tryb pracy. Unoszący się na rycinie Ikar o archanielskich skrzydłach, zawieszony w kosmicznej ciszy, przypominał mu dziecienny sen, który pozostał w nim trwalszy niż wszystkie lekcje szkolne: „Muszę się tam dostać. Dotknąć ściany ciszy. Spojrzeć w głąb jasności i spojrzeć w dół.”

Dlaczego go wołają? Co się stało? Dokąd ma iść, dokąd? O co chodzi? Tak. Zygmunt Puławski to on. Czy on wykonał ten rysunek? Ach, więc o to idzie. Oczywiście, że pamięta, to taki niewinny żart, chciał plastycznie przedstawić ideę polskiego płata we własnej postaci. Jak to? Nigdy już nie zasiądzie za sterami, nie będzie mógł wykonać pętli, beczki, ślizgiem spłynąć po skrzydle w dół. Jest inżynierem i zawsze sam oblatywał swoje maszyny. Teraz też wyleciał na amfibii z mokotowskiego lotniska i skrył się w chmury popołudniowej soboty. Kusiło go, aby wzbić się ponad szarość, przeciąć lazur milczenia i bodaj na moment wskoczyć w mgłę jasności.

Olbrzymia rozpląszczona litera M falując wygina się w kształt płatu i przenika go gorącem. Czerwony błysk rozrasta się gwałtownie. Wie jedno, trzeba samolot wyprowadzić z przechyłu, bo wpadnie w korkociąg. A ziemia jest tak blisko. Czuje jej oddech.

Rozchylająca się szarość jest wnętrzem ulicy i jest zarazem skrzydłem lecącym gwałtownie w jego ciało.

O takim kształcie skrzydła marzył.

Przestrzennym.

Lotnym.

Przewiewnym.

## **Refleksja zminiaturyzowana**

Może trzeba o wszystkim zapomnieć - wejść odważnie w krwioobieg miasta i żyć rytmem powtarzającym się wielopłaszczyznowo:

Odnajdywać ślad idących gotyckimi sieniami w głąb wieczornych pacierzy i tych, co nieśli po kryjomu hasła rewolucji, by o świcie wybuchły okrzykiem nadziei.

Trzeba nam odważnej pamięci dla jutrzejszych zdarzeń. Pokory wobec wczorajszej pieśni.

## **Płaszcz nieśmiertelności z odłamków podano**

Nadchodzili od strony szosy warszawskiej. Od kilku dni coraz liczniejsze gromady ludzi wędrowały na wschód - poprzedzała ich fala suchego powietrza, za nimi szedł głuchy pomruk niemieckiej żądy: Drang nach Osten,

Którzy w ostatniej chwili wybiegli z domostw, omijając szczęśliwie zdradzieckie kule, najdłużej opowiadali o wojnie, nieśli w dłoniach lęk, usta pełne litanii, przez welon ognia patrzyli na każdy dom.

Otoczony smugą cienia szedł Józef Czechowicz. Na równi z innymi dźwigał gorycz porażki. Wróżył z każdego słowa, uśmiechu, przelotu jaskółki nadchodzący czas rozpacz. Dla niego nadszedł czas powrotu do ojczyzny - miasta pachnącego białym płótnem. Nagle zapragnął klęknąć u wezłowania zaułka i trwać w ciszy klasztornej. Dotknąć wilgotnej stopy ogrodu, zajrzeć w brązowe powieki smolinosów, pochylić się nad krzewem jałowca: „Widzicie, jestem. Wróciłem do was... Tęskniłem za wami. Codziennie szykowałem się do powrotu. Jestem...”

Pod wieczór wybrał się w odwiedziny do przyjaciół, a nocą tłumaczył wiersz Eliota „Ziemia jałowa”. Zatrzymał się na zdaniu:

I think we are in rats, alley,

Where the dead men lost their bones.

Obudził się nagle. Miał wrażenie, jakby w ogóle nie spał, nie odczuwał ciężaru ciała. Jest sobie obcy. Inny. Spokój w nim zapanował niepodzielnie. Nagle zrozumiał, że wszystko, co do tej pory napisał, można zamknąć w jednym spojrzeniu - miłosnym patrzeniu na budzący się z nocy ogród.

Postanowił pójść do fryzjera, a potem wróci i zje śniadanie, i dopiero wtedy w uroczystym nastroju zasiądzie do stołu poetyckiego, aby dokończyć tłumaczenia.

Wychodząc spojrzął na niedokończony werset:

Unreal City

Under the brown fog of a winter noon

Miasto nierzeczywiste

Pod mgłą brunatną zimowego zmierzchu

Idąc ulicami widział gwałtowne poruszenie wśród ludzi. Kupił gazetę, złożył ją i schował do kieszeni marynarki. Ktoś powiedział, że wojska niemieckie minęły już Puławy, porucznik artylerii twierdził, że po południu zbliżą się do Lublina, inne wojska podobno zajęły Zamojszczyznę - nie ma możliwości ucieczki... Ucieczki? Dokąd można uciec?

Przed czym uciekam? Powołaniem poety jest szukanie trwałego dźwięku, przed którym spiżowe tony dzwonów klękają w pokorze, a kule... kule przechodzą mimo - zostają rdzą na murze, Oczekiwanie w kolejce jest dogodnym momentem na skończenie metafory:

Well now that's done: and I'm glad it's over

Nagle salon fryzjerski wypełnił się wybuchem światła. Opasał go szczelnie, rozsadzał od wewnątrz.

Poeta poddał się niewidzialnej sile.

Z całym zaufaniem pozwolił się ubrać w krwisty płaszcz odłamków.

### **...i słowa i melodia zapachniały lasem**

Ulica jest zakryta cieniem, jakby klonowy liść chciał ją zasłonić przed złowrogim spojrzeniem okupanta, dla którego każdy przechodzień, to na pewno agent zbrojnego podziemia, a domy to twierdze.

I tu docierają szepty, którymi dzieli się miasto w największej tajemnicy, razem z chlebem kartkowym przynosi się ze śródmieścia najnowsze wiadomości: Majdanek wciąż pochłania nowe ofiary, w grypsie przemyconym z katowni gestapo „Pod Zegarem” donoszą, że Klon nie przeżył przesłuchania, na Zamku ludzie są trzymeni w potwornych warunkach, a wczoraj zastawiono kocioł na ulicy Spokojnej, wpadło dwoje ludzi, jakaś kobieta i harcerz. Kiedy się wraca z takimi wiadomościami ulica nakrywa się żałobą, a pożłota drzew jesiennych nagle pochmurnieje, nawet smukłe malwy strzegące wejścia na podwórze pochylają się nisko w smutku. Gorzkie łzy powinny płynąć po twarzach, ale one już dawno spłynęły, została tylko pamięć. Bolesna. Rozstrzelana. Niema...Pamiętać: każdą chwilę dnia, wszystkie słowa zasłyszane, apokryficzne przepowiednie, psalmy nagle wydobyte z przeszłości, wróżby z kabały i najpewniejsze komunikaty - Ruski biją szkopów.

Może właśnie dlatego, że w tej ulicy jest tyle odcieni srebrzystej szarości, inaczej lśniącej w porannej rosie, gdy z dachów sfruwa chmara gołębi, i w innej tonacji zmierzchem - może właśnie dlatego śpieszący do domu Staś Magierski zatrzymuje się nagle, bo usłyszał melodię. Zdumiony i zachwycony powtarza pierwsze takty, chcąc je utrwalić w pamięci. To jest właśnie ta melodia, której poszukiwał od tylu dni

Była w nim od wielu miesięcy ukryta pod ciężką powłoką okupacji. Nagle wybuchła jak granat. Zakołysała się wierzwą. Zaszumiała lasem.

## Apocalipsis cumfiguris

Wysłani na zwiad dwaj chłopcy, kryjąc się wzdłuż murów, podeszli do uchylonej bramy i zajrzeli na podwórze, któryś rzucił kamieniem w beczkę - rozległ się głuchy pogłos; chłopcy uważnie obserwowali drzwi i okna, ale nikt nie wyrzął. Zbiegli, już od ważniejsi, po zboczu wzgórze. Dopiero wtedy poszły kobiety otulone lękiem i niepewnością. One pierwsze weszły na teren Zamku po ucieczce załogi. Stały chwilę niezdecydowane przed ciężką i brudną bramą, gotowe każdej chwili uciec w popłochu. Gruby cień wnęki przysłaniał wejście na dziedziniec. Korytarz czerni otwierał się groźnie. Trwoga czaiła się w każdym załamaniu muru. Pachniało śmiercią. Przeżegnały się. Weszły w czerń korytarza, miały wrażenie, że wchodzi w głąb mogiły. Powtarzały w myślach wezwania strzeliste i tak szły przytulone do siebie, jakby potrójny cień przesuwiał się w mroku. Omijając poprzewracane skrzynki, stopy papierów, puste beczki, pogubione naboje, butelki, ubrania zwalone w bezładny stos, stanęły na progu dziedzińca oślepione reflektorem słońca. Nie wiedziały, czy paść na kolana, rozpocząć psalm żałobny, czy pobiec w stronę miasta z krzykiem rozpacz. Stały skamieniałe. Zmiażdżone bólem.

Ciała pomordowanych leżały w różnych pozycjach: duża bezzębna twarz patrzyła boleśnie w otwór nieba chcąc wchłonąć w siebie nieskazitelną czystość błękitu, tamci próbowali ucieczki - zatrzymani w krótkim biegu padli z wyciągniętymi rękami, jakby chcieli uchronić ciało przed zderzeniem z murem. Pośrodku kałuży krwi leżał nagi partyzant, widać było wszystkie rany na jego plecach: trzynaście otworów obramowanych zakrzepłymi otoczkami. Kobieta z szeroko rozrzuconymi nogami, bez jednego trzewika i bez twarzy, sparła się o czyjeś plecy i w tym przechyle zastygła tak odrażająco głupio, a zarazem rozpaczliwie: „Przecież ona jest w ciąży. Boże!”

Czy będą mogły zapamiętać wszystkie linie leżących ciał, ich gwałtowne pęknięcia, gdy zbiegały się ręce bezradnie rozwarłe, gdy twarz padała z łoskotem na bruk, i te ciała leżące pod spodem. Ile można zapamiętać? Jaki ciężar bólu można wchłonąć?

Nadeszli inni mieszkańcy Lublina. Wchodzili na Zamek, jak się wchodzi do kaplicy cmentarnej - ostrożnie, z przejęciem. Wielu z nich zdążyło już być „Pod Zegarem”, inni najpierw poszli na Majdanek, a dopiero stamtąd wyruszyli na Zamek dowiedziawszy się, że odkryto tu wiele ciał.

Teraz chodzą i zaglądną leżącym w twarz. Ostrożnie odczytują z zastygłych rysów twarze bliskich i znajomych, przerażający to moment. Przenoszą zwłoki w cień i nakrywają płótnem - to ciało już nie jest

bezimienne, już zostało rozpoznane. I tak leżą rzędem pod arkadami. Przy każdym ktoś bliski: ojciec, matka, brat, żona, dzieci. Stoją bezradni. Przeżywają swoją Golgotę.

Trzeba sprawdzić lochy, zejść do najniższych cel. Zajrzeć do tyłu nieznanym wnętrzem i dopiero wtedy policzyć ciała. Przy ilu da się zapisać imię i nazwisko? Przy każdym można zapisać dokładną datę śmierci - przedpołudnie w dniu wyzwolenia Lublina,

Ci, którzy nie znaleźli swoich bliskich, biegną w stronę miasta „Pod Zegar” i na Majdanek, wyprzedzani przez ból i niepokój, i wąski promyk nadziei, a przed nimi podąża Anioł Czerni. Każdego odprowadza pod siedzibę gestapo, słucha, co mówią, idzie z nimi do piwnic, odczytuje ze ścian daty, i nazwiska, i sentencje. Wszystko to wpisuje w Boży kajet.

Anioł Krwi pozostał na Zamku. Teraz chodzi po dziedzińcu, po lochach, pokojach i uważnie notuje wszystkie oskarżenia, każdą łzę obrysowuje czerwoną wstęgą, przy każdej ranie stawia krzyżyk czerwony, niemy krzyk rozpaczony wpisuje w odpowiednią rubrykę.

Jego kajet nasiąkł ciężko krwią: straszna to będzie chwila, gdy otworzy jego stronicę i będzie świadczyć przeciw zbrodniarzom.

Anioł Dymu chodzi po Majdanku. Tylko on jeden zna ostateczną liczbę zabitych. Chodzi i pieczętuje każdą parę butów, wszystkie zabawki, okulary, wybite zęby. Z rozległych łąg zbiera szepty więźniów, z popielnika pieców krematoryjnych przywołuje imiona spalonych, z drutów kolczatych zdejmuje niewidzialne ciała samobójców.

Biada! Po trzykroć biada mordercom.

Biada!

## **Kula dum-dum**

Stając w miejscu, gdzie cień ma najkrótszy odcinek, stoisz pośrodku mojej ojczyzny. W najlżejszym poszumie wiatru słyszysz fale stepowe, jak monotonicznie przelewają się kołysząc wciąż tę samą melodię; inni słyszysz klasztorną modlitwę i suchy trzask dzwonów drewnianych. Trawa dla nas ma smak gorzkiej machorki, kwiat - spieczonych ust dziewczyny. Z gwiazd układamy wzór, którym kiedyś dobry Bóg obrębi obrus nocy i wplecie w osnowy brzeg pieśń stepową.

A teraz stań pod Kremlem. Taka jest skala czerwieni: strumień krwi i trwałość architektury. Kazański sobór wiecznie jest młody, pod wszystkimi przeszłymi aż huczy od modlitw nagromadzonych przez wieki i pieśni kobiet wciśniętych między załomy cegieł, a jeśli staniesz przed ikoną - staniesz twarzą na wprost luf, rozstrzelano ich krótką serią. Sam Nierukotworiteliyny zamykał im czarne powieki, otwierał bramę zmartwychwstania.

To jest moja ścieżka. Krzywa, jak linia mego życia. Blisko muru. Blisko zieleni. Jaśmin rósł razem ze mną. Po raz pierwszy zerwałem gałązkę jaśminu na pożegnanie. Trzy płatki włożyłem do kieszeni rubaszki,



resztę matka pewnie ustawi we flakonie na stole kuchennym. Taki krótki zapis dzieciństwa i progu młodości. Wydawało mi się, że na ukos szybciej. Przeskoczyłem ostatnią klasę, minąłem pierwszą miłość, wbiegłem z indeksem do auli... Ciągle mi się śniła brama: podchodzę do bocznych drzwi, otwieram, gęste zasłony bieli falują przezroczyście, a ja w ich tłumie brnę na ukos popychany gniewem; blachogrzmiące fiolety zasłaniają podwórze nierównością - trzeba się czołgać twarzą przy samej ziemi, aż słysząc krótki oddech zmęczonych płuc, po drugiej stronie bramy siostry śpiewają psalm stepowy, śpiewa się go późnym wieczorem, nigdy porankiem. Śpiewają go razem 2 matką. Nawet piętnastoletni Kola im pomaga, czyżby nagle nabrał szacunku dla muzyki? Ale dlaczego u licha nikt nie wyjdzie na moje spotkanie. Nie słyszę własnego pukania do drzwi. Mam tak mało czasu. Zaraz będzie pobudka. Starszyna skinie mnie, że się spóźniam na zbiórkę. I lej tam, mamó, Tania, Kola... Kola!

Wbiegliśmy do miasta pod chmurą pocisków. Odbijając się od ścian, przeskakując nieznaną podwórką, zaglądając na moment do korytarzy pchaliśmy się naprzód, na skróty. Ciągle w ataku, próbowałem uchwycić proporcje miasta. Kazań - w zieleni granit popielaty obrysowany czerwoną krechą, Lublin - popielaty swąd nisko wiszący i trwożne ostrza wież zastygłe w przerażeniu. Gdzie jest granica ulicy pełznącej ocieżale pod górę? Czy za krawędzią dymu kryje się inna ulica, czy już rozpoczyna się przedmieście? Może Lublin, to jedno wielkie przedmieście poprzetykane kępami drzew, nigdy nie zbudzone z wiejskiego snu?

Człowiek stojący za filarem południa powiedział, że po drugiej stronie placu jest stanowisko ckm nieprzyjaciela, a ruiny, w których się ukryłem, to tylna część hotelu „Europa” i kina „Corso”. Mnie te nazwy nic nie mówiły.

Na znak starszyny wyskoczyliśmy z ukrycia. Poczulem ostry, gwałtowny ból w piersi, nie mogłem złapać tchu. Zarzuciło mną gwałtownie. Upadłem. Nade mną wybuchła czerwień. Wszystko w niej skąpane. Nagle. Wściekle. Nadpłynęła fala smutku: czas odejść.

Dwadzieścia lat, raptem mam tylko dwadzieścia lat, więc jak tu odejść, tyle jeszcze mam do przeżycia. Muszę zaliczyć egzamin z elektrotechniki, wykulem wszystkie wzory na medal... Medal. Racja i on jest czerwony.

Krew. Dokąd teraz pójde? Pewnie prosto do domu, bo gdzie indziej mogę pójść, tylko do domu. Ostatecznie stąd nie jest daleko, na skróty pójde przez zielen łąk pachnących sianokosami, przez zagajniki brzozowych wieczorów, aż ujrzę ojczystą ścieżkę.

O tej porze matka zawsze spogląda w okno, a nuż ktoś znajomy przywiezie list od syna, a tu ja sam idę w glorii czerwieni.

Czy ktoś z mieszkańców tego miasta kiedyś stanie na brzegu mojej ojczyzny i zaśłucha się w stepowy poszum trawy, a potem zerwie garść kwiatów i położy obok mojej twarzy: Ojczyzna cię pozdrawia.

## Dzień wolnością uderzony

Wzdłuż całej ulicy, po obu stronach, stali ludzie. Zbiegli tu z wszystkich stron miasta. Czekali na ten moment przez długie lata okupacji, nigdy nie zwątpili, że ten dzień nadejdzie. Stali tak ciasno obok siebie, w tak podniosłym nastroju i pełni przejęcia, jakby oczekiwali nadejścia procesji. Zmęczone twarze. Przycichłe rozmowy. Tylko oczy czujne, dostrzegające każdy ruch, każdy szczegół w mundurach maszerujących żołnierzy. A najpierw spoglądano na rogatywki: Orzełek! Jest orzełek! I salutują do daszka, jak dawniej. Idą jak nasi -trójkami. Broń sowiecka. To nic, grunt, że to nasi.

Za plecami młodej dziewczyny szarpiącej nerwowo warkocz mężczyźni analizują ostatni meldunek z frontu, jeśli w takim tempie front będzie się posuwał na zachód, Warszawa może być wyzwolona jeszcze w lipcu: „Panie, nie wiem, czy Napoleon nie zwiewał szybciej do siebie, cha, cha. Walą Ruski szkopów w kuper, że aż hej!”

Zdziwienie budzą rozbite czołgi stojące na poboczu placu i samochody zmiżdżone pociskami. I tyle wokół ciężkich ran zadanych budynkom. Na czołgu, którego lufa mierzy w potężną pionową wyrwę w hotelu, stoją dzieci, machają energicznie rękami, wołają do maszerujących, na długim patyku powiewa chorągiewka. Z przejeżdżającej kolumny samochodów dostrzegają ten znak, bo twarze żołnierzy zwracają się w ich stronę, a oficer salutuje.

Maszerują w radosnym szpalerze pozdrawiających rąk. Nareszcie odczuli smak ojczystego powitania. Gdy po południu wyjdą aby przejść się Krakowskim Przedmieściem, będą musieli wiele razy powtarzać swoje życiorysy, odpinać bluzy, aby wydobyć medalik, pokazywać orzełka na rogatywce, najtrudniej jest odpowiedzieć na pytanie, jaką ma być ta nowa Polska?

Ich ogromny wysiłek żołnierski nagle zmalął. Zmęczenie nakryło się bukietem kwiatów rzuconych w ich stronę. Pieśń, która ich wyprzedzała i bębniącym echem przebiegła ulice, powtórzona raz jeszcze wyciska łzy u kobiet. Z za jakich gór i z za ilu rzek idą ci żołnierze. Skąd w nich taka pewność? A wiecie, ile myśmy wycierpieli pod Niemcem? Idźcie na Majdanek - jeszcze czuć swąd spalonych ciał. łapanki. Rozstrzeliwania. Nędza, żaloba i łzy.

Czarna kobieta poprzez szparę w tłumie spogląda na żołnierzy. Nie ma odwagi zdobyć się na radosny nastrój. Ma pustą twarz. Twardą z bólu. Oparta o laskę z przejęciem kiwa głową: „Doczekałam jednak tej chwili. Skoro Lublin jest wolny, to i cała Polska będzie wolna!”

Idący w pierwszej trójce niosący lkm żołnierz przyjaźnie macha ręką. Cieszy się z całego serca, aż łzy wypełniają powieki. Objechał szmat świata i nie ma dokąd powracać, już wie, że jego rodziną wieś Niemcy puścili z dymem, został sam. Przebolał swój los.

Ci, co maszerują za nim, niosą swoje długie opowieści, ich łzy dawno wyschły, pozostały tylko pieśni obandażowane, szumiące wspomnieniem, gorzkie i gniewne. Do tego dnia będą zawsze powracać - byli zwiastunami nadziei.

Nam też nie było lekko, oj, nie było. Tyle samo lat poniewierki. Głód wszędzie jest jednak, sroższy na Syberii, bo znikąd żadnej nadziei. I tak daleko od Polski, że pewnie bliżej do nieba. A ilu zostało tam na wieki wieków. Ilu przepadło po drodze, gdyśmy zdążali do wojska, nikt nie przeliczy.

Młody podporucznik stoi przed gruzami uliczki Starego Miasta. Dopiero teraz mógł tutaj przyjść. Plan śródmieścia znał na pamięć, matka rysowała go tyle razy, że mógłby i nocą trafić. Teraz jest zdezorientowany, uliczka zasypana gruzami. Czy wujostwo ocaleli, gdzie ich szukać? Powtarzane od wielu dni powitanie, trzask obcasów, salutowanie, opowieść o życiu na zesłaniu, śmierci ojca przy wyrębie syberyjskiego lasu i długiej tułaczce - zwały się w popiół. Pozostała myśl: „Co ja teraz powiem mamie?”

Ucichły kroki żołnierzy. Kolumny aut przetoczyły się w stronę Warszawy. Chwila powitania jest krótka, ale na zdjęciach przedłużona będzie o inne radosne momenty: porucznik kroczący na czele oddziału unosi w górę chłopca, dziewczyna wychylona z tłumy, jej biała sukienka lekko faluje, oczy wypełnione zachwytem; trzech koledzy uważnie wpatrują się w przejeżdżające auto z armatą - obliczają potęgę armii sowieckiej.

Album zdjęć wypełnia tamte dni zapomnianymi szczegółami.

## **Homagium świętym męczennikom Zamku**

W jaką czerń rozpaczy zanurzyć się do syta, by nie słyszeć płaczu? Za jaką bramą samotności stanąć, skoro jest się nadał żywym? Komu powierzyć jęk żałobny - wszyscy w popiele klęczą.

Oto chwila gorzkiej zadumy. Homagium miasta nad ciałami pomordowanymi - nie wiadomo, co jest bardziej trwożne: ich ciała drapieżnie leżące w poniewierce, czy nasz sen o strasznej nocy okupacji.

Święta chwilo, tę skrwawioną miniaturę należy pomieścić pośród największych momentów grozy Narodu, pośrodku Sacra Conversatione, a w bocznych niszach ustawić partyzantów - wolne ptaki z lasów janowskich i Porytowego Wzgórza i tych, którzy w najniższych pokładach zamkowych piwnic czekali godziny śmierci.

Przed spleśniałą ścianą jednej z cel baszty zamkowej klęczeliśmy 24 lipca 1944 roku adorując przenaświętą całun zapisany nazwiskami i datami. Spod wapiennej pobiały wynurzały się niespokojne linie: biegnące pionowo dotykały policzka Częstochowskiej, opadające dołem nieporadnie tworzyły kartusz wokół napisu: NIECH ŻYJE POLSKA!

Trzymaliśmy ręce w geście modlitwy żałobnej i zemsty.

## Homilia dla zwiedzających Majdanek

Ptak, który przepływa błękitem, szukając zatoki miłosnej, w pokorze krąży trzykrotnie nad nawą żałobną. Wiatr poprzedzający statek wiosny zwija pośpiesznie żagle i stojąc przy ogrodzeniu trwożnie patrzy na ziemię jałową.

Gwiazda zaranna wiodąc śnieżycę nad obóz, żałobnym okiem wypatruje stojących w karnej kompanii - są już żywymi trupami.

Trawa rozkwitła lękliwie próbuje w zieleni skryć ostatnie ślady - białe szramy po kościach, krwiste plamy konania.

Cisza ciężkim płótnem nakrywa baraki: wejść - to skazać się na pytania, które pozostaną bez odpowiedzi. Może tak wygląda przedsionek piekła, a może żyliśmy pośrodku strasznej choroby - raka duszy.

Jak uspokoić dłonie ściśnięte kurczowo na bukietach gorących róż. Idę poboczem pielgrzymki, jakbym szedł poprzez czerwień zanurzony w jej oddechu po czubki włosów, więc idę poboczem pielgrzymki z nadzieją, że w cieniu mauzoleum spotkam Anioła Majdanek i odpowie mi na pytanie, dlaczego w nas jest tak mało tolerancji wobec drugiego człowieka.

## Tren pólshzeptera mówiony

Lepiej by mi było skryć się pod stosem ciał w płomieniu. Pozostać jałową aż po ostatni dzień starości. Być drzewem zwalonym pociskiem - leżeć w glorii ciszy, niż patrzeć na relikwiarz domowy - bucik safianowy Adasia.

Mój czas pozostał za drutami kolczastymi. Cała jestem pośród nich, samotna Pięta, oszalała z rozpacz, pusta, obca. Nie ma we mnie zemsty. Jest tylko krzyk dziecka. Brzuch mój umarł. Jestem jałowa.

Weszli gwałtownie. Dłoń szpicla delikatnie obmacywała kołyskę Adasia. Jest, Herr Oberleutnant, jest bibuła konspiracyjna, sprytnie, bardzo sprytnie ukryta, no, no. Wobec tego aresztujemy tego bękarta.

Ciągle w uszach mam krzyk dziecka trzymanego za nóżkę na wysokości lufy kaliber SS Gruppenfuhrer.

Jestem od środka wypełniona aż po brzegi oczu żalem, gorzkim wspomnieniem, dlatego proszę ciebie, poeto, dobierz słowa, które będą moją modlitwą codzienną. Jeśli słowa będą czarne - modlitwa będzie czarna. Jeśli słowa zanurzysz w bieli - pieśń będzie jak welon ślubny.

Codziennie po południu staję w oknie i patrzę na gmach „Pod Zegarem” z nadzieją, że w otwartych drzwiach ujrzę siebie niosącą na rękach śpiącego synka, który w piąstce ściska rzezanego czyżyka.

## **Elegia śpiewana przy krematorium**

Przy wąskich odrzwiach komina stoją niebiańscy pisarze, wpisują do srebrnej księgi dane personalne.

Przez wąskie odrzwia komina jest jedyna możliwość oficjalnego opuszczenia Majdanka, nazywa się to w żargonie hitlerowskim „oblóczyzny w nieśmiertelność”.

Cóż znaczy ciało -ciężar codziennych trosk, obawa o los rodziny i kraju, gwałtowna chęć poprawy własnego życia. Tutaj obowiązuje inny wymiar czasu, inne pojęcia powodują, że na własne ciało patrzysz, jak na serdecznego przyjaciela, którego niedługo trzeba będzie pożegnać. Łaziebnny chrzęst zamykanych drzwi zmylić może tylko czujność oprawców.

Wiemy, że stoimy w przedsionku czyścica i za moment anioł nienawiści ściśnie nasze gardła skurczem ostatecznym: ci, co pamiętają najdłużej, wysuplają z ostatnich naw pamięci chwile radosnej podniety, ktoś kończy dialog z ojcem przerwany na początku wojny, chłopiec próbuje wczłogać się w wąwóz chłodu, bezdomny płacziwym szeptem przywołuje zgubionego psa, żołnierz powtarza ostatnią przysięgę, zakonnik - niebo sferyczne widzi otwarte. Jeszcze jeden gwałtowny haust cyklonu. Ręce uspokoją się. Usta pokryje różowy osad śmierci. Oczy zapatrzą się w punkt odniesienia - obcy dla tych z Himmelkommando.

Spopieleni wrócimy do wnętrza własnych domów:  
szewc do lakierowanych szklanek dla nowożeńca,  
ksiądz dalej śpiewać będzie psalm o jutrzni,  
chłopiec pobiegnie za ptakiem w ostry wąwóz zmierzchu,  
ja stanę w brzemienym ogrodzie radosny,  
stara kobieta weźmie na ręce prosięta,  
partyzant pójdzie szukać śladów leśnego oddziału.

## **Elegia żałobna w cieniu mauzoleum**

Położ dłoń na Kamieniu Ostatniego Namaszczenia.

Położ dłoń na szramie granitu - martwe ciało syna jeszcze oddycha. Z wszystkich załamań i półcieni wypelza szept - modlitwa za konających.

Położ dłoń na ziemi. Spieczona usta ziemi będą pamiętać najdłużej osamotniony bieg ku furtce raj.

Położ dłoń na twarzy dnia - w każdej minucie umierali i wierzyli, że odchodzą do swoich dni, jak się opuszcza namiot snu wypełniony groźnymi pieczarami lęku.

Położ dłoń na kamieniu - każdy z nas mógł być tutaj zamordowany, tylko dlatego, że miał łagodność w oczach, śpiewał przydługi psalm cerkiewny, nosił gwiazdę Dawida, urodził się za wcześnie.

Położ dłoń na betonie komory gazowej - śnij razem z nimi, że idziecie purpurową aleją i wszyscy wam się kłaniają ikonnym spojrzeniem

Położ dłoń na plecach trawy - ostrego zapachu spopielonych kości żaden deszcz nie zmyje z płaszcza zieleni.

## **Elegia żałobna przy bramie wyjściowej**

Łąka, którą Bóg przeznaczył na podnózek swego tronu, stała się ziemią świętą szczelnie opasaną drutem kolczastym. W jego wnętrzu króluje elektryczna śmierć. Z typowo niemiecką pedanterią wykreślono granice życia i śmierci. Tylko błękit pozostał szczęśliwy - zimną kopułą nakrył wojenny czas.

Sto łuf patrzy na twoje dłonie grzebiące w mroźnej trawie za odrobiną pożywienia, sto łuf spogląda ironicznie w twoje oczy szukajcie pośród chmur ścieżki do ucieczki, sto łuf czuwa nad twoim snem: śnić możesz tylko o rajku albo o krematorium.

Tylko dzieci, wbrew tragicznej sytuacji, znajdują chwilę, aby bawić się w piekło - niebo ku uciechu komendanta obozu. Dla niego one już nie żyją, z ich delikatnych skórek wprawne ręce rzemieślników uczynią bibliofilską oprawę dla kolejnych tomów wspomnień Hansa Franka z supereklibrisem: Gott mit uns.

Lagerfuhrerzy chodzą w glorii władzy szukając ofiar, esesmani dla hecy grubą pałką rozbijają głowy napotkanym więźniom, ćwiczą stójkę od ośmiu godzin rzyga krwią, powtarzając uparcie: „To już długo nie potrwa, przed zachodem słońca będę wolny, będę wolny, na zawsze...wolny”.

Mrówka albo pajaczek w każdej chwili może schronić się w szparze - człowiek? Człowiek musi odważnie stanąć naprzeciw pogardy, brutalności i terroru. Jest sam. Najlichszy z wszystkich stworzeń. W ustach powolutku ssie słowa: BYĆ CZŁOWIEKIEM DO KOŃCA.

Łąka, na której stoimy w majowej pozłocie jest ziemią świętą. Klęknij i ucałuj jej brzeg żałobny.

## „Pod Zegarem”

Jest w moim mieście epitafium ukryte pod poziomem ulic, ukryte w skórze ścian, milczące surowością tamtych chwil. Epitafium rzeźbione krwią. Tu każde załamanie w murze jest wejściem w długi korytarz samotności, nie wiadomo, dokąd nim dojdiesz - czy aby w jego pustce nie czyha śmierć.

Oto człowiek stoi przy ścianie, w mroku stanowi wybrzuszony pejzaż bólu: ileż ran ma w sobie, a wszystkie żywe i pulsujące. Między przerwami bólu szepcze; „Nikogo nie sypnąłem...nikogo.” Korytarzem dwaj gestapowcy wloką więźnia, głowa obija się bezładnie o beton, wąska strużka krwi rysuje na posadzce ostatnie uderzenia serca. Drzwi od celi numer pięć otwierają się i ciało spada pośrodku więźniów: „O Boże, dziesiąty raz był w katowni, chyba tego nie przeżyje”. Miłosierne ręce unoszą głowę, inne ręce próbują obmyć rany, ale jak zasklepić, skoro całe ciało to purpurowy płaszcz. Są niemymi świadkami konania. Wiedzą, że ich los będzie podobny. Są żywymi trupami, żyją od przesłuchania do przesłuchania. Kto ma odwagę wiary, modli się, kto ma w sobie zaciętość, milczy, kogo strach paraliżuje, z mozołem odczytuje chropawe litery wyryte przy drzwiach: „W tej celi znajdowali się tylko ludzie z honorem”. Tamci już są wolni. Nieśmiertelni.

W każdej grudce tynku skryta jest tajemnica, bolesny moment rozważań, rachunek sumienia. Rdzawa plama o rozmazanym konturze inicjałów jest krótkim testamentem, który nigdy nie zostanie odczytany. Obok niej ostro wycięty kaligraficznym pismem profetyczny okrzyk: „Budynek ten nie waży tyle ile niewinnych łez i cierpień.” Jest tu chwiejny inicjał „W.G.”, westchnienie „Bóg z nami” i tylko data - 9.VI.44.

Cała ściana podziemia to utrwalony gryps. Wystarczy wsłuchać się w wilgotną ciszę podziemia, aby usłyszeć zamglone szepty, które pozostaną już tutaj na zawsze. Będą towarzyszyć każdemu, kto się nachyli w sakralnym geście, aby zapalić świecę i odczytać tekst ściany.

Musisz zdobyć się na odwagę, aby przeżyć ich jedną godzinę, stanąć twarzą do wilgotnej ściany i czuć gorzki smak łez wtopionych w jej wilgotną skórę, słuchać z trwogą zbliżających się kroków, szcękę odsuwanej zasuwy, świeżego powiewu otwieranych drzwi - dzisiaj wypadło na ciebie, wiesz, co to znaczy iść na badanie: wybiją ci zęby, skopią po żebrach, a jeśli mimo to będziesz milczał, zaczną wbijać szpile pod paznokcie, gasić papierosy na twojej twarzy, obrzucą cię stekiem bluźnierstw. Przyłożą lufę rewolweru do skroni. Może zawloką cię do celi, a może po raz ostatni spuchniętymi oczami spojrzysz z pogardą w ich zezwierzęcone twarze, będziesz jednym z wielu ciał wrzuconych do papierowego worka - kiedy uzbiera się dzienna porcja, samochód wywiezie przesyłkę na Zamek.

W tej krypcie wszystko jest świętością.

## Różaniec lez krwawych

Tłum ludzi wypełniał całą katedrę. Kto się nie zmieścił, stał na zewnątrz, na placu. Jeszcze nie minęło pół dnia, a już po mieście rozbiegła się wiadomość o cudzie, śpieszono do katedry, bo każdy chciał osobiście świadczyć, że Madonna płacze.

Głośnie modlitwy. Zawodzenia. Płacz. Żaloszny skurcz sumienia. Ręce wyciągnięte z prośbą. Oczy pełne ostatecznej nadziei. Ufność i wiara. I rozpaczliwa myśl: „Dlaczego płacze, dlaczego?” Odpowiedzi trzeba było szukać w głębi własnego sumienia.

Ci, co wyszli z okupacji okaleczeni, bez nadziei na życie, stali w głębi mroku, bo tyle lat w nim przeżyli wierząc, że ocaleją i tę okruszynę nadziei trzymali teraz w ustach; których osiągną! niesprawiedliwy wyrok władzy i siedzieli w lochach czekając na śmierć lub poniżenie - za nich stały ich matki i nie płakały, tylko patrzyły uparcie w twarz Matki; zagubieni w sobie, aż po obojętność, kiedy wszystko zatraciło sens i pozostaje tylko abnegacja, przybiegli nie po to, by uwierzyć, ale zapragnęli znaleźć się wśród wierzących, przesiąknąć ciepłem ich wiary.

Ciężka kotara gorącego lata opadła na miasto. Przewiewne ulice nagle umilkły. Czuło się ciężkie zamyślenie. Szarość i krew. Pokuta zwałała na kolana: przerażające grzechy wysypywano w bocznych nawach katedry. Innowierca, który dla ciekawości wcisnął się pośród błagalników, wychodził ze świątyni porażony. Udający laika stał przed Twarzą zasloniętą mgiełką zadumy, nie było w nim nic z pychy i obłudy - nieudolnie powtarzał modlitwę wraz z innymi. Chełpliwy stoik dziennikarskim okiem notował olbrzymią falę ludzkich próśb, tak gwałtownych, tak szarpiących swą bezradnością, że wołał uciec.

Żywa twarz Madonny patrzyła ludzkim okiem. Boleśnie. Przejmująco. Błagalnie.

Już raz tak spojrziała na miasto z ołtarza kościoła Świętego Ducha. Przejmujący strach padł na ludzi, bo było pewnym, że płacz Bożej Matki może oznaczać tylko żalosz nad ich losem.

Ciężkie grzechy osiadły w kamienicach i niczym szczury zagnieździły się na trwałe. Kto powie, że jest winowajcą? Kto nie ciągnie do siebie materii Rzeczypospolitej? Kto jest ponad prywatę?

Tamte łyzy dawno obeschły. Wsiąkły w apokryficzną modlitwę, którą na Anioł Pański wyśpiewują wierni przy odślanianiu wizerunku.

Obecne łyzy pozostały wśród ludzi. Nanizane w żywy różaniec nigdy nie dokończonych spraw Bożych. Gorące jak tamte dni.

Są rubinową perłą zakotwiczoną pod krzyżem w złocistej opasce korony.



## **Szkic lawowany później**

1.

Dwa punkty odległe o błysk poranka: Chłopiec, który przed chwilą nadbiegł, aby być świadkiem narodzin świtu, stoi u wrót wąwozu. Wejść - rozchylić welon chłodu i budując alabastrowe nawy przechodzić obok martwych głazów. Może w ich ciałach spoczywają przyszli mieszkańcy, patrzą promieniście. W krzewie głogu granatowa szrama ziemi. Tędy byłoby najbliżej wybiec na wprost ulicy dzieciństwa.

2.

Dwa punkty naprzeciw odbicia w mosiądzu: Jest taka pora dnia - gwałtownego zamyślenia w sobie, aż po brzeg samotności. Mam wykonać ruch wieżą, a tamten facet z naprzeciwka ma fuch i trzy bicia naraz - jesteśmy daleko od siebie. Siedzimy podobnie w parku śródmieścia i czekamy, aż słońce pożegna się z każdym drzewem osobno, teraz już wiadomo, że nie ma co dłużej czekać - samotność najszybciej zżera czekających w ciszy.

3.

Podwójnie w bieli zamknięci: Gdybym nie był chytry na odznaczenia i gdybym miał w sobie bodaj odrobinę złości przeciwko sobie, jeszcze dziś rano wyszedłbym, jak doradza poeta, biorąc ze sobą jedynie sonet miłosny. Jeszcze miniaturę - fragment ulicy, już nie istniejącej, ale dla mnie świętej, bo właśnie z niej wyrzależem ukradkiem - zobaczyłem, że świat jest tak ogromny jak moje rodzinne miasto.

Wszystkie płótna mają w sobie biały zapach Lublina.

## **Korzystny Obiekt Tajemniczy**

Lewą stroną ulicy idzie przygarbiony pan z niewielką skórzaną teczuszką zawieszoną na piersiach; na głowie ma wyszarzałą piuskę, idąc ociężale opiera się na bukszpanowej lasce. Przed chwilą minął ratusz, a teraz wszedł w odcień migdałowy, który cienką powłoką zaległ Krakowskie Przedmieście.

Codziennie, porą letnią, tuż przed godziną dziesiątą, pan Wiktor wychodzi z kamienicy Klonowica, gdzie mieszka od wielu lat. Uważnie przygląda się zabudowie rynku, zna tutaj każdy gzyms, wie, który kładli mistrzowie gotyccy, a który podretuszowano o wiele później; martwi go murszejący tynk na kamienicy Lemków.

Starszy pan chce zdążyć na małe zmartwychwstanie - uroczyste powlekanie, jak nazywa, Krakowskiego Przedmieścia laserunkiem o odcieniu malarstwa sienneńskiego. Starszy pan uwielbia łagodną paletę włoskich mistrzów quattrocenta - przypomina mu ona dzień zaślubin i świt, kiedy odwrócił się w stronę miasta: w łagodnym oświetleniu nawarstwiały się szczyty kamienic Starego Miasta. Pielęgnuje w sobie ów nastrój podniosły i melancholijny.

Kiedy wraca ze stołówki, słońce skraca cień do minimum. Wstępuje do sklepu ART, aby powiedzieć, że wystawiony obraz stanowczo mu się nie podoba, nie, nie, jak można wracać do kolorystów. Gdyby to było płótno Pankiewicza, to co innego, zresztą oni mieli doskonałe wyczucie koloru i umieli z niego budować formę.

Przed witryną księgarni Cypla spotyka Brodatego, rozmowa schodzi na portret pani Cz., pięknej kobiety pędzla Modiglianiego. Czy to prawda, że owa dama pochodziła z Lublina? A propos, panie Wiktorze, otrzymałem od stryja w spadku kilka ekslibrisów, przypuszczam, że są roboty Krawczenki lub Faworskiego, czy mógłbym przynieść je panu do zidentyfikowania?

Kiedy pan Wiktor opowiada gestykulując, zbiega się cała ulica, przyjezdne kobiety z lękiem mijają „nawiedzonego”, tubylcy zadają sobie pytanie, jaki talizman jest ukryty w skórzanej teczusce.

Porą nieszporną pan Wiktor wraca do domu, stromymi schodami wchodzi na swoje piętro, nieomylnym gestem wynajduje w murze metalową kołatkę wiszącą na sznurku i wybija nią umówiony sygnał o ścianę. Drzwi otwiera srebrzystowłosa żona. Kuchnia - las słupów podpierających pęknięty strop, pokój - magazyn antykwariatu, stos powiązanych pakunków, wycinki z gazet, ostatnio wydane plakaty, książki, wszystko zasnutę jest mgiełką kurzu. Z najwyższym zdumieniem patrzę, jak niemal z kocią zwinnością porusza się wśród ogromu faktów minionego półwiecza, bezbłędnie cytuje gazety, w których pisano o interesującym go problemie, nie przestając przy tym polemizować z autorami już nieżyjącymi.

Po powrocie z urlopu dowiaduję się o jego śmierci. We trzech idziemy do jego mieszkania. Na biurku leży skórzana teczuska. Otwieram ją delikatnie i wyjmuję zasuszony bławatek i wycinek gazety z 1921 roku. Jest też niewysłana kartka pocztowa adresowana do mnie: Sz.P. Gratuluję, jest to autentyczny Krawczenko, najlepszy drzeworytnik rosyjski. Mam u siebie korespondencję z nim z lat 1920 - 21. Co do portretu p. Cz. Modiglianiego, sprawdziłem, najpiękniejszy, jaki Modi kiedykolwiek namalował. Alabastrowa linia ramion, profil! Przeczytałem pana artykuł w Sztandarze Ludu o P. Ettigerze, są tam pewne nieścisłości, przy okazji spotkania powiem o nich, całość wyborna. Nic pan nie wspomniał o swoim pobycie w Moskwie, szkoda. Uścisk dłoni - Wiktor Ziółkowski.

Wracamy najdłuższym korytarzem smutku.

## Glosa powtórzona

Siedzimy w refektarzu zasluchani w oddalający się śpiew zakonny. Myślimy o metaforze, którą poeta na marginesie jesieni 1939 roku zapisał, dając nam przestrozę i klucz do wieczności.

Znawca literatury radzi iść tropem przenośni, bo chociaż jest to zabieg lingwistyczny, pewny o tyle, o ile przecucie da się opisać wzorem, lepiej jest zaufać poecie do końca i stanąć przed skałą zalaną płomieniem.

Nie wiem dlaczego, ale upierałem się, byśmy przerwali wieczór autorski i wyszli na wycieczkę krajoznawczą przez plac Litewski wybrukowany księżycami, a potem, kto jak woli:

stanąć pod drzewem i razem nucić kołysankę  
z Cugowem iść pod rękę na czystą wyborową  
lub klęknąć w kruchcie kapucynów przed spowiednikiem  
a może a może pojechać nocnym autobusem  
w otwarte pole - biec za wiatrem powsinogą  
aż pękną płuca  
Raz w życiu chciałbym  
upić się poezją do nieprzytomności: pozwól mi Panie Boże.

## Glosa poprawiona

Mało kto już pamięta, że w różowym pokoju na LSM mieszka malarz słonecznego psalterza - to takie kryształowe lusterka wypełnione zapachem konwalii o płaszczyznach wielokrotnie nachylonych do pejzażu miasta.

Malarz perfumowanych miniatur w dni uroczyste otwiera psalterz na dowolnej stronie i z miedzianowłosym pudlem idą na spacer bulwarem zachodzącego słońca uważnie obserwując przechodniów: facetowi w czerwonej marynarce trzeba domalować buty dziewczynkę z bordową kokardą rozhuścić wesoło złamaną gałąź wypełnić świeżą zielenią dziurę w asfalcie nakryć odbiciem czerwieni przy parze kochanków postawić namiot ciszy samotnej na ławce skrócić czas żałoby kanonikowi zamknąć brewiarz śpiewem dzwonów drzewa wypełnić poszumem wieczornych szelestów śpieszącym do kina wstrzymać złoty zegar horyzont głównej ulicy zamknąć łukiem wieczoru.

Ostatnim, który powraca ze spaceru jest malarz; w torbie razem ze szkicami śpi ostrowłosy pies. Wokoło jest tyle tajemniczych półcieni. Ostrych szram na płótnie wieczoru. Bufiastych błysków w głębi panoramy.

Poniżej fioletu nowe osiedle rozłożyło się szerokim pasem migotliwych świateł - jest pora letniego zamyślenia.

Trzeba bardzo ostrożnie przejść obok.

## Siedem księżyców

1

W nocie późniwie, gdy czerń mieszała się z granatem tworząc sklepienie nieba nisko zawieszony nad miastem, po drugim śnie, z nawy bocznej katedry wynurzał się srebrzysty księżyc i niespiesznym krokiem, z niechętnym spojrzeniem, wchodził na pobocza pejzażu: znał dokładnie wszystkie spiczaste hełmy wież kościelnych, przyciężkie baszty trzymające się kurczowo murów, bramy miejskie zwieńczone ostrymi chorągiewkami.

Tyle razy tędy przechodził, tyle razy samotnie włókł się pustymi uliczkami, na których nawet straż nocna pojawiała się z rzadka, zaglądał do okien - śpiący w łóżnicach wyglądali jak teatralne kukły rzucone w biel nakryć.

2

O tej porze śpiący po łąkach stróże bydła i kopie zbożowych z trwogą i zdziwieniem spoglądali w stronę ostrej smugi wynurzającej się z nad jezior - drugi księżyc wschodził pośpiesznie, a powietrze wokół jego bioder drgało nieustannie. Gdy mijał miasto bokiem, luna światła gwałtownie zapalała wszystkie zakamarki i wgłębienia najniższej skrytych piwnic, w tej jednej chwili błyskały miejsca, gdzie zamożne niewiasty chowały swoje drogocenne ozdoby - pulsowały migotliwie schowki kupców.

Z drwiącym uśmiechem i lekceważącym spojrzeniem, niczym młodzian, który dla krotchwili zabawia się wywabieniem ukrytych bogactw wykazując dla nich aż nadto lekceważenie, biegnie nie w śródmiejskie kamienice, i nie w komnaty pachnące olejkami, ale na odległe przedmieście, gdzie szeroko rozlane jezioro zastygło we śnie.

Od nocy Kupałowej aż po ostatnią noc lata, oczekuje go dziewczyna. Sprowadza lustrzanymi schodami w głąb ogrodu: zakochani w sobie na zawsze. Podziemnymi korytarzami chodzą zasłuchani w szept wodnych lilii. Miasto opasane szczelnym murem nocy śni swój drugi sen. Po stromych poboczach turlają się przedziwne szepty, chichoty, zjawy; oglądają je strwożeni stróże miejscy, którzy ukradkiem poglądają z murów w dół.

Nad miastem czuwają wysmukłe wieże. Zza wieży zamkowej wychodzi w srebrze toczony księżyc, jest lśniący jak lustro. Przechodzi nad miastem uważnie. Idzie kulejąc pochyłością pagórków, na których rozłożyło się miasto, trzeba przejść wszystkie ulice. Zajrzeć w komnaty, poszperać w uchylonych skrzyniach, wywlec Walka na dwór, aby przestraszyć jego kompanów: „Znów go omamiło złe i wywlokło na podwórze”.

Miasto oblane srebrem błyszczy niczym tarcza skierowana na Wschód. Patrzący w jej obłe kształty kupiec tatarski cmoka z zachwytu i przysięga przed sobą samym, że nigdy, ale to nigdy nie widział, by miasto przemieniło się w rzeźbioną srebrem panoramę.

I te tajemne błyski wybuchające z wnętrza murów. I te powłóczyste smugi biegnące od wieży do wieży. I poczwórna aura łącząca Zamek z Bramą. Wyniesione ponad dachy kamienic smukłe wieże prześwitem otwierają się na przestrzał - dźwięczą kryształowym echem. Kamieniczki, jak perły rozsypane w mroku, mienia się miękkim światłem. Atlasowy granat przykrył dzienny brud i niedostatek ulic. Wszystko się przemienia w bajeczną tajemnicę i trwa tak, aż ostatni promień księżyca schowa się w klasztornym ogrodzie: sygnaturka ogłosi pierwszą porę jutrzni.

3

Tylko drzeworytnicy wiedzą, jaki ma profil; tną cieniutkie i misterne linie równoległe i tak blisko siebie, że ich gęstość nie przepuszcza żadnego cienia nocy, ale oni dostrzegają długie błyski i wiedzą, że są to jego zmarszczki. Bolesne. Osamotnione. On ostatni usuwa się przed szarością świtu.

Tylko drzeworytnicy potrafią dostrzec jego ciało wtłoczone między zwały chmur - leży obojętny, ale twarz ma skierowaną na miasto. Czarne spojrzenie. Czarny uśmiech. Wie więcej o naszych grzechach niż spowiednicy, beznamiętnie wpatruje się jak chciwość sięga po zbrodnię, a miłość nasycy się lubieżnie. Jest zawsze obecny.

4

Pan leśnych ostępów, wertepów, wądolów i wąwozów jest opasany grubą powłoką chłodu. Kiedy wynurza się z krzewu jeżyn, polne ptaki i zwierzyna witają go przyjaznym tańcem. Jest ich bogiem. Patronuje dalekim przeskokom zajęcy. Ze stadem przepińczym staje naprzeciw osiedli i patrzy z niemym wyrzutem: ojczyzna ich wolności kurczy się tak gwałtownie, tak gwałtownie.

Wracają pod baldachimy łopianów. Ptaki usypiają. On chodzi i czule głaszcze puszyste futerka zajęcze, złodziejskie oczka lisa nakryte mglistą firanką, kuropatwom sen przedłuży bezpieczny.

Dawno temu wyniósł się poza ostatnią linię przedmieścia. Wszedł w chłodne i perlister nawy. Pokorny melancholią i zamyśleniem. Mówią o nim, że tyle w nim z Satyra, że tyle z Pana, że bez jego zdziwaczenia żaden krajobraz nie będzie tak nasycony tajemniczością i pragnieniem oglądania go bez przerwy.

On jest patronem pejzażu naszego dzieciństwa: najmniejszej ojczyzny, za którą tęskni się nieustannie.

5

Tuż przed otwarciem okiennic świtu z wszystkich zaułków wychodzi piąty księżyc. Nikt nie wie, co się z nim dzieje. Dlaczego upodobał sobie najbiedniejsze uliczki, które krótkimi odnogami biegną prosto w łąki lub nagle urywają się krzywymi płotami? Dlaczego kryje się wśród zaułków znanych tylko jego mieszkańcom - potrafi najgłębszą nocą omijać kałuże, wyrwy i wystające kamienie. Ciągłe spoziera za siebie - najchętniej wróciłby i oparty o kruche płoty zaglądał na podwórza, bawił się w malowane garnki. Tu czuje się swojsko. Czas płynie spokojnie - można pod byle krzewem przespać dzień, przegadać południe i już podwieczerek, i już zaraz zmrok.

6

Trzeba być natchnionym jak poeta. Trzeba mieć serdeczne spojrzenie na każdy przedmiot. Trzeba być pozbawionym pychy i chciwości, i żądzę posiadania. Ci posiadli mistyczną mądrość. Widzą ukryte przedmioty, o ile ciekawsze i bogatsze w formie. Widzą inne miasto, takie samo, ale zbudowane ze światła.

Rubinowy księżyc huczy wszystkimi akordami staccato.

7

Musiałem przeżyć całe życie. Byłem pustelnikiem skazanym na szukanie doskonałości dnia powszedniego. Samotrzeć zbierałem po jarmarkach zdziwaczałe słowa, by je skryć w gęstwie psalmu poetyckiego, łąziłem po wszystkich perspektywach szukając punktów, z których wyznaczono cudowne linie ulic. Trzeba było być powsinogą przedmieść - zagapionym w zaśpiew zaułków. Obchodziłem miasto i za każdym razem odnajdywałem ciekawszą linię obrysu: zdumienie moje graniczyło z cudem. Słuchałem jak Oszajca przepowiadał dzień ostateczny dla miasta w apokryficznym kazaniu podczas wernisażu w Wieczerniku. Pomagałem aniołom związać płótna nocy. Pomagałem zawieszać płótna poranka. Stałem na łące obok Satyra i łzawym okiem patrzyliśmy jak ogień jesieni spalał wszystkie dzielnice - radosne alleluja uderzyło w sklepienie, a my staliśmy i nie mogliśmy odejść.

A nad nami siedem księżyców, jak drogocenne perły, rozsypało się nad miastem. Wszystko to przeżyłem. Wszystko jest we mnie. I nie będzie mi to odjęte.

8

Siódmy księżyc skrył się w metaforze. Jest w cięciwie przelotu ptaka. Jest w rozpamiętywaniu filozofa, który w bezsenną noc powtarza swój życiorys. Jest obok twierdzenia Sedlaka, które bez jego istnienia byłoby intelektualną szaradą. Istnieje obok każdej rzeczy i w każdym naszym odruchu. Najbardziej paradoksalny z wszystkich bytów. Kontrowersyjny. Immanentny. Wysublimowany strukturalnie.

Jego przemożny wpływ dał się poznać, gdy wyznaczano obrys miasta Lublina. Był przy gaszeniu pożaru Starego Miasta. Czuwał, gdy spadały niemieckie bomby. On wyznaczył ostatnią granicę; przekroczenie jej oznaczać będzie, że odtąd skazujemy się na krajobraz asfaltu i betonu.

Wówczas odejście od nas - wróci do pierwszej chwili stwarzania Lublina.

## Objawienie natychmiastowe

Za ostatnim zakrętem turla się wóz, którym Jan Pocek odjeżdża do swojej wiejskiej ojczyzny, chowając skrętnie za pazuchą odnalezioną relikwię - przesłanie poetyckie.

Właśnie wczoraj na placu Bychawskich nawiedził go Anioł Przemienienia: stali naprzeciw siebie jak dwa sny.

Dłonie ściśnięte w znak pojednania. Przeogromni w hałaśliwym przebiegu aut. Niepozorni wobec jarmarcznych ludzi niosących na ramionach wysokie toboły trosk, na których okrakiem siedziały kruki przebiegłości.

Poeta wpatrywał się uparcie w odległy krawężnik południa chcąc odwlec moment podjęcia decyzji, chociaż wiedział, że jest już po drugiej stronie, że pierwsze słowa wiersza, jak lniany zawój, owinęły się szczelnie wokół ust.

Pozwolił się poprowadzić ku bramie miasta.

## Herbowi Białego Kruka

Z głębi gotyckiego korytarza nadchodzi procesja. Palą się cienkie świece, klasztorne sklepienie wypełnia się migotliwymi postaciami, jakby herosi w otoczeniu aniołów półcienia zeszli się w plafonie wieczoru. Idą. Idą pobożnym namaszczonego krokiem. W rytmicznych odstępach echa. Czarne pancerze szeleszczą jedwabistą frazą. Suchy trzask kołatki odmierza ich uroczysty marsz.

Kawalerowie Białego Kruka ze Słonecznikiem stają półkolem niczym rycerze okrągłego stołu. Chwila kontemplacji. Każdy z nich jest pełen cnót obywatelskich. Każdy gotów wpływ przeprawić się, by za dobra wszystkie nabyć rzadki druk, a wszyscy razem, stojąc teraz w zadumie, wspominają najchwalebniejszą chwilę - całowanie księgi przez Gutenberga po wyjęciu jej spod tłoka.

Trzymają przed sobą tajemne znaki:

Józwik pod podwójnym płótnem nocy na miękkim mchu jugosłowiański medal pachnący pszczelim kitem i czeskim piwem drzeworytników.

Gzella obwieszony widokówkami zaprzeszłego Lublina uparcie udowadnia, że czas wpisać miasto w świętą miniaturę.

Gurba archeologiczny dzban rytualny stawia: w jego odbiciu ukryty jest profil Lublina. We wnętrzu śpią wszystkie sny mieszkańców.

Zwolakiewicz z notesu graficznego wysupłał linię misterniejszą od pajęczej. Stary drzeworytnik chytrze obmyślił plan - nawet pod mikroskopem nieprędko odczytają kryptonim. Niech wpierw znajdą źródło, z którego wywiódł inicjalną arabeskę.

Gawarecki w teczce nosi nigdzie nie opublikowane glosy i facecje: Kto komu co jest winien i dlaczego obywatele zastanawiali się „Wejść, czy nie wejść?”, kiedy się wszystko zaczęło i jaki będzie koniec. Nie na darmo powierzono mu godność Pieczętarza.

Wojciechowski - łacinnik giętki, co rusz na odsiecz wzywa Horacego lub psalmem Dawidowym wzmacnia argumentację. Nie masz nad niego znawcy pięknej książki tudzież białogłowy, a te, które posiada, otoczył zbrojnym parkanem.

Wielki Mistrz biesiadną porą zasiada na poczesnym miejscu i złotoustą inwokacją otwiera Kapitułę Orderu Białego Kruka, a tuż za jego lewym ramieniem niewidoczna postać powolutku przesypuje czas w lustrzany mieszek klepsydry.

Herbowi Białego Kruka koncelebrują swoje nieszpory pełni lirycznej chwały i kąśliwej metafory.

Stojący w bocznych nawach, niczym w szklistym ikonostasie, widzą własną pychę lub miałość liter, które codzie-nie przeżywają beznamiętnie.

Wielki Mistrz rozchyła welon nocy - idą w głąb metafory. Wracają do zaułków płochliwej litery.

Zostaje po nich jasna szrama - zachwyty nad słowem, które nieznanemu poetą rzeźbił po kryjomu, a drukarz utrwalił na skórze świata.

## **Bosy**

Gąszcz linii tylko pozornie tworzy chaotyczne grzęzawisko, w którym i cień i echo szybko się gubią; wiele ścieżek nagle się urywa, spada gwałtownie w pustkę, inne nerwowo pną się pod sklepienie, a kiedy już złączą się z arabeską dekoracją, przestają być formalnie linią sklepienia - są pobrzeżem podmiejskiego pejzażu.

W czerni jest dramatyczna niemoc, jaką w sobie artysta nosił przez całe życie. Była w nim, gdy patrzył w otwartą przestrzeń nocy i szukał przejść przez najdłuższą nawę ciszy. To, co brał za prześwit drogi okazywało się zbieloną framugą opadającej gwiazdy - iść na przelaj bał się, więc stał u wezgłowania i patrzył. Noc przelała się cichą falą, wystarczająco namiętnie i groźnie, by mógł zapamiętać jej obłe kształty.

Jest też i bezmiar smutku. Ogląda śmierć motyla - spoczywa na białym katafalku, zapalił mu małą świeczkę. Za oknem gorące przedpołudnie i krzyk aut. Filigranowe skrzydła umarlaka niczym potężne witraże zamykają obie połówki dnia - wewnątrz jest milczenie. Kontemplacja barw. Przeistoczenie.

Nawet gwałtowne zwoje gorących brył, które z taką wściekłością wtaczał na pobocze krajobrazu, oblewał je i rozgrzanym ugrem i plamami szafiru, i chaosem brązów, tylko dla przechodniów są wylotami ulic, przy których mieszkają - szukają uparcie okien, by móc wychylić się i przekonać, że ulica zalana jest



bulgocącą lawą sieni. Ci, którzy idą wąwozem chłodu, muszą obejść całe przedmieście, zrzucić z siebie nadmiar pychy i pewności.

Kiedy wyjdą na asfaltową miękkość ultramaryny i odwrócą się na północną pierzeję, zobaczą, jak ciężka powłoka nieba stacza się szarością: domy, betonowe wieżowce, spiczaste wieże w jednej chwili przemieniają się w obłe kształty - szmaragd ciszy wtłacza je w nawę zmierzchu.

Żeby zrozumieć miękkość jedwabistej powłoki błękitu, do którego ostrożnie dodaje smugę gorzkiej zieleni, trzeba pojechać do Bretanii i jesiennym porankiem rozsunać zwały chmur znad pbrzeża - to soczyste płótno lapis lazuli trzeba przenieść do Polski, przybić jeden brzeg do wzgórza kazimierzowskiego, a drugi zanurzyć w Wiśle: puszyste kłęby śniegowej zamieci przefarbować w kolory tak płonące, aż będą parzyć oczy i zdumiewać, i zachwycać. Płonący śnieg.

Pamięta o liściu paproci, który wywiózł z Litwy, pamięta skrzydła motyla i pamięta jedną godzinę z okupacji - wszystkie te momenty miesza ze sobą, przesuwa różnie w pionie, obrysowuje linią cienia. Kiedy wraca do pracowni z długiego szwendania się po mieście, wie, że trzeba natychmiast czarne wyrwy pejzażu pociąć zielenią i brązem.

Tym asfaltowym korytarzem można długo błądzić wsłuchując się w śpiew. To jest półmrok Asyżu. Oliwkowy szept nocy. Półton, który więcej znaczy, niż wibrujące słońce, rozbielone żółcie i pomarańcz. On wiąże trwale rozdarcia czerni i wybuchy brązów w kopuły zmierzchu: cisza wypelniona jest modlitwą.

Za werniksową poświatą kamieniołomu stoi człowiek. Jego chropawe plecy są przedłużeniem wzniesienia. Ponad nim otwiera się krwią oblany obłok. Człowiek zanurza się w nim przewrotem i obraca ku fioletowi łąki. Można powiedzieć, że psalm późniwny został opisany aż nadto realnie, gdyby nie obłok - rubinowy wybuch. Krzyk osamotnionych kuropatw. Całopalenie metafor malarskiej magmy. Nienawiść do własnej niemocy: w jego wnętrzu kryją się wszystkie chwile niepokoju i nieporadności malarza, gdy staje przed białą płótna i gdy po raz ostatni rozciera słoneczną poświatę w naskórek brązu. Odtąd pozostanie pątnikiem we własnym pejzażu poszukującym idealnej kompozycji - bo każde wgłębienie, puszystość ciszy, rozdarcie można tyle razy powtarzać, powiększać, stwarzać i nigdy nie czuć przesytu i zmęczenia.

Trzeba się wyzbyć chciwości, nadmiaru pychy, nieufności do nadziei - w prostocie życia tkwi sens filozoficznej metafory, która ukrywa się pod warstwą pasty malarskiej.

Oto dlaczego z takim namaszczeniem, niemal nabożną kontemplacją, wcierał każdą płaszczyznę w płótno. Dbał o jej czystość materialną. Usakralniał każde załamanie pejzażu: w brązie kryła się jego klasztorna samotność, metaliczna szarość - to długie godziny medytacji, w której tak blisko niego stał Bóg i Szatan, a jednak dzieliła ich wszystkich przeogromna przestrzeń, przesycone żółtością polany napawały go nieodpartą chęcią ucieczki w głąb zatrzaśniętej nawy - sam ją w przeddzień młodości zamknął gniewnie: po co więc powracać? Biel - brzemienne jabłonie w welonie wiosny, ale i niepokój, czy aby nie zagubił się we własnym pejzażu wyobraźni.

Każda z linii jest wpisana w krajobraz miasta: biegnąca krótkim brzegiem fioleto kryje w sobie tajemniczy szept przejścia pod Bramą Trynitarską, chaotyczny warkocz zbrązowiałych kresek to kardiologiczny zapis rytmu śródmieścia w południe, a grube krechy szafiru przepychające się przez miąższ pobielonych wzgórz - wąwozy chłodu kryjące w sobie całą łagodność przedmieść.

## Miniatura

Rozgrzana fala aut owinęła się szczelnie wokół mojego ciała i nim się ocknąłem, spłynęła w dół Lubartowskiej, ciągnąc długie wstęgi purpury: paw nocy sfrunął z przybrzeżnych kamienic, chcąc wypełnić szarość malinowym tonem.

Na moment staliśmy się płonącymi obłokami opisanymi w mandorli czerni, z czego najbardziej cieszył się Polakowski. Właśnie wyszedł z kamerą szukać tematu i bach - gorące linie wybuchły na negatywie, jakby ludzie przekroczyli prawa grawitacji i odziani w cudaczne płaszcze opowiadali sobie ostatnie przepowiednie.

Negatyw powiększony na ścianie do rozmiarów stadionu jest sprytną kompozycją. Który historyk sztuki nie zainteresuje się nowym wymiarem przestrzennym i nie przyjedzie do tego miasta, aby poszukać punktu, z którego artysta fotografował.

Noc. Noc.

## Wiatrak pełen tragicznej chwały

Znakiem krzyża jesiennego ogarnia brązowy krajobraz pachnący dymnymi ogniskami. Stoi samotrzeć: purpurowe skrzydło jęklwym głosem przywołuje ptaki poleskie. Archanielskie skrzydło nabielnym prześwitem ukazuje zapomniany szlak błędnym rycerzom zagubionym we własny sen wyobraźni. Błachogrzmiące skrzydło, to gwałtowny plusk burzy, pośród której człowiek pukając w ścianę drewna, puka do wnętrza własnego grobu. Konopne skrzydło najcierpliwiej zgarnia pod się fale wietrzne - z tej odległości jest kobietą ciężarną idącą z boczem pola żniwnego za ruchem słonecznego sierpa.

Cztery symbole światła i cztery znaki ostateczne.

a. Znak trwogi, który odczuwają spragnieni łaski pojednania z sobą samym. b. Znak smutku ukryty w podziemiach złęknionych słów codzienności, c. Znak przebaczenia dany posiadającym pokorę jagnięcia, d. Znak chwały objawiony wybranym, aby świadczyli o prawdzie.

Cztery strumienie dźwięków i cztery żywioły ewangeliczne.

a. CZŁOWIEK - drążący w błękanie ścieżkę własnej potęgi % i niewoli, b. ORZEŁ - punkt łączący perspektywę Nieba i Ziemi. c. LEW - napięta statyka mięśni skryta w cieniu obojętności, d. BYK - codzienność niszcząca naiwność wiary i pychę państwa.

Cztery sztandary wiejskie i cztery wystrzały tajemne.

a. Niesiona w oktawę Alleluja pośród stada kaczeńców i ciepłej % powodzi - wełnista, b. Haftowana przędzą dziewiczą naprzemianległym szlakiem: bielą i % czerwienią - tkliwa, c. W przedwieczeryz ustawione między krzewy agrestu i tam sławiona pieśnią samotną - wietrzna, d. Wbita u wezłowia wsi przeciw gradom, piorunom, duszności - smolna.

Cztery twarze księżycy i cztery spojrzenia ikon.

a. Zrodzona w Bizancjum pośród szalbierstwa dworu i niskich pokłonów ludu. b. W żywicy toczona przez falę morską, stąd tyle kobiecej zadumy i uległości, c. Okryta półtonami zmierzchu, w których śpi dzwon nieszporny. d. Zawieszona pod kopułą miasta naprzeciw twarzy księżycy.

Któż z nas ma odwagę klęknąć przed drewnianym rycerzem i przyznać mu rację? Powierzyć swoje grzechy? Uznać, że skoro istnieje świat poza materialny, skoro nawiedzają nas w niklowanych karocach przybysze z innego wymiaru - ten jodłowy stwór jest ostatnim legalnym bogiem prasłowiańskiego snu.

Kto go wywiódł z ojczyzny skrzydlatych machin? Dlaczego nadał mu na chrzcie imię skrętoległe?

Co piąte pióro dawniej w żywicy maczane dziś rano naznaczono wstęgą fioletową, jakby w ich wnętrzu skryto cztery legendy z Zyguntowa. Tylko ludzie ze wsi potrafią czytać w kolorze żaloby historię własnej wioski. Ludzie z miasta obmacują dyle i pawęgi, stukają w czarne wyrwy po sękach, dłubią uparcie w szparach. Kalkulują. Szpiegują. Cmokają. Odchodzą i wracają. Z każdej perspektywy mają inny osąd, lecz zawsze wracają do tego samego stwierdzenia, mówią slangiem kulturotwórczym: „Ciekawy okaz, ciekawy, no, no.., a myślą: „Niepodobna, żeby był sam w sobie martwym, nie miał duszy własnej, jodłowej i nie czuł ciężaru uderzeń wiatru, nigdy nie zapłakał, nie uzałił się nad swoim losem. Czyż nie jest ode mnie doskonalszy w swej użyteczności?”

I doszukują się w wiatraku ustawionym w skansenie ukrytej metafory.

I słusznie czynią; a kto tak myśli tej samej chwili, łączy w swoim sercu wszystkie symbole w rytm miłosnej zadumy.

I ten jest człowiek boży.

## **Stasiu zwany Bożym pomyleńcem**

Kto może stanąć w prezbiterium bieli i powiedzieć, że jest nad śnieg bielszy?

Kto nigdy w ustach nie trzymał pęku słów maczanych w obłudnym sosie?

Kto ma serce wypełnione pokorą tak cichą jak anioł zmierzchu?

Widzę go codziennie. W drzewie rzeźbiony. Gliniasty uśmiech wybrzusza jego twarz. Infantylnym gestem zapala papierosa i bez natchnienia ssie go w bezzębnych ustach. Całe jego życie, to kilkanaście gestów, z których najlepiej opanował uśmiech: powitalny dla kierowców trolejbusów - wysoki ton zaśpiewu;

rubaszny, gdy zaskoczona kobieta poczuje dłoń na pośladku; radosny - po otrzymaniu starej kurtki, tramppek lub bułki w sklepie; dla przygodnych znajomych z ulicy - ciepły i pełen zwierzęcego żalu.

W błękitnej bordiurze opasującej szerokim i gęstym splotem ikonę miasta jest seledynowy półmrok, w którym siedzi mała figurka. Obok przebiega śnieżna wichura, przetaczają żniwne słońca, płoną gniewne pioruny, jesienne deszcze spływają rwącym potokiem. Boży naiwniak patrzy jednakim spojrzeniem. Nikogo nie nazywa złym człowiekiem, nie wie, że można kraść, nie rozumie, że z zebranych przez siebie pieniędzy mógłby kupić eleganckie ubranie, dobrze zjeść, założyć książeczkę oszczędnościową. Mieć kobietę. Psa. Być kimś.

Półdrzemie. Półśni. Pod drewnianą powieką jest rozległy krajobraz wiosenny: dwaj święci polscy prowadzą uroczyste bożego naiwniaka, a kwiaty im się kłaniają. Idą tak od wielu lat przez tę samą łąkę. Nic nie mówią. Cała trójka jest w uwielbieniu. Radosna. Olśniona. Puszyste złozenia otwierają się dywanami, purpurowe obłoki - falujące kolory, od których ich skóra nabiera zapachu róż, brązy mają w sobie miąższ tapczanów.

Boży naiwniak wie dobrze, że na końcu łąki jest mała kapliczka, kiedy podejda do niej, wyjdzie z niej Frasobliwy i powie: „Zawsze jesteś w moim niebie.”

Obaj mają jednaką twarz, pokancerowane dłonie, chropawe spojrzenie. Rozumieją się bez słów. Drzewieją od zewnątrz, nieczuli na palcowanie burżujów, chichot podlotków, grubiaństwo chuliganów i bezwstyd miejski.

Ile ludzi codziennie przemierza wszystkie ulice miasta? Co myślą? Jakie są ich pragnienia? Kogo uważają za świętego, gdzie jest granica między grzechem a codzienną praktyką życia społeczeństwa - czynienia drobnych świństw.

Pełzającym biegiem przemierza ulice nie wiedząc, ile ich jeszcze musi pokonać. Kiedy zbiega w dół Lubartowską ma w sobie coś z nietoperza, który zagubił się w ostrych promieniach popołudnia; będąc już poza smugą cienia wygląda jak miejski wróbel dropiący chyłkiem w stronę prześwitu, a kiedy zbliży się do górnej krawędzi nocy - jest ptakiem czerni.

Czarną skałą staje u wezglowia miasta.

## **Poczekajka w przedwieczery**

A bo widzisz pan, po tej stronie ulicy, aż do kościoła, nic było żadnego budynku, nic, tylko pola. Jako młody chłopak nieraz tędy chodziłem na skrót do lasu. Szło się miedzami, a ile zajęcy wyskakiwało spod nóg, kuropatw i sarny też bywały, a już nie daj Boże mieć kartofle pod lasem - czego, pytasz pan, oj, oj, a to z tej przyczyny, że dziki zryły nocą i nie było na nie żadnej mocy. Pola ciągnęły się aż pod las, teraz to już żaden las. Chodziłem z siostrami na jagody, ale mnie to szybko męczyło, wolałem szukać grzybów: podpieńków, borowików, rydzy.

Mój dom był trzeci, jaki tu powstał, najpierw pobudował się Grzywacz, potem Józek Kalinka, już nie żyje, jeszcze przed wojną powiesił się w kuchni, mówią, że przez kobietę, pewnie tak było. Potem myśmy się postawili. Cegła była tania. Pracowałem u Niedźwiadka, co trzymał cegielnię, o, niedaleko stąd, jeszcze teraz wyrabiają cegły, ale jemu zabrali cegielnię, jak powstała nowa władza. To był dobry człowiek, ale o swój interes dbał musowo i ja u niego kilka lat przepracowałem. Wpierw kopałem glinę, a potem przeszedłem do form i już tylko ubijałem glinę, od niego dostałem cegłę i postawiłem dom. Ja nie chciałem tak daleko od miasta budować się, ale moja kobieta powiada, że ona lubi mieć drzewa, kwiaty, miasto jej nie interesuje, a mnie odwrotnie, mnie bardzo podobało się chodzić po ulicy, patrzeć jak inni spacerują, jaki towar leży na wystawach, ot, tak sobie szedłem do żydowskiego sklepu, zmierzę kapelusz albo pomacam materiał, dla fasonu.

Nieraz z żoną chodziliśmy razem, ale w teatrze my nigdy nie byli, ona nawet do kina nie poszła, bała się, ja z kolegami chodził, a kino „Corso” zwało się, Niemcy je bombami rozwalili, dużo bomb zrzucili, aż tutaj było słychać jak walili. Za Niemca, to ja wolałem nie chodzić do miasta, chyba że musowo, a i tak uszedłem z pomocą Boską, ale ludzie mówili, że męczą naród na Majdanku.

Kiedym wrócił z wojska, mało co byłem w domu, przyszli Geniek z Wackiem i Geniek mówi: „Wątek, bierz harmonię i idziemy na wesele”, jak iść to iść. Odkładałem wszystkie pieniądze, jakie w wojsku miałem i zaraz po wyjściu do cywila poszedłem kupić harmonię, całe pieniądze wydałem i jeszcze było mało, to pożyczyłem. Dobrze zrobiłem, niby miałem ojcową, ale tamta na guziki, ruska, a ta niemiecka - klawiszowa. Potem mieliśmy prawdziwą orkiestrę, Geniek skrzypce, Wacek bębny, a jak trzeba potrafił i na trąbce, i ja z harmonią. Na ilu weselach bywaliśmy, wszystkie zabawy nasze, co chcieli, to graliśmy, przez noc, to człowiek się na fest umordował, palców nie czułem, alem zawsze był skory iść grać. I zarobek był i pojeść dali, a jakże. Wacka Niemcy przyłapali na szmuglu i wpakowali na Majdanek, poszedł w górę kominem. Geniek już po wojnie dostał przepukliny, nie pomogły żadne doktory, poszedł w piach. Tak, tak, człowiek szarpie się całe życie, a odchodzi w jednym ubraniu. Z mojego rocznika tylko ja zostałem, a mnie już idzie na dziewiąty krzyżyk.

Po tej stronie był majątek i cała ta ziemia do niego należała, ale jak nastąpiła nowa władza z majątku tyle zostało, co nic. Siostry dostały dworek i park i trochę ziemi. Pobudowały domy dla studentek, ogrodziły i gospodarzą. Dobrze, że chociaż autobus puścili, to nie muszą dziewczęta biegać do miasta, ale przedtem stąd było kawał drogi.

Ślub braliśmy w Konopnicy, bo stamtąd moja pochodzi. Potem przyszli zakonnicy i wystawili kaplicę, a teraz będą kościół budować. Dużo kościołów buduje się wszędzie, a mnie się przypomniało, jak rozbieraliśmy ruski kościół, tak, tak, cerkiew. Pan nietutejszy, to i skąd może wiedzieć, że stała na samym środku miasta, na placu. Pewnie, że zaglądałem do środka i nie powiem, że mi się nie spodobała. Ich święci groźnie patrzą, już ja wolę naszych, ale ich śpiew lepiej mi się podoba. Teraz żadnego śladu po niej nie ma, nic, ale ja ją pamiętam dobrze. Może jej i szkoda, ale to była ruska cerkiew, po co nam ona, skończyły się rosyjskie czasy.

Teraz ludzie rzucili się na ziemię, łapią każdy kawałek i budują, a nieraz nie warto. Taki Niedziela, zachodzę wczoraj do nich, a on powiada, że już nie są na swoim, a to dla tej przyczyny, że na ich ziemi stanie nowy szpital, aż żal mi się zrobiło, tyle pracy włożyli w ogród, ale mus to mus. Pójdą od jesieni do

bloków. Strach mnie napadł, bo może i po naszej stronie coś się będzie budować. U mnie też byli handlarze, obeszlą ogród, postukali w ściany i chcą płacić od ręki za wszystko, ale ja stąd nie pójdę, żona też nie chce, ani do bloków ani do domu starców na Węglinie, o, nie, nie pójdę. Po śmierci niech robią, co chcą, bo nie mamy nikogo, córka jest za granicą i nie pisze, a nam dużo nie trzeba. Dawniej mieliśmy i krowę, i świnie, kur dużo, kobieta chodziła na targ na Świętoduską, teraz już na nogi niedomaga, więc mnie posyła, ale nie ma we mnie już tej ochoty, co za młodu.

Skąd nazwa Poczekajka? Wszyscy tak mówią: Poczekajka i Poczekajka. Musowo wiedzieć, dlaczego tak mówią Poczekajka. Pytałem swego ojca, patrz pan, jak zmarł, miał sto lat bez roku, wszystkich pochował, braci i siostry. Ja tyle nie pożyję, już potraciłem ostatnie zęby i twardego chleba nie pogryzę. Ojciec mi pokazywał teren, na którym Żyd prowadził karcznię i gdy chłopci wracali z jarmarku, a nie wracali z pustymi kieszeniami, podjeżdżali pod karcznię, a jak który śpieszył się do domu, żyd cap go za kapotę, gdzie się człeku śpieszysz, poczekaj, napij się piwa, pogadaj, poczekaj. O, tak cyganił żyd chłopów i taka nazwa została: Poczekajka. Gdzie ta karczma stała, nie pamiętam dobrze, ale chyba tak jak stoi dom Besztaka, nieco w głąb ogrodu. To był na pewno dobry interes, ale jak myśmę się budowali, z karczmy nie została ani jedna belka.

Na Zielną będzie mi równo osiemdziesiąt cztery, od ślubu, to będzie z pięćdziesiąt, tyle żyjemy razem i dobrze nam się razem żyło. Kobieta jak to kobieta, cały dzień gada, ale ja nie zwracam uwagi, robię swoje, a ta, że poszedłbym do sklepu kupić to i tamto, a jak wrócę, to mam trawy nasiekać królom, jabłek zebrać i siostram odnieść, a ja jej mówię, że do zachodu słońca daleko, jeszcze młoda pora, siostra Cecylia przyjdzie pod wieczór i zbierze jabłka.

Niech pan siedzi, jeszcze młoda pora, nadjedzie druga dziesiątka, pogadamy sobie, nie ma z kim rozmawiać. Wszyscy pracują w mieście, pokupowali samochody, jeżdżą po asfalcie, jeszcze dziesięć lat do tyłu były kocie łby, a jak przyszła wiosna i śnieg puścił, można było pływać.

Widzi pan, dziesiątka dopiero teraz leci na Węglin, puścili ją dla tych z domu starców, a my mamy z tego korzyść, przedtem jeździła tylko do wagi, kiedyś tam buraki ważyli, zakręcała i wio z powrotem do miasta. Teraz mam bliżej do przystanku, ale już do miasta nie jeżdżę, chyba że do lekarza, wolę siedzieć w domu, puszczyć radio i słucham muzyki.

Rano, gdy wyjdę do ogrodu i słyszę śpiew ptaków, panie, mogę tak stać i do południa. Kobieta wyjdzie i woła, czego ja tak stoję, jak ten chochoł, a ja nic, niech woła, ja słucham i żal mi czegoś.

## **Spektakl narastający w sobie**

Trzy sześciiany: pomarańczowy, żelazny, wodny.

Biczownik nadchodzi od strony Italii, w ustach ssie długą trzcinę żalobną, ma w sobie wszystkie cechy włóczęgi i pątnika. Obchodzi czujnie proscenium. Stojąca za płotem wiklinowym zamężna myśli o nim jak najgorzej. Próbuje go odpędzić w myśli, jego mocne łydki zniewalają kobietę. Nie dostrzega, że wędrowiec na brzuchu dźwiga płomienną paszczę Lewiatana i mówi potrójnym językiem, i ma moc czynienia cudów.

Oto jego brat przyrodni, kiedyś razem pasali bydło: Abel i Kain, wiedli spór o dziedzictwie i poszanowaniu wolnej woli. teraz są sobie obcy. Mówią o człowieku, lecz mówią z dwóch odległych perspektyw - słowa mijają się równolegle. Sens ich teologicznego dialogu może pojąć tylko biedny Hiob. Wjeżdża na wózku inwalidzkim w otoczeniu lnianych opończy, parcianych haseł, wyjców, przygłupawego psa i pijanej macochy. On najlepiej poznał życie, wyszedł z dna rozpaczy. Cały jest nasiąknięty jękiem Vir Dolorum. Niczego nie pragnie ani się spodziewa. Szuka anioła śmierci. W gospodzie powiedziano, że znajdzie go w gromadzie żołnierzy ostrzących bagnety, przecież bitwa ma się rozpocząć nocą, iluż niewinnych ludzi zginie.

Fiodor Dostojewski przekonuje płaczącego Hioba, że życie ludzkie nie ma większego znaczenia ani dla generała, ani dla prokuratora czy urzędnika. Liczą się tylko fakty historyczne. Magia słów. Wielkie przeniecie duszy. Całą wędrowkę Hioba po ojczyźnie można zamknąć w worku piaskowym, zanurzyć w wodzie albo przetopić na żelazną obręcz, o której wspomina w swej wizji prorok Ezechiel.

Kogo bardziej się obawiać - biczownika opętanego magią prorokowania czy wygnańca napiętnowanego buntem?

## **Creation collective**

Naręcza płacht opadają w gwałtownej nawale. Słysząc odległy głos kołatki. Teraz puls konającego zbliża się rytmicznie aż opanuje całą przestrzeń do oblędu i biologicznego skurczu duszy.

Wszyscy jesteśmy napiętnowani przerażeniem i niepewnością. Wszyscy. Wszyscy.

Jest noc. Jest noc.

Ostatnim, który schodzi ze sceny jest Leszek Mądzik, półszepem odmawia przypisany na ten dzień pośmiertny wiersz Steda:

Bo nawet oblęd nie został mi zaoszczędzony,

bo wszystko mnie boli straszliwie.

Zostawiam

życie

bo stanąłem na początku

i stanę na końcu

i nie skosztuję

śmierci.

Trzy sześciany: pomarańczowy, żelazny, wodny.

## Odwiedziny po przekątnej miasta

Niemal w każdą sobotę szliśmy odwiedzić babcię. Była to mała procesja: na przodzie szła Lala w purpurowej sukience, spod której wynurzały się kaskadami nakrochmalone falbanki, za nią paradował czarnowłosy Nepomucen, ostrożnie stąpający po kocich łbach, nie żeby obawiał się zwichnięcia nogi, ale zabrudzenia trzewików; potem szli dwaj bliźniacy - Błażej i Krzysztof, pod troskliwą opieką najstarszej siostry Jadwigi, dopiero na końcu siedłem ja, oczywiście w przyzwoitej odległości, aby w krytycznej sytuacji móc się natychmiast zatrzymać i uniknąć awantury, z którymś z ancymonów.

Bardzo kocham swoją rodzinę, ale wolę utrzymywać dystans, który mi zapewnia spokój i krytyczną ocenę codziennych wydarzeń, a tych, niestety, nie brakuje nigdy, zwłaszcza, jeśli ktoś bliżej poznał Błażeja i Krzysztofa,

Przygotowania do wyprawy trwały długo. Matka zaraz po obiedzie przystępowała do akcji: mycia najmłodszych, szcztokowania włosów, prasowania ubrań, a wszystko to było przerywane przypomnieniami, żeby nie wybrudzić się po drodze, iść ostrożnie po ulicy, nie wybiegać przed siebie, uważać na zielone światło, broń Boże ocierać się o płoty, no i pamiętać, że babcia Apolonia jest osobą świętą, właśnie na Wielkanoc ukończy dziewięćdziesiąty czwarty rok życia i należy jej się szacunek, wszyscy mają po kolei całować ją w rękę, tylko nie pchać się, żeby babuni nie przewrócić, nie ganiać zielononózki po ogródku, a to pozbędzie się jajka.

Do babci Apolonii szło się dziwną ulicą, która zaraz za kościołem św. Pawła ześlizgiwała się poboczem w dół, jakby ktoś pociągnął ją gwałtownie w jar wypełniony rozczapierzonymi krzewami, dopiero na samym dole można było odsapnąć, obejrzeć się i ruszyć dostojnie wzdłuż niskich domków zaglądając ciekawie do okien.

Dla znudzonego oka ulica Podgrodzie miała wygląd prowincjonalny, zwłaszcza wczesną wiosną. Wszędzie sterczały twarde przyzmy złodowaciałych skorup, brudne, oślizłe, spod ich szklistych powłok sączyły się tysięczne strumyki żłobiąc wzdłuż i w poprzek ulicy miniaturowe wąwozy, spływając na podwórza, a stąd w głąb ogrodów. W ich buszującym nurcie bruk lśnił granatowym połyskiem, jeszcze



zimnem, jeszcze niezdecydowany na wybór odcienia malachitu czy opalu, ale na pewno pełen powabnej smugi popołudnia. Właśnie ta pora dnia jest najpiękniejsza: wystarczy wyjść zza zakrętu i nagle miękki płaszcz wiatru otula cię szczerze - sen siłą wciska się pod powieki.

Nie wiem dlaczego, ale ilekroć dochodziliśmy do drugiego zakrętu, Nepomucen zatrzymywał się gwałtownie i odzywał się kusząco: zobaczcie, jaka kolorowa parasolka. Wiadomo, co miał na myśli, zamiast iść prosto proponował pójść w lewo, wąską brunatną ścieżką przecisnąć się między płotami, a dalej... właśnie, co dalej. Z wysokości zieleni widać było ciepłą szarość, w której ukryte były pączkujące krzewy bzu, wyżej białokoszulna jabłoń, a jeszcze wyżej - lapis lazuli: „Tam mieszka Bromba” - odzywała się lala, co wywoływało śmiech bliźniaków i zdecydowaną odpowiedź purpurowej panienki: „A tak, a tak, Bromba bardzo lubi lód.”

Na dalszą dyskusję nie starczało czasu, bo tuż za długim parkanem, szczerze okalającym gardłowy krzyk koguta, zaczynał się trzeci zakręt i chociaż skosem spoglądałem za wylotem brunatnej ścieżki licząc, że a nuż przyjdzie nią ktoś tajemniczy, musiałem zacząć przygotowywać powitanie ukochanej babuni.

Domek jej stał na samym zakręcie niczym nie odgradzony od sennej ulicy, jedynie dwie wąziutkie grządki bratków oddzielały budynek od bruku. Wystarczyło zapukać w okiennice, po chwili wychylała się: „Babciu Apolonio, to my, przyszliśmy babcie odwiedzić.”

Domeczek babci Apolonii niczym szczególnym się nie wyróżniał wśród sąsiednich domów, był nawet mniejszy i jakoś koślawo ustawiony, zresztą wszystkie domy przy ulicy Gminnej stanowiły swego rodzaju curiosum. Na czym to polegało, trudno jest mi określić. Patrząc na nie wyobrażałem sobie Guliwera, który, idąc po omacku, poroztrącał domy. Stały różnie na poboczu tonąc w gąszczu łośnianów, szaleju, pokrzywy, zabiedzonych drzew owocowych. Popielne ścieżki wyznaczały trakt dla nóg. Niedziela Palmowa, a właściwie Wielki Tydzień odmieniał ulice Podgrodzie i Gminną: każdy brał się do bielenia budynku. Obowiązek ten spadał na naszego ojca, pomagałem mu w miarę swych dwunastoletnich sił. Babcia wyciągała dwa cebrzyki, w jednym rozrabiało się wapno do bielenia izb, w drugim do ścian zewnętrznych. Niezmiennie od lat ten sam kolor - radosna zieleń, jeden jodyny dom na całej długości ulicy był w tym kolorze. Babcia kategorycznie odrzucała inny kolor, nawet inny odcień zieleni. Ojciec posłusznie wykonywał polecenie matki. Po trzech dniach, kiedy ściany wyschły, zabierałem się z najstarszą siostrą do nanoszenia wzorów: przyprucha leżała w skrzyni na dnie. Pod uważnym okiem babuni pędzlowaliśmy wzdłuż okien, wokół drzwi i na wysokości piersi: „Gołąbeczki, a poprawcie te kwiatuszki, muszą być jak żywe.”

Rzeczywiście, domek wyglądał jak kraszanka włożona w gąszcz zieleni. Wszyscy cieszyliśmy się - babcia, że sąsiedzi będą podziwiali, rodzice, że matka jest zadowolona, ancymony, że wszyscy się cieszą, że kochana babunia taka wesoła. Pilnowałem, aby łebki nie próbowały dłużyć w ścianie lub co gorsza gwoździem rysować idiotyczne hieroglify, którymi upstrzona była cała ściana komórki.

Kiedy teraz zbliżamy się do domku, podniecenie w nas wzrasta, purpurowa panienka ogląda bukietki fiołków, a bliźniaki posłusznie omijają kałuże. Zdaje się, że wszyscy myślimy o jednym: otwarto czy zamknięto. Idzie o okno, w którym babcia lubi przesiadywać, wystarczy jej lekko odwrócić głowę w prawo - ostra pochyłość ulicy Gminnej staje się szeroką drogą wiejską wiodącą ku rozłożystej lipie, za którą na łoży

skręcić i wejść w aleję wiśniową naprzeciw zabudowań Dominiki i Józefa Zaniewielów; wystarczy lekko odwrócić głowę w prawo - przedpołudnie leniwie sływa Podgrodzem, nikt się tutaj nie śpieszy. Pies zna wszystkie koty, wróbel już z daleka rozpoznaje sąsiadów, słonecznik większość dnia drzemie spokojnie.

Lala kładzie paluszek na ustach. Skradamy się na palcach. Jakiś zabłąkany kundel wywołuje awanturę z bliźniakami. Okiennica otwiera się gwałtownie, jesteśmy zdekonspirowani, co wywołuje oburzenie mojej siostry. Bliźniaki, korzystając z nieuwagi opiekunki, rzucają kamykami w stronę psa. Babcia, wychylona przez okno, obcałowuje Lale, a ja obchodzę z Nepomucenem domeczek sprawdzając, czy nie doznał jakiegoś uszczerbku, okay, muszę potem ojcu złożyć raport. Nie podoba mi się, że sąsiedzi opasali swoją działkę miniaturowym płótkiem pomalowanym na zgniłą zieleń: „Małpiszony zielonogłowe” - mruczy gniewnie Nepomucen.

Zastawiony stół już na nas czeka. Purpurowa panienska niczym motyl uwija się po całym pokoju nie przestając paplać, zaś ancymony próbują obudzić kota, nawet dystyngowany Nepomucen rozruszał się, wychylony przez okno pogwizduje na szpaka. Ja mam swoje zajęcie - obserwację pająka: rozciągnął mocną sieć pod belką i czeka na ofiarę, czekamy razem. Babcia nie pozwoliła go usunąć, gdyż przynosi domowi szczęście, ojciec dodał, że pająk jest sprzymierzeńcem malarzy, a gdy jeszcze babcia powiedziała, że uleczyła dziadka przykładając mu do rany chleb ugnieciony z pajęczyną i miodem, nabrałem do pająków szczególnego szacunku.

Kiedy liliowy welon zasłoni okno izby, czas nam żegnać się. Babcia każdego czule całuje w czoło, wyjmując z szafki torebkę z cukierkami, każe nam zabrać resztę ciastek z talerza, odprowadza nas poza próg domu.

Co chwila odwracamy się machając rękoma, a ona robi się coraz mniejsza, malutka, aż wreszcie wtapia się w ornament i nie wiemy, czy jeszcze stoi otoczona szalem zmierzchu, czy też widzimy tylko kwiat rozkwitły nad oknem.

## **Spóźnione odwiedziny**

Pod arkadami klasztornego sklepienia można iść wzdłuż tygodnia i minąwszy najbardziej zawile hipotezy Sedlaka, wyjść szklanym odbiciem w aleję kontemplacji, albo iść jeszcze dalej, aż do momentu egzaminu z etyki: właśnie szukamy racji dla arystotelesowskiej koncepcji miłości bliźniego - widzieć w człowieku osobę czy jednostkę.

Tu po raz pierwszy zadałem pytanie, na którego odpowiedź czekam już kilkadziesiąt lat żyjąc obok Alma mater, przy bocznej uliczce, gdzie gołąb zadumy uwił swoje gniazdo.

Ten, który rozmawia ze mną o nieśmiertelności ma twarz wiatru. Przekonuje mnie, że uwierzyć znaczy - słowu odebrać niemoc, na którą sztuka jest skazana.

Ten, który ze mną rozmawia o nieśmiertelności jest moim ojcem. Stoimy na dziedzińcu wyłożonym szczelnie półkolistymi szybami, za którymi tłum naszych grzechów pobrzękuje blaszankami.

Jeśli stąd wyjdę - ile zdołam dojrzeć okaleczała twarzą, by czuć się naprawdę wyzwolonym. Zostać - wejść w krąg doktrynalnej wiedzy. Aż nadejdzie chwila, kiedy zwykła prosta linia stanie się granicą, od której uciekać będzie słoneczny brzeg - nie do przewyciężenia; okaże się, iż w twoje czyny wpisałem się skrycie.

Pozwól, że w pół zdania odejdę korytarzem rektorskim i schodami kontemplacji zejść do nawy wypełnionej aż po górny zwornik muzyką Bacha. Ona więcej powie o naszym losie.

Ostatni ze spóźnionych stoję przed szklanym wirydarzem szukając w marmurowych filarach nieostygłych rozmów o wolności.

Ostatni z rocznika wojennych studentów.

## Oplótek w cieniu lebiody

Wystarczy rozchylić żywoplót - malutka ulica, jak sień dokładnie wymieciona pachnie świeżym tatarakiem, malwinami i kiszonym ogórkiem.

W gęstych zwojach zieleni błyska biel - ręcznie haftowana pościel, pobielone południowe ściany, wyśnieżone krawężniki. Poobiednie i nastrojowo jest przy końcu ulicy Podlaskiej.

Pod modrzewiową belką wyleguje się ostatni dziad odpustowy, znający wszystkie przypadłości czartowskiej mocy i intencje chroniące przed ich siłą nieczystą; w każdy piątek obchodzi podwórze i chrustem jesiennym okadza. Jest tak fotogeniczny, że Kolasa tylko czeka, aż Polikarp Mikołaj Bzdyl wynurzy się z wnęki ulicy - obfotografowuje go niczym ikonnego proroka, aby po odpowiedniej obróbce wydobyć z negatywu biało -czarny obraz, gdzie dwie pionowe bruzdy biegnące przez policzki przypominają oba brzegi uliczki.

Polikarp Mikołaj Bzdyl jest tak stary, jak domki stojące wokół niego. Mówią, że zbłąkany golem oparł się o nie podczas snu i zmiądzzył im kręgosłup, zapadają się w sobie, kruszeją, spod małych powiek smętnie patrzą z niskiego pułapu. Trumienne domy. Zaprzęsłe. Wymarłe od wewnątrz.

Zaraz za węglem pierwszego domu rozpoczyna się sień, o każdej porze dnia wilgotna i urokliwa. Tak zapewne wygląda tajne wejście do królestwa skrzatów: zielne i zwapniałe. Skrzętnie skryte przed okiem architekta i niedzielnych turystów. Mieszkańcy ulicy wierzą święcie, że tym korytarzem można dojść do progu Podlasia, w sam środek odpustu międzyrzeckiego, gdzie obok mojego wujka, Mikołaja, doszukać się łatwo poety Kornackiego, przy którym nuty trzyma kościelny zapiewajło Przybylski, za jego plecami dziad odpustny, Polikarp. Górą ręczniki lniane, w dłoniach kobiet parasol łopuszny kiwa się na boki. Pod językiem resztki wonnego melona. Otoczony jesteś mlecznym dosytem.

Sień wymoszczona jest brązem. Kobiety stojące w oknach mają twarze pociągnięte brązowym werniksem, może dlatego w ich oczach napięcie i smutek zarazem. Są ciepłe i odległe.

Nie jesteś pierwszy, który idzie po omacku dotykając ścian obitym grubym kurzem.

I nagle dziwny skrzek lelka. I czyjeś duszne sapanie. Nerwowo palisz zapałkę: dwie smolne litery - R.H. i data 22.7.44, a w poprzek napis - MIN NIET!

Zapiecek ulicy rozszerza się w gęstą szarość. Dwa stopnie w dół: szczur wodny przebiega truchtem spadzistym. Już się domyślasz wszystkiego, ale to nie jest cała prawda, ani nawet jej ćwierć. Nie jesteś w innym wieku, skoro w oknie widać telewizor, a na podwórzu pod konającą gruszą stoi maluch.

Mnie również ogarnęła chęć ucieczki, ale po tygodniu wróciłem. Nic się nie zmieniło, znów przeżyłem to samo. Zatrzymałem się przed otwartymi drzwiami... nieruchome oczy Polikarpa patrzyły zza sonej poświęty. Kobiety odwróciły puste twarze w moją stronę, ale tylko na chwilę i znów wróciły do pacierzy. Zapomniałem, o co miałem spytać starca.

Którą zasłonę powinienem uchylić? W jaką sztachetę zapukać?

Kto powie: wejdz, siadź i posłuchaj z nami pieśni dziadowskich.

Kto?

## Wąwóz

Za ostatnimi fałdami przedmieścia, które coraz bardziej wyprostowują się w łagodne pobocza lub obrusy łąk, za linią krzewów nagle wybuchłych w ciepłe zieleni kryje się przedsionek chłodu. Zapewne leżałby w ciszy zagubiony od niepamiętnych lat i trwałby w swej melancholii aż po dzień ostateczny, gdyby nie to, że nasz wieżowiec stanął ponad nim tak wysoko, że któregoś dnia lornetując wybrzuszenie pejzażu dostrzegłem zimny cień malachitu. Parzył oczy swoją ostrą i krętą smugą; wokół ciepła zieleni zbóż i łąk, przewiewność biegnąca wzdłuż lasu aż po zakręt torów kolejowych, a tu ta zimna szrama, jakby ktoś w ciemnościach ciął pejzaż na odlew w gniewie.

Błogosławiona chwila! Powoli i z namaszczeniem wchodzimy w przedsionek chłodu. Czuje się jego aksamitne łechtanie po nogach, na plecach. Jest w nim też posmak lęku i niepewność: iść w głąb mroku? Dokąd nas zaprowadzi? Może lepiej cofnąć się, jeszcze jest czas.

Gąszcz jeżyn, ostrokołu i lebiód tworzy sklepienie, które, oświetlone słońcem, wygląda jak koronka utkana z ciszy i czerni. Trzeba rozgarniać lodygi malin i pokrzyw.

Wąwóz otwiera się znienacka małą polanką otoczoną stromymi ścianami piaszczystych rozpadlin: można z nich tworzyć olbrzymi łańcuch gór wiszący groźnie i majestatycznie. Ze szczeliny wynurza się pluton mrówek. Coś trwożnie zaszeleściło i już lęk siada okrakiem na ramiona. Szur, szur, jaszczurka sprytnie chowa się pod łopianem. Dziwne, ale nie słysząc gaworzenia wróbli. Trudno odgadnąć, czy przed nami ktoś tu już był. Może jesteśmy pierwszymi, którzy wyszli z wieżowca zwabieni smugą chłodu i teraz

idziemy długim przedśmionkiem popołudnia przeżywając podniosłe chwile. Ja doszukuję się miąższu abstrakcyjnych form, żona przypomina sobie dzień naszego ślubu, dzieci są przekonane, że dojdziemy do wnętrza prawdziwego buszu.

Wąwóz niczym strumień wije się gwałtownie i co rusz zaskakuje swą rzeźbą; nagle schodzi jeszcze niżej oblepiony rosą, tu znów wskakuje o stopień w górę, gdzie jest prześwit wypełniony gęstym błękitem.

Patrzemy w górę urzeczeni tak czystym i miękkim kolorem nieba: oto drzwi prowadzące do raj, le jak je osiągnąć, otworzyć... Syn z trudem wdrapuje się na górę i już woła w dół: „Ale tu jest ciepło! Ojej, jaki nasz wieżowiec malutki, o ty, ty. Chodźcie na górę!”

Siedzimy w zakolu. Plecy kamienia są wilgotne. Ciężkie bruzdy schodzą coraz gwałtowniej na dno wąwozu. Cisza zamienia się w nostalgiczną próżnię. Ten niewielki wądół chłodu jest najpiękniejszą nawą i najboleśniejszą zadumą - ostatni korytarz, którym można wejść w głąb własnego sumienia, zachłysnąć się zdziwieniem. Strwożyć. I przeżyć podniecenie: idziesz nieostygłą raną pejzażu.

Wiele rzeczy jest ci obojętnych, ale tutaj każdy szczegół przyciąga twoją uwagę, nachylasz się ostrożnie i w zagłębieniu odczytujesz odległe zdarzenia, szept zapamiętane w dzieciństwie, niedokończone zdania.

Przy wyjściu patrzą na nas zdziwione oczy zająca. Wychodzimy cicho i pokornie. Ciemniejący baldachim głogu zamyka wąwóz szczelnie.

W głębi wieczoru, ponad ostatnią linią dnia, zapalają się górne światła w wieżowcach.

## **Pobrzeże**

Dwie linie: fala miękko rozłożona aż po horyzont mgieł i wysoka ściana betonowych graniastosłupów. naprzeciw siebie, łagodność i upór. Miękkość i uderzenie. Zieloność pól. Chłód osiedli. Zmęczone plecy pól cofają się ociężale, kurczy się pobocze jesieni, zieleń i brąz. Zajęcza rodzina kocująca tutaj jeszcze wiosną, uciekła w ostatniej chwili, stado przepiórek lekliwie biegnie świtaniem w głąb bruzdy. Ich tropem czołgają się buldożery, żelazne ramię dźwigów sięga do ich snów apokryficznych.

Anioł Geometrii ze zdumieniem nanosi nowe linie w panoramie miasta: on wciąż pamięta linie obłę, którymi opasywał mury Lublina, a potem krzywizny ulic biegnące niezdarnie po pagórkowatym pejzażu podmiejskim, teraz stoi na pograniczu dwóch światów, dwóch snów, dwóch brzegów. Wie, że jego czas już się skończył. Chce zabrać ze sobą powidok, w którym wiele spraw powstało za jego przyczyną.

Przed nim powabny kobierzec zieleni owinięty pochmurną zasłoną, dźwięczą ostatnie melodie skowronków, naręcza chabrów wiodą długie rozhowy, mrówki ciągle wznoszą niebotyczne katedry, zatrzymany w przelocie gołąb jest pełen wåtpliwości.

Za nim wysoka fala zabudowy, tysiące okien wpatrzonych uparcie w zieloną ciszę przedwieczera, balkony telewizyjnym chichotem łaskoczą noc, bezpańskie psy tarmoszą z żalu płaszcz deszczu.

Groźne wieżowce uparcie spychają czerń i łagodność w stronę lasu. Przesuwają horyzont coraz bliżej gwiazd. Chłód zacząjony w wądołach chowa się w najniższe pokłady zarośli. Nikt tajemniczy nie wynurzy się z nagła w mroku, nie przejdzie przez ciebie chybotliwym lękiem, nie zmusi do ucieczki - na straży stoją latarnie.

Winda wjeżdżam pod sklepienie nocy: gwiazdy wiszą girlandami tuż, tuż.

Pobrzeże miasta coraz gwałtowniej odbiega od śródmiejskich pogłosów dzwonów.

Szorstka i surowa ściana osiedli ostro wbija się w ciało pejzażu, rozrywa łagodność cienia, wyznacza granice własnej wolności.

Noc jest już inna - miękka.

Czerń opada welonem szarości.

Sen jest snem zbiorowej wyobraźni.

A cisza - najkrótszą refleksją.

Nie ma gdzie się cofać przed asfaltem, pośpiechem, człowiekiem.

## **Olimp a la Graniczna 9**

Każda okazja była dobra, aby zwołać wszystkich herosów, nimfy, tyriady, amazonki, półbogów i tryglodytów do lokalu przy ulicy Granicznej 9. Kamieniczka, wciśnięta między inne, z trudem znajdowała przestrzeń, aby bodaj jednym okiem na parterze patrzeć na ulicę, która zbiegała w dół łagodnym skretem.

Od wewnętrznej strony parceli dom otaczał niewielki ogródek z garażem, zdziczałą jabłonią i bukietem kwiatów rozsianych swobodnie wzdłuż siatki. Przez cały dzień gruchały gołębie, zadomowione koty paradowały ogrodzeniem na dach garażu.

Duże narożne okno pozwalało swobodnie zaglądać do ogródka, przez wąskie przeszkłone drzwi można było wyjść i siąść na ławeczce pod jabłonią.

Zakochany w książkach kanonik Zalewski zakupując kamienicę i zapisując w testamencie parter dla literatów, uczynił gest istic boskiej wspaniałomyślności i odtąd nigdy nie był pomijany w pamięci potomnych, gdy unosili w górę kielichy.

W przed wieczerz schodzą się członkowie Olimpu, w dobry kwadrans później wtacza się brzuch, nad którym góruje jeszcze większy nos - uff, alem się zmęczył (w tunice i wieńcu mirtowym bardziej mu do twarzy niż w todze dziekana palestry), a tuż za nim w mokasynach i podkasanych nogawkach Wacio przyczesujący trzy druciane włosy, co grubą krechą przepoławiają gładką czaszkę. Zjawił się punktualnie, pod krawatem i w nieodłącznych binoklach pierwszy po Zeusie, może już wpadnięty w siebie, może spokorniały cały i ściszony, ale jakże majestatyczne posiadający inicjały - KAJ, i już od progu toczy

dyskusję o liryce białoruskiej z młodym doktorem polonistyki, Tadeuszem Kłakiem, co się był skrył w łopianach nałęczowskich i przybiega tylko z recenzjami albo na biesiadne dysputy.

Młodzi herosi mieszają w srebrnym wiadrze przeróżne napoje, degustują i zbyt szybko ich alabastrowe twarze oblewa purpura, za to ochota wzrasta, łączywie spoglądają na kuchenkę, gdzie w wysokim garnku dusi się bigos według recepty podolskiej - pani Olga Sawicka, niby to sekretarzując, dogląda czterech płomieni (gorący grog, bigos, kurczaki w sosie winnym burgundzkim, kawa).

W przejściu, między wyjściem do ogródka a sekretariatem, półbogowie odgrzebują zaprzeszły spór o Przybosiową interpretację ciszy i tak przepychając się słownie Zdzich Jastrzębski z trzema papierosami w uściech, wypycha Zygmunta Mikulskiego aż pod jabłoni: „He, he, Przyboś powiadasz, otóż on wcale nie zamierzał z poezji zrobić tatlinowską konstrukcję rewolucji”.

Kudłaty jak ikonny anachoreta, o głosie poleskiego cietrzewia, z malarską metaforą w gębie ściska się politycznym gestem z przyjacielem: poznali się w salonie Platty, razem debiutowali w grupie „PROM” i doznawali tych samych rozkoszy i zwątpień poetyckich; przyjaciel pachnie wsią i publicystyką, jego ostre oczka najeżone są ironią i atakiem. Tu się ściska, a ręka wyciągnięta w próżnię idealnie trafia na brzusiec grawerowanego pucharu: In vino veritas!

Przywilejem kobiety jest móc się spóźnić i stąd tyle okrzyków, hosanna, aj, aj, cmokań, upadków na twarz - tłok wielki przy jej dłoniach upiękuszonych dwoma olbrzymimi pierścieniami: co podziwiać? „Pani Mario, zawsze nas pani zdumiewa swą młodzieńczą odwagą, ale dzisiaj, o bogowie, jesteśmy zaszokowani, w spodniach, ach, cudownie, doprawdy, panowie, zgodzicie się ze mną, że czegoś takiego jeszcze nie oglądaliśmy. Jak pani to robi, że jest poza zasięgiem czasu?” Czerń miękka, atlasowa, ściśle przylega do ciała podnosząc walor jego linii, na piersiach cudowna brosza dyskretnie emituje księżycowy blask. Pani Maria Bechczyc wie, że nie ma sobie równej. Ten wieczór jest jej. Doskonale wie, że dziewięćdziesiąt lat, to kilka epok nie tylko w modzie, nie

tylko w polityce, ale i w sztuce, i w odczuciach. Namiętnie wyłapuje wszystkie komplementy. Nie może słyszeć uwagi rzuconej zza szafy: „Ten białogwardyjski oficer miał dobry gust”.

Nie ma jej największej antagonistki, matrony o rzymskich manierach, prof. Pliszczyńskiej-Niemirskiej, która niski wzrost rekompensuje pełnym tytułem naukowym, toteż młodzież literacka z pełną atencją odnosi się do niej, nie mogąc pojąć, jak godzi pobożność z tłumaczeniem tekstów z „Dywanu”.

O, gdybyż na ostatnim zebraniu nie uniosła się honorem, dzisiaj Olimp rozbrzmiewałby tłustymi kąskami z epickiej frazy Klemensa Aleksandryjskiego, a tak - tylko poniektórzy są podejmowani przez panią profesor armeńskim koniakiem w jej arystokratycznym salonie przy stole zastawionym biedermaierowską porcelaną. Mogą potem posłuchać ósmej księgi protoprzekładu przygotowanego do wydania, w którym komentarz tłumaczki jest nie mniej ciekawy niż tekst.

My, młodzi półbogowie, wiemy, że wokół nas trwa nadal życie, jakie było na Olimpie; zostało zdeprecjonowane przez dyktaturę proletariatu, ale nas to nie dotyczy. Właśnie takie spotkania oczyszczają nas z brudu ideologii, marazmu, głupoty życia codziennego. Wszelkie spory, kłótnie czy animozje ujmujemy w formy sztuki poetyckiej. Życie nasze jest metaforą. Obcość - to wszystko, co niszczy wymiar ponadludzki, a my jesteśmy, by trwać wiecznie. I trwamy.

W rogu pokoju dwie poetessy snują, każda oddzielnie, nie Ariadny. Konwersacja jest bezpieczna, gdyż nie dotyczy ich własnej twórczości. Laska oparta o zapiepek chmury ma rzeźbioną rękę - twarz meduzy, która pośmiertnym blaskiem chroni właścicielkę przed napastliwością krytyków. Jej oczy co chwilę uciekają z hałasu biesiady w głąb poezji, gdzie przestrzeń sama w sobie jest słowem.

Jej przyjaciółka właśnie wróciła z pracowni Bosego i pełna malarskiego uniesienia przekonuje Zbyszka, że ten artysta winien być co rychlej zaliczony w poczet świętych, tyle w jego płótnach słonecznej ekstazy, gwałtowności materii i krzyku życia, że SŁOWO wydaje się w swej konstrukcji słabsze. Mocne piersi gwałtownie falują, głowa spięta misternym kokiem na wzór Ateny Pallas nabiera postawy wyroczni; gdyby była ministrem kultury i sztuki...

Rzucony między dwa kobiece biusty poeta o ciągle młodzieńczym wyglądzie, poprawiając okulary opadające po pochyłości nosa i targając szczecinę brody, wygłasza starobiblijny psalm, hermetyczny w treści filozoficznej i jakże piękny w kleinerowskiej formule polszczyzny. Dla niego sztuka i życie to katharsis. Wszyscy wiedzą, że trudno pokłócić się z nim tak naprawdę. Kłócić się wypada dla samej zasady, biesiada wymaga, aby zastawa spadała ze stołu, by kryształowe kubki pękały z dźwiękiem dzwonów, wystrzelony korek z szampana ma prawo uderzyć w portret Czechowicza - uśmiechnie się wyrozumiale: „Myśmy podobnie ucztowali na Złotej u Arnsztajnowej, no nie, Kondzio?”

KAJ w nabożnym zapatrzeniu kołysząc się nuci dumki, jemu pogwar i okrzyki nie przeszkadzają, cofnął się daleko w przeszłość.

Pani Maria w każdej sytuacji pamięta, by być widzianą i odbieraną korzystnie, uśmiecha się aktorsko. Nie stroni od francuskiego wina, opowiada o petersburskim Instytucie dla Dobrze Urodzonych Panien, w takim towarzystwie nie musieć zatajać własnej przeszłości. To, co mówi jest dla wielu tak odległe, że patrzą na nią, jakby widzieli na przykład Nefretete.

Zapomniano o Zygmuncie, który wyrecytował wszystko, co spał, nawet powtórzył czytanek łacińską „Hannibal ad portam”, a kiedy już nic w swej pamięci nie znalazł, runął jak ciężka szafa prosto na plecy ikonowego brodacza i tak obaj poturlali się po niebie. Zygmunt wołał: „Sit transit gloria mundi!”, ikonnik piał z poleska „Naplewat!” Cóż, gdy bogowie uczują mają wszystkie przywary ludzkie.

Spod błękitnego baldachimu dobiegają ułańskie kuplety - wiadomo, kto zna wszystkie o ułanach z Grudziądza i ułanach krechowickich i ich frywolnych uciechach pod sukniami panien. Zaraz też zrywa się od stołu lwia czupryna i pełen, do tej pory, godności dyrektora muzeum, heros w rozpiętej kamizelce, z rękoma uniesionymi w górę, jakby chciał uciszyć burzę lub przygotowywał chór do pianissimo, huczy na całe gardło pieśń legionów. „Panowie, panowie, może trochę ciszej” - błaga Olga, ale Zygmunt, Tolek i Kondzio podnoszą głos o kilka oktaw - niech wszystkie psubraty słyszą! Na pohybel zdrajcom! I znów rozlega się ułański głos Bohdana: „Pijmy więc wino szwoleżerowie...”, przyszedł prosto z klubu jeździeckiego, jest w stroju do jazdy konnej, w wysokich wyglansowanych szklankach wydaje się jeszcze wyższy - spóźniony huzar dwudziestego wieku.

I zaraz wołanie o recytację. Zygmunta trzeba postawić pod ścianą, aby mieć pewność, że się nie przewróci. Może coś z Konstantego Ildefonsa, potem wypad do Lubartowa, przejażdżka dorożką po Krakowie i skok czechowiczowski do Kazimierza.



Kondzio nie wytrzymuje, gruby pot i łzy opadają do talerza: „Jakby to było wczoraj”. Wacio, jako starokawalerski purytanin i zapiekły wegetarianin, już dawno leży w swoim łóżku i śni o Herostratesie. Za szafą na kozetce, otoczony naręczami chmur, śpi Tolek, swoje w życiu już wypił. Zygmunt nie wie, że stoi pod ścianą już trzeci kwadrans, zdaje mu się, że egzaminują go z poezji łacińskiej. Stefan i Icniek po raz czwarty tego wieczora piją bruderszaft i za każdym razem wytykają sobie drobne błędy polityczne. Adwokat ubiera je w argumenty polityczne, a publicysta tnie jego wywód stwierdzeniem: to robota żydokomuny.

Za wykuszem cienia przycupnęli Tadek ze Zdzichem, mają wiele do omówienia, obaj szykują się do habilitacji i obaj przygotowują książki do druku. Wino z ich kielichów unosi się wiśniową wstęgą - Bachus niezbyt życzliwie spogląda w tamtą stronę: akademicy nad nektar trunków przekładają filipikę. O tempora, o mores!

Dobrze, że herosi nie folgują sobie. Półmiski opróżnione, stos obgryzionych kości leży pod jabłonką dla sobaki. Nalewki, które przyniósł pod kamizelką Józek, aczkolwiek bez szklaneczek króla Stasia, wzbudziły zachwyt i ciekawość dla swej tajemniczej receptury, wystarczyły jednak tylko na toasty. Potem trzeba było sięgnąć do tradycyjnych trunków i już pito wedle ochoty, zachęty sąsiada, lecz nikt nie zapomina, że ze ściany patrzy na nich piętnastu patronów godnych pamięci, wstawano więc piętnaście razy i piętnaście razy wznoszono za nich toast.

Są już nieśmiertelni.

## **Pejzaż zimowy**

Ciężkie dachy śniegowe. Ostre okapy mrozu. Strome pobocza wiatru. Czarny namiot nocy obudził się nakryty po oczy pierzyną zadymki toczonej gniewnie wszystkimi ulicami aż do utraty tchu.

Ledwie rozgrzane kominy pykają duszącym zapachem dymu, a w pustych kłatkach schodowych zamiatacze zebrali się na krótki wiec. Dłonie wetknięte w koksowe ognie.

Gęby pełne legend. Stoją jak głazy wprzęgnięte w najniższe pokłady kamienic. I jak one trwożni.

Stare Miasto co raz wyrzy poza białą falę i wpada w srebrzysty wir aż po radosny krzyk dzieci pędzących sanna od katedralnych płotów na plac targowy.

Puszysty dzień. Hosanna w oknach świeci. W staroświeckiej latarni zagubieni przejezdni stół wigilijny rozstawili - wyciągają zza pazuch pieczołowicie ukrywane kolędnice. Kiedy w najbliższym oknie zamigoce choinkowa gwiazda - znak pojednania, dłoń w dłoń złożą i kręgiem świątecznym otoczą płomień.

Stare Miasto kołysze się senne.

Coraz cięższe zwoje bieli opadają na dachy, tylko wieże czuwają niezłomnie. Stalowymi szpicami hełmów próbują przekłuć śnieżny balon - daremnie.

Zostaje obrócić się plecami ku nawie północnej i podnieść wysoko kołnierz.

## Opus wigilijne

Zza śniegowej zasy wywnurza się najwyższy punkt - złoty brzusec koguta pulsujący mosiężnym blaskiem niczym wołanie latarni zagubionej w białej ciszy.

Jesteśmy w najniższych pokładach, tam, gdzie ostre brzegi uliczek kurczowo trzymają się niegdysiejszych kamienic, wierząc nadal uparcie, że nikt ich nie ruszy z ojcowizny.

W tym zaczarowanym zawirowaniu jesteśmy trzema punktami purpury, od której wszystko odbija się pozłocistym refleksem, aż wewnątrz miasta wypełni się hartownym blaskiem.

Trzej mędrcy pytają o drogę na Zamość.

Ostatni dzygit Rzeczypospolitej podąża za echem wojskowej trąbki w głąb pamięci - za ostatnią wydmą śniegu przyjaciel ciągle kona od kuli wroga.

Stojące w oknie dziecko nie jest pewne, czy stoi pośrodku rajy czy też sen je otula rodzinny.

Biegnący miastem zamyka ostatnie drzwi akurat w momencie przyływu najwyższej fali mrozu.

Wszyscy zasiedli wokół stołu: ciągną wiotkie źdźbła traw, wróżąc nawzajem pomyślny rok.

Przebudzony czyżyk spiralnym lotem otoczył po trzykroć Jeruzalem i lotem koszącym skrył się w dłoni śpiącego w stajence Jezusa.

Pora wyjść tylnymi drzwiami snu.

## Z notatnika pisanego na dziesiątym piętrze LSM

4.53

Pierwszy budzi się ptak polny czuwający, we wschodnim wąwozie. Wychodzi z chłodnej mgły i przepiórzym okiem spogląda wokoło: brzeg koldry nieba jest bladoróżowy, w głębi ostra szarość szeroka falą nakrywa niebo i ziemię, i miasto, od dołu jest podbita czernią. W jej wnętrzu drugi sen śpi obok wczorajszych wspomnień.

Teraz wstaje kobieta, której mąż jest kierowcą MPK, spogląda uważnie w głąb czarnego okna i widzi tylko odległe wołanie gwiazdy zarannej. Cienki plaster kielbasy okłada dwoma kromkami chleba. Myśli o kobiecie, która w tej samej chwili na tamtej planecie rozczesuje warkocz przed snem: mają ten sam profil

twarży, migdałowe oczy zaciągnięte delikatną mgiełką smutku i usta czekające ciągle na wypowiedzenie romantycznego słowa: kocham cię.

Na drugim końcu dzielnicy mlekonosze ładują na wózki transporterzy, ich drugie oko jeszcze śpi. Idą podwójną ścieżką: białą od drzwi do drzwi i srebrzystą w poprzek pobocza łąki niosąc pod pachą upolowanego zająca. W ich ruchach jest gwałtowność i nostalgia, nagle się zatrzymują, poprzez wieżowce patrzą na horyzont, kiwiają głowami z zazdrością, cienkim gwizdem budzą wróble.

4.59

Zmysły nas oszukują. Geometria kształtów jest li tylko rozdziałem sztuki i to wcale nie najważniejszym. Kolor. Kolor. Tak zagęszczony, że kiedy się dłużej wpatrzeć w szmaragdowy półton kołpaka, otwiera się rozległą krainą metafizycznej zadumy. Wchodzisz i odchodzi cię lęk, wszystko w tobie łagodnieje. Teraz wiesz, za czym tęskniłeś, wiesz, czego ci zawsze niedostawało. Kolor. Kolor. Tak tkliwie rozproszony spiralnymi wstęgami, o jakich marzył mistrz Leonardo, kryjąc pośród skalnych występów mleczny odcień mgły porannej; Siqueiros ten sam błysk zadumy krył w dłoniach meksykańskich żołnierzy rewolucji, którzy między karabinem a stulą złożyli swoje ciała. I wtedy rzekł Bóg: „Niech się stanie światło”.

5.15

Święta Zofia z trzema córkami jest moja, sąsiadką. Najmłodsza po dziecinnemu opowiada anielską bajkę, a bliźniaczki chichoczą, one wiedzą, że nie istnieje żadna różnica między cudowną ilustracją przedstawiającą Kopciuszka a wystawą sklepu cukierniczego, dlatego całują siostrzyczkę w płową główkę i mówią tkliwie „Głuptasku nasz, kochany”.

Święta Zofia ma twarz średniowiecznej kobiety z Podhala. I poeta Strzałkowski, i malarz Lis, i rzeźbiarz Świst, wszyscy się za nią oglądają i myślą: „Ależ ona ma twarz ikoną! Jodłową. Wietrzną. Bolesną... Tak, tak... Dolores”. I w gąszczu linii wyszukują tę stworzoną specjalnie dla tej twarzy.

Kobieta pcha wózek dziecinnie, bliźniaczki biegną obok uczezione płaszczami, wpatrzone w aniołów świtu, którzy mozolnie zwijają ciężkie płótno nocy. To od nich zależy, kiedy namiot nieba wyścielą chłodną purpurą. Spoglądają na wdowę, chcą, aby zdążyła przejść z dziećmi na drugą stronę ulicy, stąd do przedszkola już niedaleko.

5.49

Delacroix powiedziałby: Obraz należy rozpoczynać tak, jakby temat widziany był przy chmurnej pogodzie, kiedy nie ma słońca ani odcinających się cieni, światła i cienie nie istnieją; istnieje tylko barwna masa każdego przedmiotu, oświetlona rozmaicie z każdej strony.

Baudelaire na pytanie, „co lepsze” odpowiada: „Wychwalać linię kosztem koloru albo kolor kosztem linii - jest to niewątpliwie jakiś punkt widzenia, ale ani szeroki ani sprawiedliwy i zdradza dużą ignorancję tych, którzy go głoszą”.

Chopin rzekł patrząc w głąb parku: „Nic mi nie przychodzi na myśl... Nic, tylko refleksy, cienie, wypukłości, które nie chcą się ukształtować. Szukam barwy, nie znajduję nawet rysunku”.

Tade Makowski z właściwą sobie swadą wszedł na drabinę Jakubową i między prześwitem jeszcze chłodnego błękitu a już podgrzanej lekko szarości umieścił koguta prowansalskiego. Odsunął z gniewem pas

chłodu ciągle wiszący groźnie i na jego miejsce wprowadził rozbielony róż indyjski. Wszyscy są zdumieni tym powidokiem, a najbardziej Le Sabotier.

6.17

Z najwyższego punktu miasta budzenie się ulic jest chwilą rozsuwania potężnych bram mroku: nikt nie wie, jaki blask wynurzy się zza horyzontu - czy przejdzie górą gwałtownie i szyderczo, czy będzie długo spoczywał w fałdach pól

Kierowcy trolejbusów wróżą sobie dwojako, studentki myślą we śnie o pierwszej schadzce, poeci powtarzają dwuwiersz Horacego. Stojący na przystankach czują, jak ich ogrania podniosła chwila, powinni się modlić, a oni, cóż, wpatrzeni w przelot pierwszych chmur kończą pośpiesznie ostatnie minuty snu. Oczy mają wypełnione innym patrzaniem. Wiedzą, że to oni za chwilę uruchomią rytm miasta i sami zostaną na wiele godzin wprzęgnięci w jego system.

Będą musieli zapomnieć, że byli półbogami abstrakcyjnych przestrzeni. Będą musieli pamiętać wszystkie zarządzenia obowiązujące w państwie oraz województwie i pilnować się, by nie przekroczyć reguły gry politycznej i to, że na końcu każdej refleksji, która ich nawiedzi znienacka, kryje się tajemnicza furka. Ilu z nich zechce uchylić welon i zajrzeć do środka, i zadumać się nad czasem minionym. KTO?

7.00

Alleluja! Alleluja!

Książd Waclaw Oszajca po stronic epistoły. Z księgi Hioba wysupłał najboleńsze słowa i jeszcze w nich przebiera. Trzy wkłada w pektorał, resztę - mówi do studentów - rozdajcie między sobą. Komu smak okaże się zbyt gorzki, niech przyjdzie do mnie z mieszkami swoich grzechów.

Alleluja! Alleluja!

8.39

Rozległ się telefon: Pamiętaj o monachijskiej zasadzie koloru... Psiakrew! Przeklęta niewiedza. Ugrzęźliśmy w jej bagnie dokumentnie i teraz rozglądamy się bezradnie. Ignoranci oskarżają profesorów, spece od propagandy lansują nowe hasła, natomiast drzeworytnik z Tomaszowa Lubelskiego, Roman Mucha, macha lekceważąco dłonią: „Uciekliśmy zbyt od natury, ot i cała tajemnica”. Postanowił nie prenumerować od jesieni żadnej gazety, telewizor odstąpił teściom, po raz czwarty czyta Strzemińskiego „Teorię widzenia”. To właśnie on w każdy czwartek przed południem dzwoni do mnie, bo wie, że obecnie jestem w okresie błękitu.

Rewanżuję mu się maksymą, jaką przed laty usłyszałem z ust pewnego peruwiańskiego Indianina, który towarzyszył mi w wycieczce krajoznawczej.

9.21

Rozkwitła jabłoń. Klęknałem przed nią w pokorze. Takich niepokalanych bukietów jest całe przedmieście. Ludzie mówią tylko o jabłoniach. Emerytowany generał upiera się, że jeszcze w tym roku musi być wojna światowa- powód: niezrealizowane do końca założenia strategiczne dwóch poprzednich wojen, ot co.

Panno strojna w biel jabłonną - ora pro nobis.

Królowo dziewiczych drzew otoczonych welonem przemienienia: bądź pozdrowiona, bądź pozdrowiona. Amen

9.53

W lustrze odbicie - woskowe oczy Poleszuka przejrzałe, pęknięte. Lewa strona pokryta bezbarwnym spoiwem i spryskana wodą. Prawa zasłonięta laserunkiem i naturalną sianą. Taką twarz mieli wędrowcy jodłowi, których wczoraj pokazano w telewizji. Nikt nie wie, skąd przybyli i co pragnęli znaleźć w podziemiach Lublina. Bezbłędnie wskazali wejście do lochów, o którym nikt nie wiedział i którego nie wspomina żaden przekaz literacki. Każdy z przyjezdnych miał na piersi wytatuowany gwiazdny talizman, którego promienie dotykały inicjałów; pośród piętnastu liter ozdobiono ultramaryną literę L.

9.54

Odbicie w lustrze - patyna błękitem Kandinsky'ego. Mężczyźni - twarze w błękicie, kobiety - twarze w puchu brzoskwini, a między nimi nić weneckiej umbry najcieńszym pędzlem w pionowym zarysie aż do punktu przecięcia: stąd wypływają przedwiosenne stada chmur i leniwie wloką się chcąc jak najdłużej ssać ciepło marca.

10.40

W radio dyskusja o pilnej potrzebie miłości bliźniego. Natychmiast szczęście. Za wszelką cenę. Narodowy kaznodzieja betlejemskim akcentem udowadnia, że marksistowska ewangelia nie jest w stanie odpowiedzieć na wszystkie wątpliwości współczesnego człowieka.

Mój panie, od wielu miesięcy cierpię na paranoję, ale gorsza jest pewność, że życie moje przebiega między miałkim słowem propagandy, a obsesyjną wizją grzechu dostojewskiej zbrodni. Jest to wyznanie człowieka chorego na raka krwi. Lekarze dają mi czterdzieści osiem dni życia i pozwalają palić dowolną ilość papierosów, pić kawę, a nawet od czasu do czasu kieliszek Camusa, a jeśli najdzie mnie ochota. Gdybym miał jednym zdaniem wyrazić swoją wątpliwość w zasadność pańskich rozważań, musiałbym posłużyć się metodą Andrzejewskiego, lecz czy starczyłoby panu cierpliwości na przeczytanie powieści?... Otóż to.

12.30

Sytuacja pierwsza: żółta warstwa położona została farbą o normalnej gęstości, lecz w momencie schnięcia skropiono ją krótką, gwałtowną ulewą, jeszcze w powietrzu czuje się migdałowy zapach - tak królewski odcień łączy się z promieniami południa. Wystarczy rzucić rubinowy pierścień a koło ognia rozleje się szeroko. Którzy stoją w nawie, widzą poprzez biel, będący w prezbiterium już są po tamtej stronie cienia.

Sytuacja druga: biel i błękit wzięte prosto z puszk. Jeden kolor wpuszczony w drugi, bezpośrednio na malowanej powierzchni, przy pomocy miękkiego pędzla: Kosmos. Koło wypełnione gęstą i gorącą żółcią płynie. Razem z nim przesuwają się układy gwiazdne, jeśli znikają na moment, astronomowie powiadają, że nastąpił proces przejścia w antymaterię, lecz każdy prawdziwy malarz wie - jest to chwila usakralnienia materii: Katharsis.

13.07

Katharsis. Przebudzony po operacji w gąszczu przewodów i aparatury dostrzega połysk na przegubie uchwytu - rozszerza wąską szczelinę. Wchodzi do środka własnego pokoju, gdzie czeka na niego rodzina. Od momentu wypadku samochodowego do chwili, kiedy wszedł do pokoju minęło wystarczająco długo, aby zrozumiał, że więcej dzieli aniżeli łączy go z tymi ludźmi. Widzi siebie siadającego na swoje ulubione krzesło, uśmiecha się do syna, nachyla do teściowej, mówi. Będąc tam jest równocześnie poza wymiarem dźwięku i praw fizycznych. Przświetlony łagodnością i potrzeby pragnienia bycia człowiekiem chce im powiedzieć, że nowa sytuacja, w jakiej się znajduje, jest dla niego korzystniejsza.

Ból, śmiech, cierpienie, krzyk, śmierć, dusza - czyż można je namalować lub opisać. Można je tylko przeżyć.

13.44

International Klein Bleu: monoteizm. Błękit to intelekt, dystans, sublimacja, duchowość, melancholia, marzenie.

Od wielu godzin nad Lublinem unosi się ptak. Przez maleńkie okienko szewc widzi jego lewe skrzydło zanurzone w błękitcie, jest pewien, że jeszcze tej nocy jego ojciec umrze. Święta Zofia patrzy na ptaka z balkonu, na który wyszła podczas przerwy na śniadanie: podobne matka wystrzygała i zawieszała na najwyższej gałęzi choinki.

Ptak błękitny, to wytwór ruchu powietrza. Mieszka we mnie od momentu zapatrzenia się w niebieskie podbicie nawy.

15.01

Przez cały Wielki Tydzień szara zasłona szczelnie wypełnia wszystkie ulice, podwórza, a także wnętrza mieszkań. mam wrażenie, że wypełnia również i nasze dusze. Jest coś bolesnego w spojrzeniu ludzi, którzy chodzą po mieście, zatrzymują się, aby porozmawiać ze znajomymi i podczas gdy usta mówią oczy błądzą w szarości. Ja też tak czynię, ale dlaczego - nie wiem. Gdyby nagle piorun rozdarł zasłonę i w jej wnęce stanął Anioł Apokalipsy, westchnąłbym z ulgą, że coś się w naszym życiu zmieni.

Dopiero po południu zrozumiałem beznadziejność sytuacji, w jakiej się wszyscy znaleźliśmy. No, no. Taka sytuacja zdarza się raz na pokolenie - zapewniają nas ekonomiści i socjologowie, a tymczasem...

W Wielki Piątek ciężka płyta zadumy zamknęła ostatnią myśl i dotąd zarówno robotnicy, jak i posiadacze własnych samochodów myśleli o ostatnim wydarzeniu. Mogło ono zbulwersować każde miasto i kazać na moment spojrzeć w stronę wzgórza Trupiej Czaszki. Znali Go dobrze, mimo to na petycji do władz znalazły się raptem dwadzieścia trzy podpisy.

Wielka Sobota. Czysty kolor z dodatkiem medium. Lniany zapach. Zapach przaśny. Najwyższy stopień światłoodporności występuje przed wejściem do kościoła dominikanów. Gdyby stąd wyprowadzić linię, jej brzeg musiałby zahaczyć o krawężnik mojej ulicy.

17.00

Z jaj flegmatyków wysuwa się dłoń sięgająca po rybę ułożoną na ruszcie. Obok jaja grupa ludzi kamiennym wzrokiem odmierza ostatni kwadrans naszej epoki. Postaciom w jaju towarzyszą ptaki chińskie oraz żółw Alciatego, wąskonosy szympanś w krasnych pludrach i dziwożona. Łatwo się domyśleć, kto spośród laureatów dorocznej nagrody literackiej na temat lingwistycznej przenośni cybernetyczno - interdyscyplinarnej ma czoło flegmatyka. Tylko wtajemniczeni wiedzą, że pan R, dwójga imion, chcący uchodzić wśród jesiennych poetów za anachoretę, jest jednojajowcem: wystarczy przeczytać tytuły jego wierszy. Czyż nie jemu dedykowano piątą pieśń pod tytułem: H.C.W.D., he, he, he! Ależ ubaw po pachy!

Wąskonosy siedzi przy stoliku i ruchem wystudiowanym na jurnalach egzystencjalnych kwituje każdy problem polski: Presto, presto.

Wąskonosy zalicza się do elity europejczyków, unika imiesłowów pochodnych i mydła toaletowego produkcji spółdzielni Zorza.

Żółw: o tej porze wlecze się alejami Raławickimi, jakby szedł aleją zasłużonych wiedząc, że i tak nie spotka godniejszego siebie, natomiast jest szansa spotkać tych, którym warto podać pięć palców. Nie wie, że po całym mieście szukają go gońcy szyderstwa.

Flegmatyk: przecież jestem jednym z nich - gwizdzę w parcianą trąbkę i leniwym okiem przyglupio patrząc, jest to obecnie najlepsza forma kamuflażu, jak obręcz cwaniactwa i chytryści ścisła nas.

19.50

Od wewnętrznej strony liści czerń brzoskwiniowa, w zakamarkach podwórzy fioletowy sen snuje się skrycie, ale na głównej arterii miasta drzewa i asfalt zalane mokrą czerwienią. Jak długo trwać może zachwyty boskiego malarza, jak długo? Już zanurza pędzel w puszcze z żółtą neapolitańską, oblewa jej plamę żółcią cynkową, ba, w środek rzuca ciężką bryłę ulepioną z kadym.

Dyrektor filharmonii spojrział w okno i głośno zawołał: żółty dźwięk! żółty dźwięk!... O Boże, tyle lat czekałem na ten moment, tyle lat!...

20.09

Pierwotnie cała powierzchnia miała ten sam odcień. Kolor został ożywiony burzą, która po raz wtóry nadeszła i okrążywszy najuboższą dzielnicę szalała w śródmieściu. Nikt nie znał powodów tak gwałtownej nawałnicy, jedynie przygodny podróżny mieszkający od tygodnia w hotelu Victoria, stojąc przy oknie ostatniego piętra, uśmiechnął się ironicznie, powtarzając co chwila: Sołomoniasz biesnowata... Sołomoniasz biesnowata!... Spokojnie popijał z kieliszka koniak, nawet wówczas, gdy piorun rozdarł na strzępy czarną chustę nocy i na mgnienie oka, w wyrwie czeluści, ujrzał złowrogą paszczę Lewiatana. Ostatni raz takie ciemności przeżył stojąc na tarasie pałacu konsula rzymskiego Poncjusza Piłata w Jerozolimie. I wtedy i dziś beznamiętnym wzrokiem patrzy na obce sobie miasta leżące w dole. Zna ich przyszłość równie chwalebna co tragiczną i pewnie dlatego mówi w przestrzeń wiedząc, że tamten go słucha.

Rozłóż ciemny dywan w poprzek nocy i rzuć na niego niebieską poduszkę. Tam, gdzie te dwa tony się stykają, kiedyś zderzą się ze sobą dwie ulice: Lubartowska i Unicka.

W tej chwili w kole stoi młoda dziewczyna, stara się zrozumieć, co się wokół niej dzieje. Jej suknia jest odcieniem brązu, a ona sama - srebrzystą powłoką zieleni, żadna fala deszczu jej nie zmyje, żaden płomień

pioruna nie roztopi, a to dlatego, że w jej smukłym ciele zbiegły się wszystkie refleksy tej burzy, to one ją stworzyły i przesuwały okręgiem.

Wypukłością jest miasto chwiejące się na boki, ale jest, trwa. Sołomoniasz biesnowata. Sołomoniasz biesnowata!...

22.39

Znam, aż nadto dobrze, ten szurzy cię wężący za każdą twoją i moją myślą. Kiedy mówimy o symbolice słowa, szukamy definicji, w której można by ukryć całą filozofię bólu - on, przegląda pornograficzne świerszyczki, oblesnym spojrzeniem ślizga się po nogach Izoldy i maca się w pachwinie. Z każdego zakamaka ulicy wynurza swój pysk podpowiadacza dowcipów, czeka na nasz uśmiech, a kiedy nagle recytujemy „Ziemie jałową” dwuznacznie kiwa głową. Jest już w budce telefonicznej i dokładnie raportuje patronowi. Przysięgłbym, że ten sam człowiek nachodził mistrza, chcąc się wywiedzieć, co sądzi o najnowszym rozporządzeniu kapituły generalnej; wszak znajduje się w orszaku bezecnych szpicli udając chromego, by tym łatwiej uspić czujność obu mężczyzn: Hieronima Boscha i św. Antoniego.

Dostojewski w liście ocenzurowanym określił go dosadnie: prowokatorska swołocz, podkreślając trzy ostatnie litery ołówkiem chemicznym, ale linia była nieudolnie wymazana.

Wiem, że kiedy wejdą na schody, będzie stał na półpiętrze: Ma pan równiuteńko minutkę czasu, drogi panie Zbigniewie, aby zdążyć wejść do mieszkania, minutkę, nie więcej, a potem niestety... rozumie pan... prawo jest prawem - mówiąc to obraca w dłoniach kajdanki.

Patrząc na niego mam zawsze ochotę uderzyć go w mordę, albo lepiej, wbić nóż kuchenny w brzuch, ale cóż, jestem intelektualistą, on wie o tym.

22.50

Przed chwilą wywieziono z naszej sali człowieka. Zostałam sama. Kiedy mnie przywieziono przed miesiącem, wszystkie łóżka były zajęte, moje ustawiono koło okna na końcu przejścia. W ten sposób mogłam patrzeć w okno: obserwowałam chmury przesuwane po niebie, przelatujące ptaki, mogłam patrzeć, jak ostre smugi deszczu siekają po szybie .

Sama... Teraz kolej na mnie. Kiedy? Jutro, za tydzień? Wiem dobrze, że powinnam być już wywieziona stąd jak tamte. Wcale się nie bronię przed śmiercią, ani się jej nie boję. Kiedy się spędziło tyle miesięcy w szpitalu i widziało, jak inne odchodzą, człowiek zaczyna tęsknić za tą chwilą.

Już raz byłam w tunelu... Bolesny skurcz całego ciała, jakby każda tkanka odchodziła w inną stronę, stanowiła przestrzeń samą w sobie. Ogarnia cię zachwyty: czujesz się przestrzenią, wolną, nieograniczoną... Kiedy indziej zaskoczyłaby cię myśl: „Gdzie jest granica tej wolności?” Lęk, który powoduje najgłębszy ból świadomości, że się jest bezradnym wobec przestrzeni, jej rozmiarów, tajemniczości.

Ulęgę przynosi mi myśl, że potrafiłam się wyzwolić z przymusu pamiętania posiadanych tytułów naukowych, napisanych artykułów i rozpraw, dyskusji i wykładów. Pamiętania w każdej sytuacji życiowej o konwenansach i nakazach.



Patrzę na moje życie i siebie samą, jak patrzy się na zdjęcie matki, ze wzruszeniem, że jednak czegoś w życiu dokonałam: byłam żoną i matką, a zarazem z chłodną refleksją, w której kryje się obojętność dla minionego czasu.

Może dlatego, że już dawno przekroczyłam próg strachu egzystencjalnego poznałam wszystkie momenty odrętwienia świadomości, a potem zasłona po zasłonie odważnie zdzierałam z siebie obłudę, naiwność, żal, nadzieję i ufność, aż stanęłam przed ekranem rozbieloną mleczną promienistością i dopiero wtedy zrozumiałam, że sama nie potrafię wejść w jego świetlistość.

Kim jesteś Wielki Świetlisty? Kim jesteś?... Kimkolwiek jednak jesteś, siądź przy mnie. Podaj mi swą dłoń. Jestem Sama. Sama. Nie mogę zasnąć i nie mam z kim porozmawiać, a właśnie dzisiaj kończę dziewięćdziesiąty czwarty rok życia.

23.00

Nad Lublinem aniołowie rozsypują miękki puch śnieżny. Dokładnie posypują wszystkie dachy zważając, aby od strony wschodniej kontrastowały z rdzawą czerwienią i szarością. Ogromne i ciężkie płatki opadają tak delikatnie, czule i bezszelestnie.

Święta Zofia otworzyła okno kuchenne, patrzy zachwycona, jak tuż przed nią świat nagle zamienił się w bajeczną noc. Wszystko się uspokoiło, przycichło, złagodniało. Nawet w niej samej stos zmartwień, z którymi chodziła cały dzień, zmalął.

Stoję na balkonie i obie dłonie wyciągnąłem przed sobą. Gestem dziecka staram się odczuć ciężar opadających płatków śniegu.

Cieszę się, naprawdę szczerze się cieszę, że spadł śnieg, że widzę, jak biel nakrywa naszą powszedniość.

Jest symbolem naszych pragnień i nadziei.

## **Zapukaj ponownie zmierzchem**

Zaułek, którym biegłeś w dół jeszcze wczoraj, architekt wymazał z mapy miasta. Zniknął rdzawy połysk bram, zielone sztachety wielkanocnych płotów porąbano na szczapy, nawet trawa, rozsiadła dawniej pysznie i butnie wzdłuż całej ulicy, zgasła i zmaląła. Naręcza bieli rozwieszonych w sadach, które odbierałeś jako śnieżne chorągwie zawieszane na niewidocznej linii wiatru, zastąpiły wielopiętrowe balkony. Zniknęła żywa linia zaułka; kiedy się szło po omacku nocą, stopa dokładnie wyczuwała nierówności chodnika, ciemniejsze plamy omijało się bezbłędnie, tuż za młodziutką topolą powinien zaszczekać pies.

Człowiek, którego tak dobrze znałeś, już cię nie rozpozna, całymi godzinami stoi w oknie i czeka na sobie wiadomego gońca. Patrzy uparcie w odległy punkt ulicy Lubartowskiej - z bramy powinien wybiec chłopiec, gwizdnąć przeciągle na palcach. Na ten znak z sąsiedniej kamienicy wybiegnie inny chłopiec, będą razem zbierać kasztany. Za fioletowym filarem jest wąska szrama. Zapukaj. Niech cię nie zdziwi pusta twarz

ojca. Szukasz własnych śladów, jeśli tylko dostrzeżesz podobieństwo w odległym pejzażu ulicy z tamtym powidokiem - dano ci więcej niż zapamiętałeś.

Jest wiele przejść nocnych, groźnych, mrocznych. Jest wyłom, którym wy dwaj mogliście uciec na drugą stronę południa, by z polnej perspektywy przyglądać się miastu również polnemu - pod błękitną chmurą lata Lublin wygrzewał się leniwie.

Zapukaj ponownie zmierzchem. Jeśli otworzy ci poeta - stoisz w przedsionku Starego Miasta: gotyckim korytarzem dojdiesz do drzwi swego domu. Jeśli powita cię kolega z garścią kasztanów - przyszedłeś później niż on myślał, przyszedłeś na pogrzeb ulicy.

## Modlitwa

Bym mógł porą przyływu najwcześniejszych ptaków wejść za pierwszym promieniem i ucałować dłoń idącej na przystanek;

być w gromadzie niosących sztandar pamięci o tych, których gorzki smak klęski codziennie odczuwamy łamiąc chleb powszedni;

widzieć brzeg ojczyzny nie jako odległy maszt mgłą otoczony, wywyższony i święty, jeno płot łączący nasz krążganek z resztą Europy;

pamiętać o każdym śladzie przeszłości, jakby się samemu zwoziło kamienne głazy i dom po domu budowało panoramę przyszłych zdarzeń;

pozwól, że ostatnim pragnieniem będzie powrót do miasta białego - przejście alejami popołudniową stroną aż ku zachodowi.

Amen.

Stłoczone fale czasu szczelnym pobrzeżem wypełnia krajobraz zielny. W jego nawach śpią nasze sny, marzenia, niepokoje, gwałtowne wydarzenia i spotkania pośrodku chwil

Z najdalszej perspektywy pór roku miasto lśni pośród gwiazd bursztynową poświatą - powidokiem żywych barw.

## Spis treści

Niech się stanie  
Punkt odniesienia  
Otwarcie przez zaskoczenie  
Apokryf o pierwszej rybie  
Stolemy rodem z Czechowa  
Szkic do portretu lawowanego  
Kogut z kartusza herbowego Czwartka  
Astralny krąg pełen tajemnej mocy  
Wspomnienie  
Mistrza katowskiego przypadek złowieszczy  
Targ Słomiany  
Tatary  
Zapis drzeworytniczy  
Czartów lubelskich cudne sprawy i ich przypadłości  
O sposobie, którym żywot odymając czarownice  
lubelskie szkodzić mogły członkom obojga płci  
Zamyślenie  
Furta Nawietrzna  
Rozmowa z Mistrzem Andrzejem  
Czarna kapa w niebo wbita  
Szkic do reportażu  
Metafora gorzka jak życie  
Prolegomena do zwycięskiego wjazdu  
Jagiełłowego rycerstwa  
Tajemnica bursztynu oprawionego  
w srebrną koronę  
Las lanc litewskich  
Tajemne wzniesienie pożaru roku 1575  
Nad glorię wywyższony laurem  
Akustyczne sumienie  
Echo podwójnie zbudzone  
Zapamiętane mimochodem  
Pożar Lublina 1719 roku wybuchł dnia 12 czerwca

Rok Pański 1755, który jest przestępny i przybyszowy,  
a zawiera dni 366  
Opisanie doświadczenia czynionego z Banią Powietrzną  
w Lublinie dnia 1 Kwietnia Roku 1785,  
a puszczoną z Ogrodu Saskiego  
Hansa Christiana Andersena osobliwe przypadki  
w Lublinie  
Akt entre quatre  
Widzenie  
Przejście  
Brama do Świętego Ducha nachylona smutkiem  
Podwójne odbicie  
Magid zwany Widzącym Promieniście  
Skrzydłem Ikara dotknąć ciszę  
Refleksja zminiaturyzowana  
Płaszcz nieśmiertelności z odłamków podano  
...i słowa i melodia zapachniały lasem  
Apocalipsis cum figuris  
Kula dum -dum  
Dzień wolnością uderzony  
Homagium świętym męczennikom Zamku  
Homilia dla zwiedzających Majdanek  
Tren półszepciem mówiony  
Elegia śpiewana przy krematorium  
Elegia żałobna w cieniu mauzoleum  
Elegia żałobna przy bramie wyjściowej  
„Pod Zegarem”  
Różaniec łez krwawych  
Szkic lawowany później  
Korzystny Obiekt Tajemniczy  
Głosa powtórzona  
Głosa poprawiona  
Siedem księżyców  
Objawienie natychmiastowe  
Herbowi Białego Kruka  
Bosy  
Miniatura  
Wiatrak pełen tragicznej chwały

Stasiu zwany Bożym pomyłceńcem  
Poczekajka w przedwieczery  
Spektakl narastający w sobie  
Odwiedziny po przekątnej miasta  
Spóźnione odwiedziny  
Opłotek w cieniu lebiody  
Wąwóz  
Pobrzeże  
Olimp a la Graniczna 9  
Pejzaż zimowy  
Opus wigilijne  
Z notatnika pisanego na dziesiątym piętrze LSM  
Zapukaj ponownie zmierzchem  
Modlitwa